tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 37 (1392)
7-13.09.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Stanisław Sławomir Nicieja
Kustosz kresowej pamięci cz. 3

Gawkowski
walczy z **Metą**

Eliza Sarnacka-Mahoney
Farmerzy odwracają się od Trumpa

Jacek Pałkiewicz
Zawsze prowadzi mnie ciekawość



PIESIEWICZ

OD ZERA DO MILIONERA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

prasa.przeglad.pl

unicef | dla każdego dziecka

PASTA TERAPEUTYCZNA

Życie w każdej porcji

unicef.pl/pst

witaminy A, B, C, E

kwas foliowy

proteiny

tłuszcze

wapń

żelazo



© UNICEF/UNI963131/Azizullah Karimi

URATUJ DZIECKO PRZED GŁODEM

KOSZT SASZETKI TO TYLKO 1,40 ZŁ

eprasa.pl 66e3b90ff1



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Mafia trzyma ich za gardło

Po wielu latach buty i pazernego zagarniania państwa dla siebie, czyli dla PiS, nadszedł czas rozliczeń. Czy może być coś gorszego dla wyborców prawicy niż to, co widzą po kolejnych odsłonach afery Zondacrypto? PiS szło po władzę z hasłem oczyszczenia życia publicznego z afer i oszustw. A co zrobiło? Po dwóch kadencjach jego rządów mamy wysyp takich skandali, że po wielokroć przebiły te, które były w Polsce wcześniej. Ludzie z największą nawet wyobraźnią nie mogli tego przewidzieć. Do tej pory to autorzy kryminałów łączyli w misternych intrygach świat polityki z kryminalistami i aferzystami. Czy teraz stracą zajęcie? Pewnie nie. Tyle że opowieści kryminalne mają teraz innych głośnych autorów. I to sporą grupę. Są wśród nich politycy, którzy brali kasę za załatwianie lub ochronę interesów przestępczych. Teraz będą zeznawać i opowiadać o kulisach. Mogą liczyć na wielką publiczność.

Ciągle poznajemy nowe pomysły tej zgrai na grabienie państwa, w poczuciu całkowitej bezkarności. W pakiecie jest nawet obietnica ułaskawienia sprawców przez prezydenta. I tu może być problem. Bo kandydatów do ułaskawienia codziennie przybywa. Nawrocki może być rekordzistą świata zarówno w wetowaniu ustaw, jak i w masowym ułaskawianiu przestępców ze swojego obozu politycznego.

Miał rację premier Tusk, gdy powiedział do opozycji: „Mafia trzyma was za gardło". Od dziennikarzy bywających w Sejmie dowiaduję się, że w obozie prawicy widać panikę. Zaczyna do nich docierać, że takiej afery jeszcze w Polsce po wojnie nie było.

Często słyszę, że zwykły człowiek nie ma wiedzy o kryptowalutach i ta afera mało go obchodzi. Sporo w tym racji. PiS aferę Zondacrypto mogłoby politycznie przetrwać. Zwłaszcza że do tej pory niemrawa machina koalicji rządowej częściej udawała, że ściga przestępców, niż rzeczywiście deptała im po piętach.

W skutecznych rozliczeniach konsekwentnie przeszkadzała niemała część prokuratury, sądownictwa i służb. Sabotowano wszelkie wysiłki wymierzenia sprawiedliwości. Przez lata pozorowano pracę i czekano na powrót Ziobry i jego ekipy. Dotyczy to również afery Zondacrypto, która była pod jakimś szczególnym parasolem śledczych. Ten parasol został zwinięty. Pora więc na rozliczenie tych, którzy tak skutecznie blokowali śledztwa. Trzeba to zrobić, by ludzie nie musieli się lękać przestępców. I by nie musieli bezskutecznie, jak siostra zamordowanego Sylwestra Suszka, pukać do drzwi prokuratury. Afery, która ma początek w tym mordzie, nie da się zakopać. Ci, którzy sięgali po te trefne pieniądze, mają czego się bać. Wiedzieli, że nie ma darmowych obiadów. I że bandyci nie robią prezentów. Jeśli płacili, to za współudział w przestępstwach.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 66e3b90ff1

W NUMERZE

KRAJ
8 **Radosław Piesiewicz**
Od zera do milionera i za kratki
12 **Państwo budowane**
na kombatanckiej legendzie
15 **Nasza wspólna historia**
– rozmowa z prof. Stanisławem Sławomirem Nicieją
19 **Wyszkowski z Orderem Orła Białego**
Chamstwo i pogarda nagrodzone
24 **Polska pod napięciem**
Protesty przeciw centrom danych
27 **Wiatr zmienia wszystko**
Prąd popłynął z Bałtyku

TECHNOLOGIE
21 **Nierówna walka**
Cyfrowi oszuści na platformach Mety

OPINIE
28 **Krzysztof Janik**
Rok do wyborów

ZAGRANICA
30 **Cegiełki pod chiński porządek**
BRICS a słabość Zachodu
34 **Koniec zauroczenia Trumpem**
Korespondencja z USA
38 **Następnego dnia świat**
był już zupełnie inny
25. rocznica zamachów z 11 września
42 **Stabilność bez perspektywy**
Korespondencja z Rzymu

KOŚCIÓŁ
46 **Handel ludźmi, przemoc i milczenie**
Ofiary Opus Dei

KULTURA
50 **Moja muzyka zaczęła się od szczerości**
– rozmowa z WalusiemKraksąKryzysem
54 **Qulturalia**
66 **Gold Fish**
Alex Urban i mit złotej rybki

OBSERWACJE
56 **Zastrzyk intensywnych wrażeń i emocji**
Jacek Pałkiewicz: czym jest przygoda

SPORT
60 **Jubileusz chorzowskiej świątyni**
Ostał się tylko Kocioł Czarownic

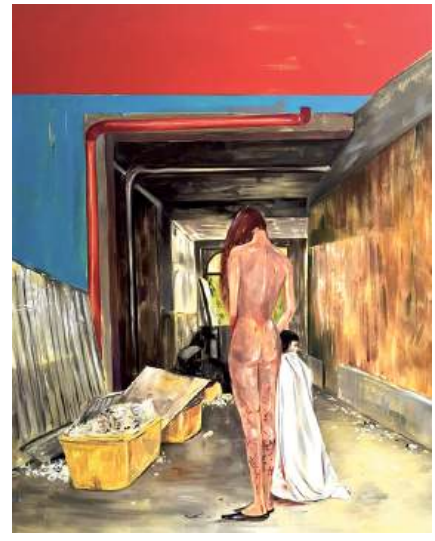
FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Mafia trzyma ich za gardło
33 **Jan Widacki**
Po wakacjach
45 **Andrzej Szahaj**
Wielki backlash
53 **Tomasz Jastrun**
Brać swoje i w krzaki
55 **Roman Kurkiewicz**
KryptoPolska poluje i korumpuje
59 **Wojciech Kuczok**
Kosmiczne bzdury



42
STABILNOŚĆ BEZ PERSPEKTYWY
Korespondencja z Rzymu
ZAGRANICA



50
KULTURA
MOJA MUZYKA ZACZĘŁA SIĘ OD SZCZEROŚCI
– rozmowa WalusiemKraksąKryzysem



66
GALERIA
GOLD FISH
Alex Urban
i mit złotej rybki



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. X.COM/RPIESIEWICZPKOL

eprasa.pl 66e3b90ff1



Odradza się kult Rydza-Śmigłego

Odradzający się kult Rydza-Śmigłego wynika z głupoty, a zwłaszcza braku znajomości historii. Najwyraźniej miłośnicy marszałka zapomnieli o jego i rządu wstydliwej ucieczce do Rumunii. Kolejna kwestia to nierozwiązana sprawa zbrodni na Przełęczy Tucholskiej. Strona ukraińska obwinia Węgrów i Polaków o rozstrzelanie ok. 600 strzelców Siczy Karpackiej. Oczywiście nie twierdzę, że 600, jednak jakieś zdarzenia miały tam miejsce, a za rozkazem rozstrzelania miał stać (zdaniem strony ukraińskiej) Rydz-Śmigły. Uważam, że strona ukraińska przedstawia sytuację na swoją korzyść, ale sprawę należy wyjaśnić. Fani Śmigłego zapominają o jeszcze jednej kwestii – o bandyckim zamachu majowym tego marszałka, który jeździł na słynnej Kasztance. Rydz-Śmigły zamach jednoznacznie poparł, co jest ogromną skazą na jego życiorysie. *Damian Paweł Strączyk*

Manipulowanie informacją

Manipulacją można się posługiwać w sposób intencjonalny. Można napisać 10 zdań, każde będzie prawdziwe, a całość – fałszywa. To mogą być zdania wyrwane ze 100-zdaniowego kontekstu (Jerzy Topolski, „Wprowadzenie do historii", Poznań 1998, s. 160). Na temat relacji polsko-niemieckich można napisać nawet 100-zdaniowy artykuł historyczny, każde zdanie będzie prawdziwe, a całość – teza główna – fałszywa. Dopiero 1 tys. zdań kontekstu może być wyważoną opinią.

Informacją nie powinno się manipulować. Trzeba mieć dobre intencje. Wprawdzie porzekadło mówi: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło", zła trzeba jednak unikać. Dobra nie można relatywizować (Władysław Tatarkiewicz, „O bezwzględności dobra", Warszawa 1919). *Aleksander Dziurzyński*

Kim jest Andrij Sadowy, mer Lwowa



Bardzo ciekawy artykuł. Ale uważajcie, bo za chwilę zostaniecie okrzyknięci tubą propagandową Kremla. Podejrzewam, że już przez niektórych jesteście tak postrzegani, ponieważ na waszych łamach pojawiają się materiały obiektywnie przedstawiające historię i teraźniejszość Ukrainy. *Włodzimierz Mytnik*

Energia do ujarzmienia

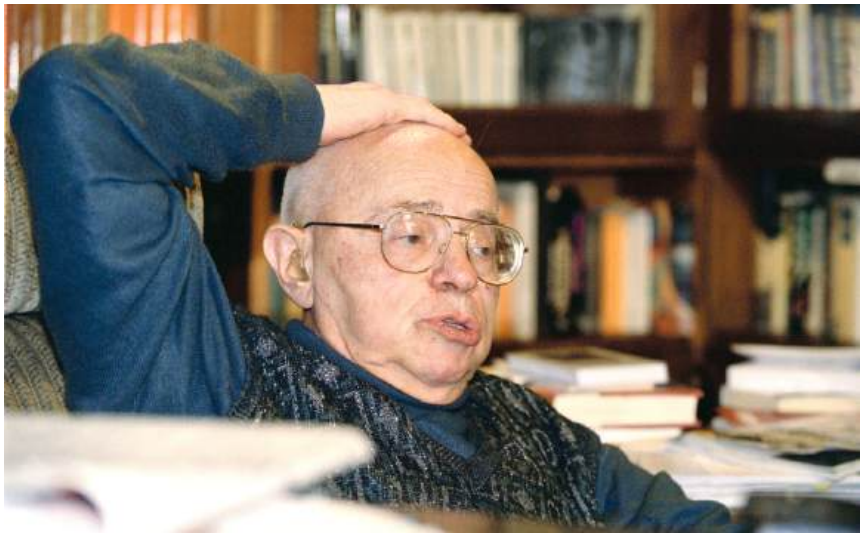
Przypominam, że Ziemia jest kulą. Jeśli kupujemy tony żelastwa w postaci czołgów, śmigłowców, rakiet itp., to gdzieś je wyprodukowano, zupełnie nie zawracając sobie głowy takimi ekologicznymi dylematami, jakie stawia się np. przed emerytką spod Pabianic. A im więcej kupujemy, tym mniej ta emerytka czuje się bezpiecznie.



I nie ma w Polsce polityka ani wojskowego, który byłby w stanie powiedzieć, ile jeszcze muszą nadymić kominy zza oceanu, by emerytka w Polsce poczuła się bezpieczna.

A pewnie nie minie zbyt wiele czasu i dowie się ona, co jeszcze musi robić, by uratować Ziemię. Dowie się też, na co nasze państwo nie ma już pieniędzy albo na co, mimo obietnic, nie będzie miało. A te tony sprzętu zakupionego bez porządnych analiz i fachowego doradztwa najprawdopodobniej będą miały w niedalekiej przyszłości jedynie wartość defiladową. Chyba że nasi politycy i co bardziej podnieceni wojskowi zechcą znowu wziąć udział w okupacji jakiegoś pustynnego kraju. *Michał Błaszczak*

ZDJĘCIE TYGODNIA



Mija 105. rocznica urodzin Stanisława Lema, twórcy polskiej fantastyki naukowej, filozofa, futurysty i eseisty publikującego na naszych łamach w latach 2002-2006. Pisarz urodził się 13 sierpnia 1921 r. we Lwowie, ale jak sam twierdził, w akcie urodzenia wpisano 12 sierpnia, by uniknąć pecha.



Lem o PRZEGLĄDZIE

Regularnie czytam Wasz tygodnik i cenię go. „Przegląd" jest pismem odważnym, wiarygodnym i pisze w nim wielu znakomitych autorów. (grudzień 2001)

FOT. ANNA KACZMARZ/REPORTER

eprasa.pl 66e3b90ff1

Sejm nie dał rady odrzucić trzykrotnego weta prezydenta w sprawie ustawy o kryptowalutach. PiS i Konfederacja ciągle bronią przestępczych interesów, w których brali udział ich politycy.

•

Sejm powołał **Macieja Berka na stanowisko sędziego Trybunału Konstytucyjnego**. Poparli go wszyscy posłowie koalicji rządzącej.

•

Ponad 345 tys. osób, które ukończyły 65 lat, ma łączne długi sięgające **11,8 mld zł.** Kredyty i zaległości wobec banków wynoszą 7,43 mld zł, a 4,36 mld zł to nieopłacone rachunki za prąd, gaz, czynsz, wodę, telefon itp.

•

Od 1 września w przedszkolach i szkołach podstawowych **obowiązuje zakaz smartfonów.** Obowiązkowa jest edukacja zdrowotna. Do klas IV-VI podstawówek wróciły zajęcia z przyrody. Zmiany są także w żywieniu uczniów poprzez wprowadzenie większej ilości warzyw i owoców.

•

Tylko 825 gmin, na prawie 2,5 tys., przyjęło plany ogólne. 638 gmin nie ogłosiło nawet projektów tych planów. Na tych obszarach nie będą możliwe inwestycje budowlane.

•

W ciągu pół roku do jednostek skarbówki wpłynęło ponad **45,5 tys.** materiałów sygnalnych, czyli donosów. O 20% więcej niż rok wcześniej. Ponad połowa zgłoszeń nie ma potwierdzenia w faktach **(Monday News).**

•

Fundacja Grand Press, kierowana przez Weronikę Mirowską, przyznała **Medale Wolności Słowa**. Otrzymali je **siostra Małgorzata Chmielewska, Leszek Jażdżewski i Natalia Panczenko.**

•

Laureatami Nagrody Literackiej Gdynia zostali: **Piotr Paziński** za zbiór „Obstalunki" (Austeria), **Marcin Mokry** za tom poezji „Solarysz", **Weronika Murek** za książkę „Urodziny" (Czarne) i **Elżbieta Sobolewska** za tłumaczenie z węgierskiego książki László Krasznahorkaiego „A świat trwa" (Czarne).

•

Krzysztof Stanowski, szef Kanału Zero, buduje się na wulgaryzmach. Za nazwanie urzędniczki „obrzydliwym babskiem, głupim i wrednym, którą powinno się trzymać na rynku rozebraną do naga", został upomniany przez powiązaną z PiS KRRiT. Taka kara to kpina. Kpiną nie są mandat w wysokości 3 tys. zł, punkty karne i zatrzymanie mu prawa jazdy na trzy miesiące za jazdę 110 km/godz. w terenie zabudowanym (Odrowąż, woj. świętokrzyskie). A jeszcze niedawno apelował do policji, że powinna się zająć „chorym popierdalaniem na drogach". No to się zajęła.

•

Islandia nie będzie się ubiegać o członkostwo w Unii Europejskiej. W referendum 52,8% mieszkańców opowiedziało się przeciw.

•

Najwyższy na świecie posąg Matki Boskiej, nazywany Matką Całej Azji, znajduje się w Batangas (Filipiny) i ma 98,15 m. W Europie najwyższa jest figura w Konotopiu mająca 55,6 m **(„Angora")**.

PRZEBŁYSKI



Siedlecka ciągle na tropie

Ileż to lat minęło od dnia, gdy Joanna Siedlecka zaczęła polowanie na znanych ludzi kultury! Kto pił? I z kim? Co było na stole i ile? Tropiła ich z fanatycznym zapałem. Alfabet Siedleckiej to długa lista pisarzy, poetów, malarzy, ale też polityków. Co ich łączy? Nie zaprotestują, bo nie żyją. Zresztą wątpliwe, czy chciałoby im się reagować na toporne teksty jakiejś Siedleckiej. No bo co zrobić z pieczołowicie przez nią wygrzebaną listą homoseksualistów z otoczenia Jarosława Iwaszkiewicza? Nie było trzęsienia ziemi nawet po donosie na Czesława Miłosza, Marka Hłaskę i Edwarda Stachurę. Ani po lamencie nad losem Hani Lilpopówny, żony Iwaszkiewicza, matki jego córek i babci wnuków. U Siedleckiej „Hania płacze z bezsiły". Ale gdyby żyła i zobaczyła, co o niej J.S. napisała, to dopiero byłby płacz.



Wojenka między imperiami

Czy Tadeuszowi Rydzykowi udało się zbudować coś tak wielkiego, że może nosić dumną nazwę IMPERIUM?

Zazdrośnicy tak widzą dzieło toruńskiego redemptorysty. A że wielu jest krytyków Radia Maryja, Telewizji Trwam i „Naszego Dziennika", to doczekali się riposty. I broszury „Pokonać Goliata. Mechanizmy propagandy medialnych gigantów przeciw Radiu Maryja", której autorami są prof. Janusz Kawecki, szef zespołu wspierania Radia Maryja, oraz pracujący dla Rydzyka Małgorzata Rutkowska i Witold Ludwig. Cóż piszą? Jakież to imperium Rydzyka przy Axel Springer Polska, Bauer Media Polska, TVN Warner Bros. czy Grupie Polsat Plus? Mizerota.

A kasa płynąca z budżetu państwa do mediów Rydzyka? Nie raduje nas. Choć widzimy też, że najbardziej boli to te media, które doją nas na o wiele większą skalę. Tyle że robią to bardziej przebiegle od Rydzyka.



Złodziejskie żniwa w ROD

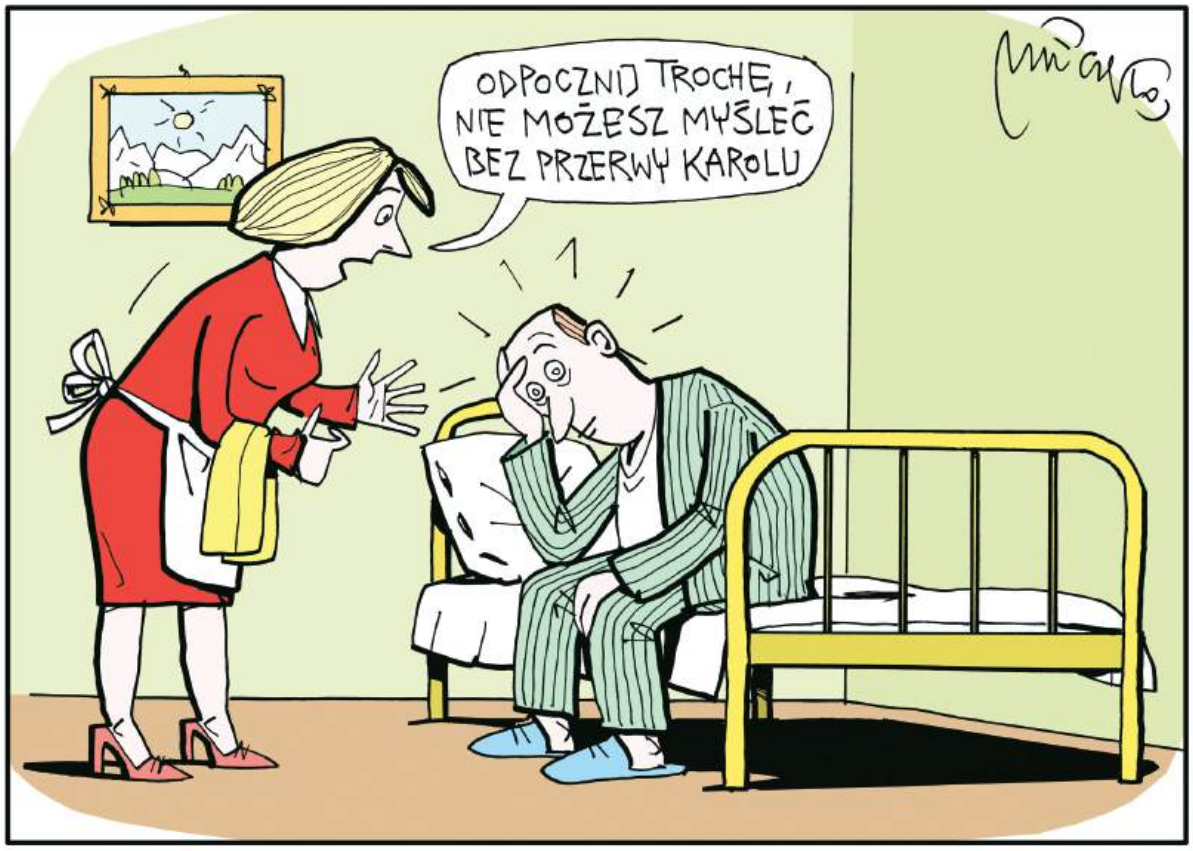
Moda na rodzinne ogrody działkowe (ROD) nie słabnie. Chętnych na kawałek działeczki z altanką jest więcej niż wolnych miejsc w 4,5 tys. ogrodów, które gospodarują na 40 tys. ha.

Szczęśliwi posiadacze ogródków są w szczycie sezonu. Niestety, nie tylko oni. Żniwa mają złodzieje. Buszują po działkach i kradną wszystko. Najczęściej elektronarzędzia, kosiarki, sprzęt ogrodniczy, rowery i butle gazowe. Rekordziści mają na koncie po kilkadziesiąt włamań. Straty idą w dziesiątki tysięcy złotych. Zdarzają się też takie sytuacje jak w Darłowie, gdzie 38-letni złodziej zaczął od zjedzenia kiełbasy i wypicia ośmiu puszek piwa. Najedzony zabrał wkrętarkę i uciekł. Był i taki złodziej, który schował się przed właścicielem za zasłonką. Oraz taki, który czekał z łupem na autobus.

FOT. YOUTUBE, SHUTTERSTOCK, WIKIMEDIA

eprasa.pl 66e3b90ff1

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy darmowa szkoła w Polsce to już fikcja?

DR PIOTR RYCIELSKI,
Uniwersytet SWPS, Wydział Psychologii w Warszawie

Publiczny system edukacji z założenia ma niwelować nierówności społeczne i sprawiać, że dopłaty ze strony rodziców nie będą potrzebne – temu służą choćby bezpłatne podręczniki. Jednak prywatny rynek drogich korepetycji dzieli dzieci na te z zapleczem finansowym i te bez żadnego wsparcia. Również w niektórych klasach widać presję materialną: uczeń bez modnych rzeczy czuje się po prostu gorszy. Do tego dochodzi nakręcany przez dorosłych perfekcjonizm, nakazujący być pierwszym za wszelką cenę. Z ogólnopolskiej diagnozy pedagogicznej wynika wprost, że z roku na rok rośnie u uczniów poziom lęku i objawów depresyjnych powiązanych z presją na osiągnięcia. Rolą szkoły jest pokazywanie niematerialnych źródeł długofalowego dobrostanu, a nie napędzanie rywalizacji kosztem zdrowia psychicznego.

SYLWIA ŻMIJEWSKA-KWIRĘG,
Centrum Edukacji Obywatelskiej

Jako matka trójki dzieci mówię wprost: darmowa szkoła to nie fikcja. To, co system oferuje w ramach edukacji publicznej – łącznie z nieodpłatnymi podręcznikami w podstawówkach – wciąż gwarantuje bezpłatną naukę. Owszem, wyprawka kosztuje, ale to nie szkoła narzuca coroczną wymianę dobrych piórników czy kupowanie drogich gadżetów od influencerów – to mechanizm rynkowy. Prawdziwy problem leży w nierównościach wewnątrz publicznego systemu. Uczniowie z tego samego regionu dostają różną jakość kształcenia, m.in. przez braki kadrowe i rotację nauczycieli. Z kolei rynek korepetycji napędza lęk przed egzaminami i wyścig o miejsca w rankingach szkół. Zamiast pompowania komercyjnego rynku płatnych lekcji potrzeba rozwiązań organizacyjnych dla szkoły: czasu w planie, by nauczyciel mógł uczniowi z trudnościami pomóc w murach placówki.

PAWEŁ MROZEK,
założyciel Akcji Uczniowskiej

To dziś bardziej konstytucyjna fikcja niż rzeczywistość. Choć sama nauka teoretycznie nic nie kosztuje, płatna jest cała otoczka wokół edukacji. Widać to w składkach na radę rodziców, w drogich dojazdach wynikających z wykluczenia komunikacyjnego czy w braku wsparcia przy zakupie podręczników do szkół średnich. Najbardziej jaskrawym dowodem niewydolności systemu pozostaje rynek korepetycji, który stał się drugim, prywatnym obiegiem kształcenia. Rządzący nie powinni oszczędzać na dzieciach – tym bardziej że setki tysięcy najmłodszych żyje w skrajnym ubóstwie. Jako 21. gospodarka świata wciąż nie potrafimy zagwarantować uczniom równych szans ani ciepłych posiłków. Edukacja wymaga realnych nakładów z budżetu, a nie zrzucania kosztów na barki rodziców.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl 66e3b90ff1

RADOSŁAW PIESIEWICZ

Od zera do milionera i za kratki

PKOl stał się wspólnikiem biznesowym w przestępczej działalności Zondacrypto

Andrzej Sikorski

Takiej afery jeszcze nie było w polskim sporcie i ruchu olimpijskim. Radosław Piesiewcz, prezes PKOl, który zawarł tajny układ biznesowy z powiązaną ze środowiskiem przestępczym i PiS giełdą kryptowalut, trafił na trzy miesiące do aresztu. Jeszcze niedawno Przemysław Kral, szef Zondacrypto, w odpowiedzi na mój artykuł „Aferzyści prezydenta RP" w nadesłanym sprostowaniu próbował nieudolnie przekonać red. Jerzego Domańskiego i Czytelników „Przeglądu", że jego interes jest kryształowo czysty, a moje zarzuty bezpodstawne, ale zmienił zdanie. Poszedł po rozum do głowy, czyli na współpracę z prokuraturą. Został tzw. małym świadkiem koronnym i w zamian za złagodzenie kary sypie wspólników oraz mocodawców politycznych – polityków PiS i Kancelarii Prezydenta.

Przestępcze frukta

Na pierwszy ogień poszedł Piesiewicz. Prokuratura zarzuca mu powoływanie się na wpływy w Urzędzie Ochrony Konkurencji i Konsumentów, „które miały wynikać ze znajomości z byłym premierem Rzeczypospolitej Polskiej, i w zamian za przyjętą korzyść majątkową w postaci zegarka o wartości 169 476 zł podjęcia się załatwienia sprawy w UOKiK poprzez ingerencję w postępowanie prowadzone wobec giełdy kryptowalutowej Zondacrypto i jej operatora – spółki BB Trade Estonia OÜ".

Niewymienionym z imienia i nazwiska premierem jest oczywiście Mateusz Morawiecki, a wspomniany zegarek to Patek Philippe Calatrava 6007G-001, szpanerski chronometr z 40-milimetrową kopertą wykonaną z białego złota i czarną tarczą z tłoczonym wzorem przypominającym karbon. Piesiewicz lubuje się w drogich zegarkach. Wcześniej spostrzegawczy dziennikarze wypatrzyli na jego nadgarstku Aerowatch Renaissance Dual Time 51974 AA Polish Basketball Anniversary Limited Edition (wyceniany na ok. 25 tys. zł) i Renaissance Big Mechanical Skeleton 50981 RO01 (wart ok. 17 tys. zł).

Drugi zarzut dotyczy „nakłonienia w kwietniu 2026 r., w Warszawie i Monako, ustalonego członka zarządu spółki BB Trade Estonia OÜ, operatora giełdy kryptowalutowej Zondacrypto, w sytuacji grożącej spółce niewypłacalności lub upadłości, do wypłaty z giełdy środków w wysokości 194 420,15 zł w dniu 7 kwietnia 2026 r. oraz 100 tys. euro w dniu 8 kwietnia 2026 r., czym działał na szkodę pozostałych wierzycieli – użytkowników giełdy Zondacrypto".

Za popełnione przestępstwa Piesiewiczowi grozi nawet osiem lat więzienia. Przy czym należy mieć na uwadze, że śledztwo jest rozwojowe i zarzuty mogą zostać rozszerzone lub zmienione. W środę 2 września zatrzymano kolejne osoby w związku z aferą Zondacrypto. „Nie z pierwszych stron gazet", jak stwierdził minister Waldemar Żurek, ale mające kluczowe dowody i informacje na temat afery, w tym zaginięcia pierwszego prezesa giełdy kryptowalut Sylwestra Suszka. Są to: znany inwestor giełdowy Rafał Z. oraz Jaromira W. i Anna P.

Pierwsza kobieta to była żona Mariana W. „Mańka", przestępcy i głównego podejrzanego w sprawie zaginięcia Suszka. „Maniek" uważany jest za twórcę i nieformalnego szefa Zondacrypto. Natomiast Anna P. to prawa ręka „Mańka" w prowadzonych przez niego na szeroką skalę lewych biznesach paliwowych.

> Za twórcę i nieformalnego szefa Zondacrypto uważany jest Marian W. „Maniek", przestępca i główny podejrzany w sprawie zaginięcia Sylwestra Suszka.

Człowiek Sasina z Wołomina

Reakcje środowiska sportowego na aresztowanie Piesiewicza były jednoznaczne.

„Jako sportowiec nie chciałabym być kojarzona z szemranymi sprawami i aferami. Mam nadzieję, że my, sportowcy, nie będziemy kojarzeni ze sprawą Zondacrypto ani innymi politycznymi kwestiami", powiedziała panczenistka Kaja Ziomek-Nogal. „Dramat kompletny. Jak my wyglądamy? Tego wszystkiego mogło nie być" – to już słowa Adama Konopki,

eprasa.pl 66e3b90ff1



Radosław Piesiewicz został doprowadzony na przesłuchanie do siedziby Prokuratury Krajowej w Katowicach, 27 sierpnia 2026 r.

wiceprezesa PKOl i wiceprezesa Polskiego Związku Szermierczego.

Nie byłoby Radosława Piesiewicza w PKOl i kompromitacji na cały świat, gdyby nie Jacek Sasin. To dzięki układom towarzyskim i znajomości z wpływowym politykiem PiS Piesiewicz zrobił zawrotną karierę. Panowie przyjaźnią się od lat, wzajemnie się wspierając. W 2012 r. Sasin załatwił Piesiewiczowi posadę doradcy burmistrza podwarszawskiego Wołomina Ryszarda Madziara. Nie wiadomo, czym Piesiewicz się zajmował, ale w ciągu dwóch lat zarobił 170 tys. zł. Odwdzięczył się, wpłacając 30 tys. zł na kampanię PiS. Pożyczył także pieniądze Sasinowi, gdy ten był w potrzebie. Próbował sił w prywatnych biznesach, ale z marnym skutkiem. Biuro turystyczne Alfa Star, gdzie był doradcą prezesa Sylwestra Styrzylaka (działacza Polskiego Związku Piłki Siatkowej), upadło z hukiem latem 2015 r.

W tym samym czasie w kłopoty wpadła deweloperska spółka Włodarzewska, która nie płaciła podwykonawcom. We Włodarzewskiej Piesiewicz był doradcą prezesa i głównego akcjonariusza Jerzego Szymańskiego, działacza Polskiego Związku Golfa. CBA podejrzewało, że Piesiewicz w zamian za łapówki pomagał załatwiać deweloperom pozwolenia na budowę w urzędach. Niczego mu nie udowodniono, ale rykoszetem dostał Sasin. Jeden ze świadków zeznał, że polityk PiS chciał ulokować Piesiewicza w urzędzie w Piasecznie. Podejrzewano, że pożyczka 8 tys. zł, którą Sasin zaciągnął u Piesiewicza, była ukrytą łapówką. Śledztwo zostało umorzone, ale w aktach sprawy zapisano, że „bezspornym jest, że osoby wskazane w materiale dowodowym łączą wzajemne relacje urzędowe, biznesowe oraz towarzyskie, czego dowodzą m.in. zeznania świadków (...) oraz zabezpieczone w sprawie dokumenty".

Polityczne dojścia

W 2018 r. Piesiewicz objął prezesowskie stołki w Polskim Związku Koszykówki oraz zarządzającej rozgrywkami Polskiej Lidze Koszykówki. Było to wbrew Ustawie o sporcie, która stanowi, że szef związku sportowego nie może jednocześnie być członkiem organu albo podmiotu świadczącego usługi na rzecz tego związku. Ale w państwie PiS nie przejmowano się prawem.

Kandydaturę Piesiewicza na prezesa PZKosz forsował Grzegorz Bachański, były wieloletni prezes związku, filozof i sędzia międzynarodowy. „Bachański powiedział mi wprost, że zmienił się układ polityczny, a ja, jako człowiek kojarzony z otoczeniem Grzegorza Schetyny, tylko zaszkodzę. Piesiewicz był słaby merytorycznie, gdy na zjeździe wyborczym zacięła się prezentacja multimedialna, pogubił się kompletnie. Ale pokonał mnie zdecydowanie. Bachański zdołał przekonać delegatów, że liczą się przede wszystkim polityczne dojścia", mówił w „Polityce" Jacek Jakubowski, kontrkandydat Piesiewicza w wyborach.

Piesiewicz obiecał działaczom setki milionów złotych ze spółek skarbu państwa. A ponieważ wiadomo było powszechnie, że ma polityczne plecy, wygrał w cuglach. Jako prezes PZKosz i PLK nie dość, że dostawał kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie pensji, to jeszcze kręcił lody na boku. Otóż miał zarejestrowaną jednoosobową działalność gospodarczą i wystawił organizacjom koszykarskim faktury na ponad 9 mln zł (na czysto przytulił 7,3 mln zł), które dotyczyły „pośrednictwa handlowego".

Cwany Piesiewicz naganiał spółki skarbu państwa, by sponsorowały koszykówkę, i brał od tego prowizję. Prezesi spółek nie mieli żadnego interesu w przepalaniu w ten sposób pieniędzy, ale wiedzieli, że Piesiewicz jest protegowanym Jacka Sasina, wicepremiera i ministra aktywów państwowych, a więc politycznego nadzorcy spółek.

eprasa.pl 66e3b90ff1

Takie zarobkowanie przez Piesiewicza było wyjątkowo nieetyczne i stanowiło przestępstwo, bo de facto nie wykonywał on żadnej pracy, tylko wykorzystywał umocowanie polityczne. Naraził przy tym na straty PZKosz i PLK. Pieniądze z prowizji powinny zostać w organizacjach koszykarskich. Śledztwo w „sprawie podejrzenia malwersacji finansowych oraz działania na szkodę Polskiego Związku Koszykówki i Polskiej Ligi Koszykówki" prowadzi Prokuratura Regionalna w Gdańsku.

Rozwalą PKOl

Koszykówka to były zbyt niskie progi dla ambitnego Piesiewicza. Zamarzył sobie, że zostanie prezesem PKOl, a w kwietniu 2023 r. stał już na czele komitetu. Andrzej Kraśnicki, który przewodził PKOl od 2010 r., nie ubiegał się o ponowny wybór. Andrzej Duda wezwał Kraśnickiego do Pałacu Prezydenckiego i przekonał, by dał sobie spokój, bo na jego miejsce jest już kandydat, który cieszy się poparciem działaczy. (Podczas wyborów na prezesa komitetu Piesiewicz zastosował ten sam manewr co w czasie wyborów w PZKosz, czyli obiecał miliony złotych ze spółek). Współpracownicy Kraśnickiego (zmarł w styczniu 2025 r.) twierdzą, że ten po rozmowie z prezydentem był załamany. Ale nie tylko dlatego, że został odstawiony na boczny tor, przejął się tym, w jaki sposób wywierano na niego naciski.



Gdy prezes PKOl Andrzej Kraśnicki (z prawej) zrezygnował z ubiegania się o następną kadencję, jedynym kandydatem na to stanowisko został Piesiewicz. Warszawa, 21 marca 2023 r.

Andrzej Kraśnicki, który przewodził PKOl od 2010 r., pod naciskiem nie ubiegał się o ponowny wybór, a po rozmowie z Andrzejem Dudą był załamany.

W rozmowie z Interią Tomasz Kwiecień, członek zarządu PKOl i prezes Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego, ujawnił, że Kraśnicki powiedział mu, że jeśli nie ustąpi, „to rozwalą PKOl". Coś musiało być na rzeczy, bo pisowska władza próbowała Kraśnickiego udobruchać 4 mln zł, czyli jednoprocentową premią od umów sponsorskich, które zwarto za jego kadencji. Prezes komitetu jednak nie przyjął hojnej oferty, wycofał się z kandydowania, ale i tak groźba prezydenta Andrzeja Dudy została spełniona.

Piesiewicz, gdy już się zainstalował w fotelu prezesa PKOl, rządził niczym udzielny książę przy wsparciu grupy stronników. Choć jego poprzednicy pracowali pro bono, przyznał sobie gigantyczne pensje. Według wyliczeń dziennikarzy od maja 2023 r. mógł zarobić ponad 1,6 mln zł. Przy czym wynagrodzenia nie były na stałym poziomie i zdarzało się, że jednego miesiąca na jego konto wpłynęło 70 tys. zł, a innym razem „tylko" 10 tys. zł. Na przykład za sierpień br. dostał ponad 60 tys. zł – więcej niż prezesi spółek skarbu państwa.

Piesiewicz dawał też zarobić innym zaufanym członkom komitetu. Podpisał umowę na kwotę ponad 400 tys. zł z zakresu public relations z firmami wiceprezesów PKOl: Marianem Kmitą, Dariuszem Olszewskim i Henrykiem Olszewskim.

Prokuratorzy z Gdańska badają również sprawę spółki Olympic Sky, która powstała w 2023 r. z inicjatywy Piesiewicza. Olympic Sky prowadzi ekskluzywną restaurację o tej samej nazwie na ostatnim piętrze Centrum Olimpijskiego w Warszawie. W tym miejscu działała już restauracja, ale Piesiewicz wkrótce po tym, jak został prezesem PKOl, wypowiedział najemcy umowę. Właścicielami Olympic Sky są PKOl (ma 70% udziałów) i przyjaciółka Piesiewicza Julita Słowikowska (30% udziałów). Bizneswoman była niegdyś dyrektorką biura PZKosz i menedżerką hotelu. Wyrzucenie poprzedniego właściciela restauracji, który płacił PKOl czynsz, wydaje się niezrozumiałe. Piesiewicz wpompował w remont i wyposażenie lokalu ok. 1,5 mln zł, co można traktować jako działanie na szkodę PKOl.

Olimpijczycy zakładnikami przestępców

Najbardziej szokująco wybrzmiały jednak postanowienia umowy

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, PAP/PIOTR NOWAK

eprasa.pl 66e3b90ff1

sponsorskiej, którą Radosław Piesiewicz podpisał w imieniu PKOl z Przemysławem Kralem, prezesem Zondacrypto. Dokument został sygnowany w październiku 2025 r. we włoskim Bergamo, a jego treść utajniono przed członkami zarządu komitetu. Jarosław Chałas, radca prawny, który na prośbę Wirtualnej Polski i TVN 24 dokonał analizy umowy, stwierdził, że „nie jest to zwykła umowa sponsorska". W jego ocenie „jest to znacznie dalej idąca umowa komercjalizacji aktywów PKOl i polskiego ruchu olimpijskiego, połączona z projektem kryptowalutowym".

Okazuje się, że Piesiewicz za nieco ponad 18 mln zł przehandlował przestępcom z Zondacrypto oraz powiązanym spółkom i agencjom marketingowym wizerunki polskich reprezentantów (od igrzysk w Londynie w 2012 r.) w strojach olimpijskich, w tym ich twarze, sylwetki i głosy. Bez ograniczeń terytorialnych i medialnych, z prawem do modyfikowania nagrań i zdjęć oraz łączenia ich z tekstem i grafiką.

Mało tego! Komitet zapewniał jednocześnie, że reprezentanci nie będą wysuwać wobec sponsora roszczeń związanych z wykorzystaniem ich wizerunku. A jeśli do tego by doszło, PKOl zobowiązywał się zwrócić sponsorowi poniesione koszty. Zawodnicy mieli nagrywać filmy produkowane przez giełdę, udzielać wywiadów i publikować treści na prywatnych profilach w mediach społecznościowych.

Zgodnie z postanowieniami umowy PKOl, jego władze oraz pracownicy (także po zakończeniu obowiązywania umowy) mieli zakaz wypowiedzi mogących zaszkodzić sponsorowi, nawet gdyby mówili prawdę. Za każde naruszenie przewidziano 50 tys. euro kary. Jeśli zakaz złamał działacz, PKOl miał w ciągu trzech dni publicznie odciąć się od jego słów. Jeśli natomiast komitet chciałby rozwiązać umowę z Zondacrypto z powodu naruszenia prawa przez sponsora, potrzebny byłby prawomocny wyrok sądu. W Polsce na taki wyrok czeka się latami, wypowiedzenie zaś bez podstawy wskazanej w umowie kosztowałoby PKOl 1 mln euro.

Wszystkie zapisy umowy zostały tak skonstruowane, że PKOl stał się de facto wspólnikiem biznesowym w przestępczej działalności Zondacrypto. „W konsekwencji PKOl przestaje być wyłącznie podmiotem sponsorowanym. Staje się jednocześnie ekonomicznie zainteresowany powodzeniem samego tokena. Z jednej strony PKOl udostępnia swój brand, symbolikę olimpijską, kanały komunikacyjne i wizerunki sportowców do promocji projektu. Z drugiej strony jego własne wynagrodzenie jest częściowo uzależnione od powodzenia tego przedsięwzięcia komercyjnego", podkreślił Jarosław Chałas.

Piesiewicz rządził PKOl niczym udzielny książę. Jego poprzednicy pracowali pro bono, a on od maja 2023 r. mógł zarobić ponad 1,6 mln zł.

Choć Piesiewicz siedzi w areszcie, nadal jest prezesem PKOl. I może nim być jeszcze długo. Co prawda, na 8 września zwołano posiedzenie prezydium komitetu, jednak nie po to, by odwołać skompromitowanego prezesa, ale – jak stwierdził jeden z działaczy – aby „ustalić dalszy tok postępowania w zaistniałej sytuacji". Trzeba pamiętać, że Piesiewicz ma mocną grupę stronników, którzy, grając na czas, mogą stosować różnego rodzaju kruczki prawne. Obecnie obowiązki prezesa PKOl pełni jeden z wiceprezesów komitetu, Mieczysław Nowicki, którego wskazał Piesiewicz.

Andrzej Sikorski

PS Z kronikarskiego obowiązku musimy wspomnieć o żonie prezesa PKOl. Agnieszka Piesiewicz za rządów PiS przez kilka miesięcy pracowała jako doradczyni Leszka Skiby, prezesa banku Pekao (tego z żubrem). W tym czasie zainkasowała ponad 1 mln zł. Problem w tym, że pani Piesiewicz nie ma pojęcia o bankowości i finansach, wcześniej pracowała w hurtowni z artykułami biurowymi, a po jej rzekomej pracy nie pozostał żaden ślad.

Z żalem żegnam

Andrzeja Wielowieyskiego

Żołnierza Armii Krajowej,
Wicemarszałka pierwszego Senatu III Rzeczypospolitej,
Posła na Sejm I, II i III kadencji, senatora I i V kadencji,
Posła do Parlamentu Europejskiego, Kawalera Orderu Orła Białego.
Wybitną postać opozycji demokratycznej w PRL i jednego z ojców założycieli III Rzeczypospolitej.
Uczestnika obrad Okrągłego Stołu, a po wyborach czerwcowych współtwórcę odrodzonego polskiego parlamentaryzmu.
Był człowiekiem dialogu, porozumienia i odpowiedzialności za polskie sprawy.

Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy serdecznego współczucia

Włodzimierz Czarzasty
Marszałek Sejmu

eprasa.pl 66e3b90ff1

Państwo budowane na kombatanckiej legendzie

Robert Walenciak



Przewodniczący NSZZ Solidarność Piotr Duda na obchodach 46. rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych. Gdańsk, 31 sierpnia 2026 r.

Kłamstwo stało się sposobem prowadzenia polityki. Na naszych oczach fałszowana jest polska historia. Wmawiane nam są rzeczy, które nie istniały. Wiadomo po co – żeby siebie postawić w gronie szlachetnych, tych, którym wszystko się należy, a przeciwników w gronie ludzi podłych, sprzedawczyków, którym, jeżeli coś się należy, to cela w Rawiczu. To nie jest takie sobie gadanie. Bo te opowieści, jeśli publiczność nie oponuje i przyjmuje je za prawdę, niosą określone, wymierne konsekwencje.

Nie chodzi tylko o personalia. Pisał o tym wielokrotnie na łamach „Przeglądu" prof. Bronisław Łagowski: fałszywa historia prowadzi do błędnej polityki. Za którą płaci cały naród.

•

Rekordy kłamstwa bije dziś Karol Nawrocki. Co opowiadał podczas imprezy zorganizowanej w rocznicę Porozumień Sierpniowych?

Nawrocki wziął udział w uroczystościach organizowanych przez NSZZ Solidarność w dawnej Sali BHP stoczni w Gdańsku. To była osobna uroczystość, bez Lecha Wałęsy, Bogdana Borusewicza, Henryki Krzywonos… Prezydent opowiadał, że w sierpniu 1980 r. przy stole usiedli ludzie „krystaliczni", „sprawiedliwi w PZPR-owskiej sodomie" oraz „wierni Moskwie". Co więcej, ci „wierni Moskwie" wciąż zasiadają na najwyższych stanowiskach w Polsce. A obecna Solidarność to bezpośrednia spadkobierczyni tamtej.

Oto kłamstwo z kluczem. Kolejny etap budowania zakłamanej opowieści o Polsce Ludowej i o III RP, którą słyszymy z ust prawicy i którą realizuje – za miliony złotych – IPN. Nawrocki buduje przecież podział Polski na „krystalicznych" i „wiernych Moskwie". To opowieść jak z komiksu dla dzieci i młodzieży.

W świecie przedstawianym przez Nawrockiego mieliśmy po 1945 r. na ziemiach polskich stan permanentnej wojny domowej patriotów, tych „krystalicznych", z „wiernymi Moskwie". Najpierw prowadzili ją „wyklęci", których każdą zbrodnię IPN usprawiedliwia. Potem mieliśmy kolejne bunty. Oczywiście w imię niepodległości i sprzeciwu wobec Moskwy. A w 1980 r. już decydujący bunt, który zakończył się wielkim zwycięstwem w 1989 r. Zwycięstwem narodu w wyborach 4 czerwca nad zbrodniczą dyktaturą.

Pokażcie mi zbrodniczą dyktaturę, którą obala się kartką wyborczą.

Ta wizja „krystalicznych" i „wiernych Moskwie" wyklucza jakąkolwiek refleksję na temat Polski Ludowej. Przekaz jest prosty: ponieważ było to państwo podległe Moskwie i rządzone przez zdrajców, wszystko, co w tamtych czasach powstało, było złe i służyło zniewoleniu. Każdy więc, kto pracował dla Polski Ludowej, budował szkoły, fabryki, rozwijał tamten kraj – służył złej sprawie, nie Polsce, lecz Moskwie. A każde działanie przeciw tamtemu państwu było chwalebne.

W tej opowieści powinniśmy chwalić takich działaczy jak Andrzej Rozpłochowski, który wołał, że jak Solidarność walnie pięścią w stół, to na Kremlu kuranty zagrają „Mazurka Dąbrowskiego". A ganić tych, którzy prowadzili realną politykę, manewrowania i poszerzania obszarów polskiej samodzielności. Innymi słowy, polityka Gomułki, Gierka, Jaruzelskiego, ale i prymasa Wyszyńskiego, i koła „Znak", w tej wizji na dobre słowo nie zasługuje.

Jak to określić? Przecież taka opowieść niszczy Polskę. Bo niszczy naszą umiejętność myślenia o polityce

FOT. KAROL STRZELECKI/EAST NEWS

eprasa.pl 66e3b90ff1

i jej rozumienia. Czymże jest bowiem polityka? Umiejętnością obrony interesów państwa i narodu, postępowania w taki sposób, by im nie zaszkodzić, stosownie do okoliczności i możliwości. To abecadło tej sztuki. I jest fenomenem, że choć polska prawica co chwila odwołuje się do Dmowskiego czy do Piłsudskiego, zachowuje się tak, jakby o ich pracach i działaniach nie słyszała.

Jest w „Myślach nowoczesnego Polaka" fraza, która tym wszystkim prawicowym krzykaczom, wrogom Polski Ludowej, powinna dać choć trochę do myślenia. Otóż Roman Dmowski pisał: „Głębokie poczucie wspólności z narodem, z jego interesami i dążeniami, nie zależy od tego, czy ojczyzna w danej swej fazie rozwojowej i w danym położeniu podoba nam się, czyśmy z niej zadowoleni, ale zdolne jest ono objawiać się z równą siłą we wszelkich warunkach, zarówno względem wolnej ojczyzny, jak względem będącej w niewoli".

Innymi słowy, kierując się nadrzędnym interesem narodu, polityk musi uwzględniać okoliczności, w których przychodzi mu funkcjonować.

A Piłsudski? Owszem, pisywał o sile ducha i podobne apele. Ale jeśli spojrzymy na jego działania, to okazuje się, że był zwolennikiem twardego stąpania po ziemi. I dogadywał się z zaborcami.

•

Skąd u dzisiejszej prawicy ta łatwość wystawiania świadectwa moralnego i decydowania, kto jest dobrym Polakiem, a kto nie? Radosław Sikorski szydzi z niej, pisząc o karierach późnych antykomunistów. Karol Modzelewski mówił o odwadze hieny cmentarnej; gdy dawny ustrój złożony jest do grobu, można prezentować swój patriotyczny nastrój.

Ale to są opisy działań. A skąd to się wzięło? Przecież ci wszyscy późni antykomuniści nie spadli z księżyca, żyli w Polsce, tak jak ich rodzice. I czego od nich się dowiedzieli? Nie zamierzam nikomu grzebać w życiorysach ani lustrować rodzin, ale dokonajmy prostej wyliczanki. Nie zauważyłem, by rodzice Karola Nawrockiego walczyli z Polską Ludową. Podobnie ojciec Jarosława Kaczyńskiego. Czy ktoś w szacownym panu prowadzącym kursy na politechnice, który wyjechał na kontrakt do Libii, dostrzega bojownika? Konspiratorem nie był też ojciec Mariusza Błaszczaka, a ojciec Andrzeja Dudy, późniejszy przewodniczący sejmiku małopolskiego Jan Duda, opowiadał, jak to z kartonową walizką jechał pekaesem ze swojej wioski do akademika. Na studia. Bo władza ludowa dawała takim jak on łóżko w domu studenckim i skromne stypendium.

Możemy tak wyliczać. To o tyle jałowe zajęcie, że ludzi walczących z Polską Ludową zbyt wielu nie było. Te wszystkie opowieści, które słyszymy, o walczącym z Moskwą bohaterskim narodzie, są weryfikowalne. Opozycja lat 70. to była garstka. 10 mln członków Solidarności w 1981 r. jest legendą. Poza tym obecna Solidarność to cień tej dawnej.

Piotr Szumlewicz ze Związkowej Alternatywy tak ją punktuje: „Dzisiaj centrala Piotra Dudy nie ma nic wspólnego z ówczesnym ruchem. Przez ostatnie lata Solidarność była przybudówką autorytarnego, antypracowniczego rządu Mateusza Morawieckiego, dziś jest strażą przyboczną pisowskiej opozycji. Dziś centrala Piotra Dudy w niewielkim stopniu interesuje się prawami pracowniczymi. Ważniejsza jest dla niej walka z ekologią, migrantami i feministkami, powielanie dogmatów katolickich czy wsparcie dla prawicowej opozycji parlamentarnej.

Solidarność nie interesuje się sprawami związkowymi też dlatego, że w większym stopniu zajmuje się liczeniem pieniędzy. NSZZ Solidarność to obecnie przede wszystkim bogata korporacja, a nie związek zawodowy, Piotr Duda zaś jest głównie menedżerem, a nie związkowcem. Tylko dwie spółki należące do centrali Piotra Dudy, DEKOM i DOMS, są warte ok. 150 mln zł, a zarobki przewodniczącego związku prawdopodobnie są wyższe niż pensja premiera czy prezydenta".

•

Legendą są również opowieści o narodzie, który walczył z komuną. Gdy w 2015 r. przygotowywano ustawę o działaczach opozycji antykomunistycznej i osobach represjonowanych z powodów politycznych, spodziewano się, że będzie obejmowała ponad 100 tys. osób. Rzeczywistość zweryfikowała te rachuby.

Pisze o tym prof. Andrzej Piasecki w „Rzeczpospolitej". Kłopot nastąpił w momencie, gdy ustawa wyliczyła warunki konieczne do potwierdzenia

Z żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

Czesława Śleziaka

Posła na Sejm I, II, III i IV kadencji,
wiceprzewodniczącego i przewodniczącego sejmowej Komisji
Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa,
ministra środowiska w latach 2003-2004.
Z wykształcenia historyka, z zamiłowania niestrudzonego
popularyzatora ekologii i postaw przyjaznych środowisku.

Rodzinie i bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia

Włodzimierz Czarzasty
Marszałek Sejmu

eprasa.pl 66e3b90ff1

statusu działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej z powodów politycznych. Trzeba było się wykazać: aktywnością w nielegalnych strukturach walczących o wolność i prowadzeniem zagrożonej odpowiedzialnością karną działalności na rzecz suwerenności lub praw człowieka co najmniej przez 12 miesięcy, i to poza okresem karnawału Solidarności (od 31 sierpnia 1980 r. do 12 grudnia 1981 r.).

A represjonowani z powodów politycznych? W świetle ustawy to osoby, które straciły życie, zdrowie, wolność (na co najmniej 30 dni), zostały skierowane na ćwiczenia wojskowe albo pozbawione pracy lub wydalone z uczelni (na co najmniej sześć miesięcy). Innymi słowy, żeby być uznanym za działacza opozycji, trzeba było się wykazać konkretną aktywnością, samo gadanie, że nie lubię komuny, nie wystarczyło. Dodajmy, że o status takiej osoby warto się ubiegać, bo wiąże się to z regularnym miesięcznym świadczeniem w wysokości najniższej emerytury (niespełna 2 tys. zł) i z innymi udogodnieniami.

Do tego, nie zapominajmy, niektórzy działacze wystąpili do sądów o zadośćuczynienia i odszkodowania za czas zmagań z PRL. Z perspektywy widać, że było warto – sądy takim działaczom przyznają najczęściej po kilkadziesiąt tysięcy złotych, choć rekordzista Andrzej Gwiazda otrzymał w 2003 r. 1,3 mln zł.

Te odszkodowania to prosperujący biznes. Internet pełen jest ofert kancelarii prawnych, które obiecują, że w sądzie załatwią dobrą kwotę. Nie kilkadziesiąt tysięcy, bo to ochłap, jak powiedział jeden z działaczy, tylko kilkaset. Warto więc mieć kwit, że walczyło się z ustrojem socjalistycznym, ale trudniej go zdobyć. Ze statystyk Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych wynika, że niemal jedna czwarta wniosków została odrzucona, a łącznie status potwierdziło dotąd ok. 19 tys. działaczy lub represjonowanych, z tym że część z nich już nie żyje.

Według danych urzędowych w kwietniu 2026 r. żyło 15 927 opozycjonistów. To dużo czy mało?

Przed wojną Komunistyczna Partia Polski, działająca nielegalnie, ścigana przez policję, liczyła – jak podaje IPN – 17 tys. członków. A nikt przecież nie sądzi, by stanowiła ona realne niebezpieczeństwo przeprowadzenia rewolucji. Zresztą w Polsce Ludowej milicjantów było ok. 80 tys., a funkcjonariuszy SB – 24 tys.

Jakkolwiek by patrzeć, te 19 tys. opozycjonistów to nie była grupa, która mogła zagrozić ustrojowi. Mogła być dokuczliwa, stanowić sumienie władzy, ale przecież nie realną siłę zdolną obalić ustrój. Jeżeli zatem tak było, jakim cudem ta niewielka grupa potrafiła narzucić całemu społeczeństwu swój punkt widzenia i narrację co do historii Polski?

Odpowiedź jest wielopiętrowa. Po pierwsze, dlatego że mogła. SLD, spadkobierca PZPR, nie podjął poważnej próby obrony dorobku Polski Ludowej. Wybrano taktykę odpuszczenia, podlizywania się tym, którym dano władzę. Z nadzieją, że zwycięzcy w końcu też odpuszczą. Zupełnie bez sensu, bo Solidarność czy wywodzące się z niej ugrupowania przyjęły zmagania z ustrojem jako swoją legitymizację. I narzuciły społeczeństwu swój sposób widzenia świata, spraw krajowych i zagranicznych oraz system wartości. To wszystko działacze tych partii wynieśli z konspiracji, bo innego świata nie znali. Zainfekowali Polskę swoimi fobiami. Obsesyjnym szukaniem agentów, rewanżem na SB, lustracją. W ten sposób wprowadzono do życia publicznego nowy element oceny kwalifikacji – nie tytuły profesorskie się liczą, nie wiedza, doświadczenie, dorobek, ale wpisy w teczkach SB.

Wzajemna podejrzliwość obrodziła wzajemnymi oskarżeniami. Status działacza stał się dla niektórych ważny. Odmówiono go więc Lechowi Wałęsie (wiadomo dlaczego), dwukrotnie odmawiano Danucie Wałęsowej. Za to przyklepały go sobie różne śmieszne osoby, zupełnie nieznane z działalności opozycyjnej.

Pogląd, że skoro ktoś był działaczem podziemia, należą mu się najważniejsze stanowiska, zdewastował życie publiczne. Dziennikarka „Gazety Wyborczej" Ewa Milewicz napisała kiedyś, że SLD mniej wolno. Teoretycznie nic w tych słowach nie ma złego, poza jednym: oznaczają one, że solidarnościowcom wolno więcej.

Nawyki z konspiracji przyniosły również inne nieszczęście, czyli nieumiejętność politykowania. To nie jest ważenie sił, zbieranie argumentów, próba znalezienia kompromisu, co wymaga zimnej analizy, języka faktów, no i choćby podstawowego szacunku dla partnera. Nic takiego w polskiej polityce się nie dzieje. Zamiast tego jest wzajemne traktowanie się z moralną wyższością. A jak dogadywać się z kimś, kim się pogardza? Jak działać, skoro wciąż wmawiamy i sobie, i innym, że Polska była obszarem nieustającej bitwy, polem walki. A potem okazuje się, że tych walczących było tylu, ilu komunistów przed wojną.

•

Zapyta ktoś, po co tak lamentuję, skoro Polska jakoś sobie w świecie radzi, zwłaszcza w sprawach gospodarczych. Mam dwie odpowiedzi. Pierwszą, oczywistą: proszę sprawdzić, ile pieniędzy wpłynęło z Unii Europejskiej do Polski, i wtedy zobaczymy, za czyje pieniądze tak się stawiamy. Druga odpowiedź jest ważniejsza: sprawdźcie, panie i panowie, życiorysy menedżerów, właścicieli firm, ludzi sukcesu. Solidarnościowców wśród nich raczej nie ma.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Odszedł

Czesław Śleziak

Wybitny polityk Lewicy, miłośnik Beskidów, kompan z ławy poselskiej I kadencji Sejmu RP.

Szczere wyrazy współczucia dla Rodziny i Najbliższych

Marek Siwiec
Szef Kancelarii Sejmu

eprasa.pl 66e3b90ff1

Nasza wspólna historia

Nie było państwa polskiego, ale był polski Lwów

Rozmawiają Robert Walenciak, Jerzy Domański, Paweł Dybicz



Prof. STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
– historyk biografista, autor monumentalnego, dotychczas 23-tomowego cyklu „Kresowa Atlantyda"

Nie ma Kresów bez Lwowa, ale też bez Ukrainy i Ukraińców. A przecież jeszcze przed wojną mówiono o nich Rusini, wyróżniała ich przede wszystkim religia.

– Współczesna Ukraina ma bardzo krótką historię. Jako osobna społeczność Ukraińcy wyraziście ujawnili się dopiero po 1848 r., czyli po Wiośnie Ludów. Markijan Szaszkewycz, Iwan Wahyłewycz oraz Jakiw Hołowacki to była ta trójca, która zaczęła udowadniać, że jest absolutnie osobny naród ukraiński i naród ten ma swój własny język. Takiego stanowiska nie akceptowali ani Rosjanie, którzy uważali, że ten język to zepsuta ruszczyzna, ani Polacy, uważający, że to zepsuta polszczyzna. Ale trzej wymienieni intelektualiści – nazwani Ruską Trójcą – nie ulegli i podjęli intensywną działalność, aby wykazać, że racja jest po ich stronie.

Ruska Trójca, działająca głównie we Lwowie, postanowiła społeczność posługującą się językiem, który Rosjanie i Polacy uważali za jakieś gwarowe wynaturzenie, nazwać Ukraińcami, a państwo Ukrainą, co etymologicznie oznacza ziemię rodzimą. To państwo miało być zamknięte granicami od Charkowa na wschodzie po Przemyśl na zachodzie.

Wielka idea.

– Ruska Trójca i kontynuatorzy jej myśli, tacy jak Wołodymyr Barwinsky, Kost Ławycki, Julian Romanczuk czy Iwan Franko, jeden z największych pisarzy i publicystów ukraińskich, nadali tej idei wielką dynamikę. Po 1864 r. proces przyśpieszył – Ukraińcy tworzą we Lwowie swój teatr, a Anatol Wachnianin ukraińskojęzyczne stowarzyszenie społeczno-oświatowe Proswita; powstają ukraińskie gazety, szkoły, podręczniki itp. Z Kijowa do Lwowa, gdzie były nieporównywalnie większe swobody obywatelskie, przyjechał Mychajło Hruszewski, wybitny historyk, nazywany przez Polaków ukraińskim Lelewelem; napisał on dziesięciotomową historię Ukrainy-Rusi, od Jarosława Mądrego i książąt halickich.

I ten naród, żyjący między Moskalami a Polakami, pomieszany, zaczął mieć swoją świadomość.

– Wtedy też pojawiła się ideologia, którą Hruszewski i jego następcy wzięli na sztandary. Ukraińcy wzięli przykład z Polaków.

W jaki sposób?

– Miejmy świadomość, bo to absolutny unikat, że w czasie zaborów nie tylko utrzymaliśmy polskość we Lwowie, ale, mimo niewoli i braku swojego państwa, Polacy wręcz zdominowali to miasto językiem i kulturą. Miasto, w którym przecież żyło kilkanaście innych nacji. Po 1772 r. austriacka administracja zaborcza wysłała do Lwowa całe zastępy urzędników germanizatorów. Miasto miało się nazywać Lemberg, a wszystkie instytucje, z ratuszem na czele, miały szyldy w języku niemieckim. Jak opisywałem Cmentarz Łyczakowski, założony cesarskim dekretem w 1783 r., to wykazałem w swojej monografii, że przez pierwsze 40 lat nagrobki w większości miały inskrypcje w języku niemieckim. Dopiero po roku 1830 polskość zaczęła wracać falą i z roku na rok zyskiwać dominację. W mieście, w którym obok siebie żyło tych kilkanaście nacji, w tym tak dynamicznych jak Żydzi, Ormianie, Austriacy, Czesi, Węgrzy, no i rozbudzeni narodowo Rusini, przyjmujący

eprasa.pl 66e3b90ff1

nazwę „Ukraińcy”, Polacy wybijają się na plan pierwszy. Liczne rodziny żydowskie się polszczą, zasilając polską kulturę twórcami – jak Marian Hemar, Józef Wittlin, Stanisław Jerzy Lec, Ostap Ortwin czy Stanisław Lem – głęboko w nią wrośniętymi, głoszącymi, jak Hemar, że „polszczyzna to ich ojczyzna”.

To zaskakujące?

– Na przykład Żydzi wileńscy nie ulegli procesowi polonizacji, tam objawił się główny ośrodek języka jidysz, a prócz jidysz używali języka rosyjskiego. We Lwowie, stolicy austriackiej Galicji, Polacy byli namiestnikami, prezydentami miasta, rektorami uniwersytetu i politechniki, dyrektorami poczty czy dworca kolejowego.

Pod zaborami nie tylko utrzymaliśmy polskość we Lwowie, ale, mimo niewoli i braku swojego państwa, Polacy wręcz zdominowali miasto językiem i kulturą.

Nie było państwa polskiego, ale były dwa polskie teatry, polska filharmonia, kilkanaście polskich gimnazjów, wielkie biblioteki – Ossolińskich i Baworowskich, polskie muzea – w tym etnograficzne Dzieduszyckich, galerie obrazów, wielka Panorama Racławicka, pokazująca triumf oręża polskiego nad Moskalami. Stawiano pomniki polskim twórcom, np. Fredrze, Ujejskiemu, Mickiewiczowi.

A urzędnicy cesarscy, kupcy?

– Ci Niemcy i Austriacy, którzy przyjechali germanizować miejscową ludność, żenili się z Polkami i przez nie – co też jest swoistym fenomenem – byli skutecznie przerabiani na Polaków. Jak się weźmie przedwojenną książkę telefoniczną miasta Lwów, to tam co drugie nazwisko jest niemieckie, pełno Weiglów, Steinhausów, Heidenreichów itd. A później młodzi noszący te nazwiska walczyli w obronie Lwowa, jego polskości i uważali się za absolutnych Polaków. I Ukraińcy w pewnym sensie wzięli z tego wzorzec.

W jaki sposób?

– Widzieli, jak to zrobili Polacy przez swój system szkolnictwa i propagowania swojej kultury. Anatol Wachnianin, twórca Proswity, takiej ukraińskiej Macierzy Polskiej, mówił: „Trzeba kształcić!”. I w każdym miasteczku galicyjskim do dzisiaj najpiękniejsze budynki to dawne siedziby polskiego Sokoła i ukraińskiej Proswity. Ukraińcy zaczęli kształcić młodzież w swoich gimnazjach, zaczęli także wchodzić do polskich gimnazjów. Polacy zaś postanowili to blokować. Była również walka o uniwersytet. I tak zaczęły się potęgować napięcia, a za nimi poszły akty terrorystyczne.

Jeszcze przed I wojną światową.

– Tak. Pierwszy wielki wstrząs wywołało zabicie namiestnika Galicji, Polaka, hrabiego Andrzeja Potockiego, który był bardzo proukraiński, próbował budować polsko-ukraińskie porozumienie, a tacy byli głównymi wrogami nacjonalistów.

Bo nacjonaliści żywią się konfliktem i nienawiścią.

– W Niedzielę Palmową 1908 r. student uniwersytetu Myrosław Siczynski przyszedł na audiencję do Pałacu Namiestnikowskiego, wyciągnął rewolwer i zastrzelił Potockiego, ojca ośmiorga dzieci. Polacy nie zdecydowali się na powieszenie zabójcy, aby nie potęgować konfliktu. Osadzili go w więzieniu w Stanisławowie, a później pozwolili mu uciec do Kanady. Dożył tam sędziwego wieku – 92 lat. Teraz jest uważany za bohatera, ma nawet swoje ulice w wielu miastach ukraińskich. W Kanadzie przez jakiś czas pracował przy nim nad swoimi dziełami twórca nacjonalizmu ukraińskiego Dmytro Doncew, którego ideologią przesiąkli Bandera, Szuchewycz i wielu innych.

Na Uniwersytecie Lwowskim nie było już miesiąca, aby nie doszło do krwawych bijatyk – głównie młodzieży endeckiej z ukraińskimi studentami. Szczyt to walka o Lwów w listopadzie 1918 r. W mieście zginęło kilka tysięcy osób. I to już była wojna, którą Ukraina przegrała i straciła szansę na wywalczenie swojego państwa.

A potem mamy okres międzywojenny.

– To czas, gdy Ukraińcy podejmują walkę z administracją polską i nasilają terror. We Lwowie doszło do nieudanego zamachu na Piłsudskiego, a później na prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Prezydent Mościcki, kiedyś profesor Politechniki Lwowskiej, w ogóle bał się jechać do tego miasta. Nacjonaliści ukraińscy zabili polskiego kuratora oświaty Stanisława Sobińskiego, gdy wychodził z kina. Zrobili to na oczach córki i żony. Z rąk ukraińskich zginął też były żołnierz walczący o ukraiński Lwów, a później dyrektor ukraińskiego gimnazjum, Iwan Babij, bo podobno był zbyt propolski.

To była jego główna zbrodnia.

– W roku 1931 w Truskawcu zginął w zamachu Tadeusz Hołówko, główny zwolennik współpracy polsko-ukraińskiej. A szczytem osiągnięć ukraińskich nacjonalistów było zabójstwo w centrum Warszawy polskiego ministra spraw wewnętrznych, nadzorującego policję, Bronisława Pierackiego. Polska administracja próbowała paraliżować ukraińskie działania represjami, które nie przynosiły spodziewanych efektów. A szczytem głupoty ze strony polskiej było burzenie cerkwi ukraińskich. Spirala konfliktu się nakręcała.

Ukraiński nacjonalizm bardzo mocno wspierali Niemcy, zwłaszcza w czasach administracji hitlerowskiej. I w czasie wojny pod ich skrzydłami wyrósł ten wielki banderowski ruch skierowany przeciwko ludności polskiej i żydowskiej, którego najgroźniejszymi postaciami stali się Roman Szuchewycz i Dmytro Klaczkiwski „Kłym Sawur” – absolutni, sadystyczni zbrodniarze.

Dziś na Ukrainie uważani za bohaterów.

– Obecnie na Ukrainie ten bardzo antypolski nurt przedwojennego nacjonalizmu jest idealizowany i faworyzowany. Tacy ludzie mają swoje ulice, tablice pamiątkowe, pomniki, ma być w Kijowie zbudowany dla nich specjalny panteon, a na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie już taki jest.

Ubolewam nad tym, że niemal zupełnie pomija się postacie, które na niwie kultury, literatury i nauki współpracowały z Polakami i dążyły do eliminacji konfliktów polsko-ukraińskich, takie jak choćby wspomniany

eprasa.pl 66e3b90ff1

wyżej Anatol Wachnianin, malarz Ołeksa Nowakiwski czy poeta Platon Kostecki, autor wiersza, którego pierwsza zwrotka w polskim przekładzie głosi: „W imię Ojca i Syna – To nasza modlitwa. / – Jako Trójca, tak jedyna – Polska, Ruś i Litwa".

Mógłbym tutaj wymienić kilkadziesiąt nazwisk osób, które łączyły Polaków i Ukraińców, oraz polityków, jak choćby Semen Petlura. Ale oni nie mają swoich ulic na Ukrainie. O wojewodzie Henryku Józewskim na Wołyniu, który włożył ogromny wysiłek w polsko-ukraińskie pojednanie, na Ukrainie głucho, o poecie Zygmuncie Rumlu – synu Polaka i Ukrainki, autorze wiersza „Dwie Matki", zabitym przez banderowców – też głucho. Mógłbym mnożyć nazwiska, ale nie miejsce na to w tym wywiadzie.

Ale przecież ten renesans nacjonalistów nie nastąpił z dnia na dzień!

– Jeżdżąc tam kręcić filmy, widziałem, jak to się niewinnie zaczynało przed trzydziestu kilku laty. Od małej tabliczki upamiętniającej jednego z banderowców, którą usytuowano na jego chacie w okolicach Zaleszczyk, a potem małej tabliczki w miejscu, gdzie urodził się Stepan Bandera. Później tablice były już większe i w coraz liczniejszych miasteczkach i wsiach. Zaczęły się pojawiać popiersia i pierwsze pomniki Bandery gdzieś w Horodence czy w Delatynie. I na początku XXI w. ruszyło na całego. Główne ulice i place we Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu nazywano



jednym z największych hagiografów ruchu banderowskiego, który kiedyś bezwzględnie zwalczał. Wtedy jako historyk zajmujący się problematyką polską pisał z wielką aprobatą o Marchlewskim, Dzierżyńskim, SDKPiL, a dziś poszedł w drugą stronę. I nie jest jedyny, również jego koledzy historycy przyjęli obecną narrację. Wtedy byliśmy w bliskich relacjach. Jeżeli nie uważali mnie za swojego przyjaciela, to na pewno za dobrego kolegę, którego przyjmowano w domach. Dzisiaj nie wiem, czy zechcieliby siąść ze mną przy stoliku kawiarnianym.

Niemcy i Austriacy, którzy przyjechali germanizować miejscową ludność, żenili się z Polkami i przez nie byli skutecznie przerabiani na Polaków.

imieniem Bandery, stawiając przy nich wielkie pomniki tego „bohatera".

A ukraińscy historycy co na to?

– Przyjeżdżałem do Lwowa w 1981 r., gdy pisałem o Łyczakowie, rozmawiałem z jednym z historyków… Nie chcę wymieniać jego nazwiska, nie chcę mu szkodzić. Mówiłem do niego: „Solidarność to jest ciekawy ruch w Polsce". A on mi odpowiadał: „Co ty mówisz! To jest kontrrewolucja, za tym stoją polscy banderowcy". On obecnie tak diametralnie zmienił poglądy, że jest

Przestawili się na nową wiarę.

– Tak. Zaczęli wspierać ideę stawiania pomników banderowcom. Cynicznie na polskiej szkole, w tej chwili jedynej we Lwowie, umieszczono tablicę ku pamięci Szuchewycza. Przy wejściu na Cmentarz Łyczakowski zrobiono kwaterę sławiącą bojowców Szuchewycza i jego jako dowódcę SS Galizien. To wszystko odbywało się i odbywa za przyzwoleniem lwowskich władz. Widziałem też przeobrażanie się długoletniego mera Lwowa (od 2006 r.) Andrija Sadowego. Byłem jako senator RP i rektor w oficjalnych delegacjach we Lwowie. Widziałem, z jaką atencją przyjmowali i gościli Sadowego we Wrocławiu prezydenci Zdrojewski, a później Dutkiewicz. Jak propolski był wówczas Sadowy... Posługiwał się świetną polszczyzną. A kilka lat później, w lipcu 2011 r., byłem przy odsłonięciu pomnika polskich profesorów zamordowanych przez Niemców.

Tego na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie.

– Byłem przy odsłonięciu w delegacji polskiej z prezydentem Dutkiewiczem. Sadowy nie dopuścił, aby na pomniku znalazł się napis, że pomordowani byli polskimi uczonymi, choć dobrze wie, że to byli Polacy. Pokrętnie twierdził, pod wpływem swojego politycznego zaplecza, że byli to międzynarodowi uczeni, bo jeden nazywał się Roman Longchamps de Bérier – a więc Francuz, drugi Adam Sołowij – a więc Ukraiiniec, trzeci Kasper Weigel – a więc Niemiec, Henryk Hilarowicz – Żyd, Kazimierz Vetulani – Włoch. Jacy to więc Polacy? To lwowscy uczeni – mówił. W efekcie nie ma tam napisu! Na takie kompromisy szła strona polska. A Sadowy po odebraniu prezydentowi Wołodymyrowi Zełenskiemu Orła Białego odpalił w kierunku Polski już taką armatę propagandową, że wielu z nas, nie tylko tu, na Śląsku, oniemiało.

Dlaczego, skoro mamy wojnę rosyjsko-ukraińską, dzisiejsza Ukraina wybiera takich, a nie innych bohaterów? Dlaczego np. nie upamiętnia tych, którzy w latach 30. byli w ZSRR likwidowani?

– To jest zadziwiające, że banderyzm rozrósł się w tej części Ukrainy, która była w granicach Polski. Bo w części przejętej przez ZSRR Stalin w bezwzględny sposób zniszczył wszystko, co wiązało się z jakąkolwiek polityczną niezależnością ukraińską i społeczność ukraińską na wsiach zagłodził. W końcu wydawało się, że tamta część Ukrainy tak zrosła się z Rosją, że to już się nie rozplącze. I Putinowi pewnie też tak się wydawało. Dlatego uważał, że szybko zabierze Charków, Kijów czy Odessę, bo były to obszary w pełni rosyjskojęzyczne. A jak wyszło, to widzimy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 66e3b90ff1

Spotykam ludzi z Odessy, mówią: „Mówimy po rosyjsku, ale jesteśmy Ukraińcami”. To wręcz szok, że tak przez całe wieki głęboko zrośnięte ze sobą narody rozerwały więzi i w krótkim czasie wytworzyła się między nimi taka nienawiść.

I ta nienawiść, łatwo ją zrozumieć, prowadzi ich do Bandery?

– Oni poszli tym nurtem. Bandera! Bohater, bo walczył z Rosjanami! Ale jeżeli oni wytworzą państwo oparte na tej ideologii i na tym rodzaju narodowego patriotyzmu, to będzie ono izolowane, przynajmniej w znacznej części Europy. Bo z tą ideologią, z tymi czerwono-czarnymi sztandarami, daleko zajść się nie da. My w Polsce jesteśmy pierwszymi, którzy o tym mówią, ale Europa kiedyś to zauważy. I oni będą musieli z tej ideologii się wycofać.

Europa banderyzmu nie przyjmie.

– Są i inne błędy. Ukraina to dziś państwo na kroplówce, ale przeżarte różnymi korupcyjnymi procesami. Tam idą ciężkie pieniądze, dokładnie jednak nie wiemy, jak są wydawane. Wiemy tylko, że ludzie giną. Dla tego narodu to straszna rzecz. W moim odczuciu Wołodymyr Zełenski zostanie źle oceniony w przyszłej historiografii ukraińskiej. Z sezonowej gwiazdy, jaką był, stoczy się na pozycję meteoru, który błyszczał przez jakiś czas. Jeżeli to państwo na początku wojny obszarowo było prawie dwukrotnie większe od Polski i miało ok. 10 mln więcej mieszkańców, a obecnie, w trakcie tej wojny, ma 10 mln mniej niż Polska i straciło 20% dawnego obszaru, to już jest pyrrusowe zwycięstwo. A jeszcze nie wiemy, jak wszystko się skończy. Zełenski dał się przekonać tak „wytrawnym” politykom jak brytyjski premier Boris Johnson, że może tę wojnę z Rosją wygrać na froncie, i nadal wierzy zachodnim sojusznikom, w postaci Macrona i jemu podobnych „chętnych”, że odbije całe terytorium.

A w Polsce? Jak pan ocenia rosnącą niechęć do Ukraińców? Kiedy pan czyta, że ukraińska para została pobita we Wrocławiu, że 76-latek pobił Ukrainkę laską, a cały czas pojawiają się tego typu informacje.

– To są incydenty. Ich sprawcami są najczęściej jakieś zaburzone osoby, które należy bezwzględnie napiętnować, izolować i karać. Ale to jest margines. Nie można mówić o zjawisku masowym.

Ale niechęć do Ukraińców narasta.

– Znakomicie ten problem opisał na łamach „Przeglądu” Julian Stałgo (34/2026), że jest to w dużym stopniu wynik „zbyt nachalnej i zbyt bezwzględnej proukraińskiej, a jednocześnie antyrosyjskiej propagandy”, uprawianej przez polską dyplomację i media, oraz że „propaganda ta przekroczyła granice zdrowego rozsądku w demonizowaniu Rosji i gloryfikowaniu Ukrainy”. Ze swojej strony mogę dodać, że powstało też u Polaków przekonanie, że Ukraińców nie tylko wyróżnia się propagandowo, ale także są w różny sposób faworyzowani: u lekarza, na uczelniach, przy zatrudnianiu. I następuje ostre, wręcz irracjonalne odreagowanie, któremu za wszelką cenę należy zapobiegać.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Jerzy Domański
j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 66e3b90ff1

WYSZKOWSKI z Orderem Orła Białego

Chamstwo i pogarda nagrodzone

Andrzej Sikorski



Podczas uroczystości z okazji 46. rocznicy podpisania porozumień sierpniowych prezydent Nawrocki odznaczył Krzysztofa Wyszkowskiego Orderem Orła Białego. Gdańsk, 31 sierpnia 2026 r.

31 sierpnia, podczas obchodów 46. rocznicy podpisania porozumień sierpniowych oraz powstania NSZZ Solidarność, Karol Nawrocki wręczył Order Orła Białego Krzysztofowi Wyszkowskiemu. Działacz opozycji w PRL, nazwany „legendą podziemia antykomunistycznego", najwyższe odznaczenie państwowe dostał „w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej, w szczególności dla przemian demokratycznych i wolnej Polski, za osiągnięcia w działalności państwowej i publicznej".

Gdy Nawrocki hołubił Wyszkowskiego, w warszawskim Kościele Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu odbywały się uroczystości pogrzebowe Wandy Traczyk-Stawskiej, żołnierki AK, uczestniczki powstania warszawskiego, psycholożki, nauczycielki i działaczki społecznej. Karol Nawrocki nie tylko nie uhonorował zmarłej Orderem Orła Białego, ale jeszcze postanowił pośmiertnie ją upokorzyć. W krótkim liście odczytanym przez ministra Wojciecha Kolarskiego prezydent stwierdził, że zasłużona weteranka powstania „w odrodzonej, suwerennej Polsce (…) pozostawała osobą aktywnie obecną w życiu publicznym", a „jej poglądy i oceny niejednokrotnie wywoływały spory i różnice zdań". Było to haniebne stwierdzenie. Nawrocki pił bowiem do wydarzeń sprzed kilku lat.

Wanda Traczyk-Stawska broniła demokratycznych wartości, krytykując rządy PiS i odradzający się brunatny nacjonalizm. W 2018 r. poparła protest osób z niepełnosprawnościami i próbowała spotkać się z uczestnikami, ale marszałek Marek Kuchciński nie wpuścił jej do gmachu parlamentu. W 2020 r. wsparła protesty kobiet przeciwko zaostrzeniu przepisów dotyczących aborcji. W 2021 r. zabrała głos podczas manifestacji na Placu Zamkowym w Warszawie po kuriozalnym orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego wydanym na zamówienie PiS w sprawie uznania wyższości konstytucji RP nad prawem Unii Europejskiej.

„Ja jestem żołnierzem, który pamięta, jak krew się lała, jak moi koledzy ginęli, ja tu jestem, aby wołać w ich imieniu! Nasza ojczyzna to Polska w Europie! Nikt nie wyprowadzi nas z Europy! Europa to także moja matka!", mówiła Traczyk-Stawska. Jej przemówienie próbował zagłuszyć kumpel Nawrockiego, neofaszysta Robert Bąkiewicz. „Milcz, głupi chłopie, chamie skończony!", odcięła się żołnierka AK, co wywołało entuzjazm zgromadzonych. A w proteście wzięło udział ponad 100 tys. ludzi.

Wyszkowski wpadł w furię. Styropianowy kombatant Solidarności porównał Wandę Traczyk-Stawską do hitlerowskiego zbrodniarza, degenerata i przestępcy seksualnego Oskara

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

eprasa.pl 66e3b90ff1

Dirlewangera, którego oddziały SS złożone z kryminalistów wymordowały kilkadziesiąt tysięcy ludzi, w tym mieszkańców Warszawy. „Krzysztof! Proszę! Nie!!! Tak nie wolno! Są jednak rzeczy i sprawy nieporównywalne”, apelował Sławomir Cenckiewicz. Podobnego zdania był ówczesny rzecznik IPN Rafał Leśkiewicz, według którego „ten komentarz nie miał prawa się pojawić”.

Za coś takiego Wyszkowski powinien zostać wykluczony z życia publicznego, ale środowisko PiS, w tym Karol Nawrocki, który był prezesem IPN, uznało, że nic poważnego się nie wydarzyło. Prof. Tadeusz Wolsza, szef Kolegium IPN (Wyszkowski jest członkiem tego gremium) stwierdził, że „za prywatne wypowiedzi i komentarze, które nie są stanowiskiem Kolegium IPN, odpowiada wyłącznie ich autor”.

Politycy PiS byli też pobłażliwi wobec Wyszkowskiego, gdy ten w 2019 r., komentując na Twitterze obchody wybuchu II wojny światowej, pisał o prezydent Gdańska: „Dulkiewicz nie wie nawet tego, kto jest ojcem jej córki, więc nic dziwnego, że do swoich bezecnych szaleństw na rocznicę wojny wybrała niemieckiego oszusta i żydowskiego aferzystę”. I jeszcze: „1.09 finałem tuskoidowego »świętowania« będzie mianowanie ojcem dziecka Dulkiewicz N.N. kanoniera z pancernika Schlezwig-Holstein” (pisownia oryginalna).

Wybuchł skandal, a do ówczesnego przewodniczącego Kolegium IPN prof. Wojciecha Polaka ponad sto osób: ludzi kultury, naukowców, działaczy opozycji w PRL, wysłało list otwarty, domagając się odwołania Wyszkowskiego. Autorzy listu powołali się na art. 15 ustawy o IPN, który mówi, że członkiem Kolegium Instytutu Pamięci może zostać osoba, która „wyróżnia się wysokimi walorami moralnymi oraz wiedzą przydatną w pracach Instytutu Pamięci”. Polak zachował się tak jak potem Wolsza, twierdząc, że „wypowiedź Wyszkowskiego miała charakter prywatny”.

Na celowniku bohatera PiS znalazły się też inne osoby. Donalda Tuska według Wyszkowskiego „wynaleźli ludzie z tajnej policji komunistycznej”, a Bogdan Borusewicz „na spotkaniach Wolnych Związków Zawodowych intonował »Międzynarodówkę«”. O Lechu Wałęsie Wyszkowski mówił: „To największa kanalia, jaką w życiu spotkałem. (...) Ma krew na rękach. To kariera znaczona trupami”. O prezydencie Gdańska Pawle Adamowiczu: „Adamowicz jest silny układem. (...) Jego działalność to zasłona dla osób, które działają zza pleców tego figuranta”.

Dostało się nawet Idze Świątek, którą Wyszkowski nazwał „tandeciarą” za to, że gwiazda tenisa przekazała rakietę na aukcję WOŚP. Autorytet PiS nienawidzi bowiem Jerzego Owsiaka.

W 2005 r., za pierwszych rządów PiS, Wyszkowski ogłosił, że w październiku 1981 r., podczas oficjalnej wizyty delegacji związku w Paryżu, działacze Solidarności oskarżyli Lecha Wałęsę o zagarnięcie pieniędzy przekazanych im przez francuskich związkowców. Wałęsa pozwał Wyszkowskiego. Ten na pytanie, dlaczego sprawę nagłośnił dopiero po 24 latach, odpowiedział: „Bo dopiero teraz minął okres karencji niemówienia krytycznej prawdy o Lechu Wałęsie. Wcześniejsze samoograniczanie się wynikało z polskiej racji stanu”.

Jednak rzekomi świadkowie, m.in. Bronisław Geremek, Andrzej Gwiazda, Anna Walentynowicz, zaprzeczyli, by wiedzieli coś o kradzieży pieniędzy. Wyszkowski przegrał proces, a potem tłumaczył, że stało się tak, bo nie wynajął adwokata, gdyż był pewien, że sprawa obroni się sama.

Potem było oskarżenie Wałęsy o współpracę z SB. W 2011 r. sąd prawomocnie nakazał domorosłemu lustratorowi przeproszenie Wałęsy, ale Wyszkowski wyroku nigdy nie wykonał. Miał szczęście. W 2021 r. po skardze wniesionej przez Zbigniewa Ziobrę do pisowskiej Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego wyrok został uchylony. Powołani przez neo-KRS upolitycznieni sędziowie nie badali, czy Wyszkowski mówił prawdę, ale orzekli, że sąd niższej instancji naruszył konstytucję i Europejską Konwencję Praw Człowieka, która zapewnia wolność słowa.

Dziś już mało kto pamięta, ale ten zaciekły wróg Wałęsy był niegdyś jego wielbicielem. W archiwum Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku zachowała się kopia wiernopoddańczego listu Wyszkowskiego do przywódcy Solidarności z 1982 r., gdy ten został zwolniony z internowania.

„Drogi Lechu! Piszę do Ciebie po nieprzespanej nocy, najgorszej chyba od 13 grudnia, gdy widziałem Cię po raz ostatni. Jestem w podziemiu, uciekłem z internatu. Tam w obozie, a także w więzieniach, w czasie strajków i demonstracji ludzi podtrzymywała mnie na duchu pewność, że Ty jesteś z nimi. Gdzie Ty teraz jesteś, Lechu, gdzie będziesz jutro, czy ze mną? Zawsze byłem dotąd po Twojej stronie, ze wszystkich sił zwalczałem Twoich przeciwników wewnątrz ruchu, kłóciłem się z tymi, którzy krytykowali Twoje postępowanie, a z obozowej pryczy w dzień i nieraz w nocy mówiłem współwięźniom, że mogą na Tobie polegać (…). Twój talent i twoja racja uczyniły z Ciebie męża opatrznościowego, za którym poszły miliony. (…) Lechu, staram się Ciebie zrozumieć, bo strasznie ciężko byłoby mi rozstać się z Tobą, pokochałem Ciebie i widziałem, jak pokochali Ciebie inni zwykli ludzie, którym przewodziłeś, a byłeś jednym z nich. Stałeś się symbolem tej wielkiej epoki w życiu narodu i dlatego może przestaliśmy w Tobie widzieć zwyczajnego człowieka, który cierpi jak inni, który w sytuacji uznanej za przegraną może się poddać. (…) Twój Krzysztof Wyszkowski”.

Wbrew temu, co twierdzi Karol Nawrocki, zasługi Wyszkowskiego dla Polski nie są znamienite. Ale dla PiS już tak. Wprawdzie walczył z „komuną”, ale do demokraty mu daleko. Nie protestował, gdy PiS wprowadzało autorytarne rządy, łamało prawo, niszcząc wymiar sprawiedliwości, i grabiło majątek publiczny, rozbrajało polską armię, a dowódcy wojskowi byli znieważani. Nie zabierał głosu, gdy pisowska władza z przyczyn politycznych wsadzała do aresztów niewinne osoby, które poddawano torturom. Wyszkowski jest dla PiS i Nawrockiego użyteczny, bo nienawidzi Lecha Wałęsy, demokracji liberalnej, Unii Europejskiej i praw człowieka.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 66e3b90ff1

Kornel Wawrzyniak



Nierówna walka

Na platformach Mety łatwiej reklamować oszustwa niż w Google'u

Wygenerowane przez AI wizerunki znanych postaci, fikcyjne wyprzedaże i oszustwa – skala scamu na Facebooku i Instagramie oszałamia. Choć mówimy o najpotężniejszych algorytmach świata, to właśnie na platformach Mety dochodzi do większości zgłaszanych w Polsce cyfrowych oszustw. Problem polega na tym, że za wykupywaniem przez przestępców reklam systemy, które mają je weryfikować, zwyczajnie nie nadążają. W efekcie powstał cyfrowy Dziki Zachód, a najwyższą cenę za to płacą zwykli użytkownicy.

Każdego to spotka

Muszę się do czegoś przyznać. Jeśli myślicie, że cyfrowi oszuści polują tylko na ludzi gotowych przelać pieniądze nigeryjskiemu księciu, to mam złą wiadomość: dopadną każdego. Mnie dopadli niedawno, choć sam zawodowo ostrzegam przed zagrożeniami w sieci. Na Instagramie kliknąłem w reklamę znanej mi marki obuwia. Strona wyglądała znajomo, oferta była zwyczajna, zero sygnałów ostrzegawczych. Swój błąd zrozumiałem chwilę po zakupie, gdy dostałem e-mail z potwierdzeniem transakcji. Był po chińsku. Najwyraźniej po drugiej stronie uznano, że po przelewie dalsze podtrzymywanie iluzji mija się z celem.

Narzędzi do walki z oszustami pozbawił nas prezydent Nawrocki, wetując ustawę o DSA (Akt o usługach cyfrowych).

Z tej opowieści ku przestrodze można się nieźle uśmiać. Sytuacja jest jednak bardzo poważna. Koncern technologiczny Meta, właściciel m.in. Facebooka, Instagrama i komunikatora WhatsApp, pozwala reklamować oszustwa. Jak to działa? Fałszywe reklamy często wykorzystują wizerunki znanych polityków, dziennikarzy i celebrytów oraz logotypy rozpoznawalnych marek, obiecując szybki i pewny zysk przy niewielkiej inwestycji albo bardzo dobrą promocję na jakiś produkt. Dzięki technologii deepfake do „wspólnej inwestycji" może zachęcać Robert Lewandowski czy Rafał Brzoska. Jest ona także używana do pogłębiania polaryzacji społecznej, poprzez tworzenie fake newsów i nieprawdziwych nagrań z politykami.

Infrastruktura cyfrowa stała się jednym z głównych kanałów dokonywania oszustw. Giganci technologiczni udostępniają na dokładnie tych samych zasadach narzędzia i zwykłym reklamodawcom, i oszustom. Jedni i drudzy otrzymują dostęp do takich samych systemów płatności, mechanizmów optymalizacji kampanii i profilowania odbiorców oraz rozwiązań automatycznie zwiększających skuteczność przekazu.

Skala problemu wykracza daleko poza indywidualne straty poszczególnych ofiar. Według szacunków policji w latach 2023-2025 Polacy w wyniku internetowych oszustw stracili ponad 1,8 mld zł. Choć nie wszystkie te przestępstwa były związane z reklamami publikowanymi przez Metę, platformy społecznościowe są jednym z najważniejszych narzędzi wykorzystywanych przez oszustów do docierania do potencjalnych ofiar.

Według danych Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości tylko w 2025 r. zgłoszono ponad 92 tys. oszustw internetowych, a skutki działalności przestępców musi dziś usuwać kilkanaście państwowych instytucji. Koszty ponoszą oczywiście podatnicy. Sam Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów szacuje swoje wydatki na ponad pół miliona złotych rocznie.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66e3b90ff1

Że nie są to pojedyncze przypadki, pokazują choćby dane zebrane przez zespół reagowania na incydenty bezpieczeństwa komputerowego działający w strukturach Komisji Nadzoru Finansowego (CSIRT KNF). W 2025 r. zależnie od miesiąca zespół zgłaszał platformom 1-1,7 tys. reklam oszustw. Piotr Mieczkowski, dyrektor zarządzający Fundacji Digital Poland, wskazuje na łamach Money.pl, że litewska organizacja Debunk.org usunęła w ciągu dziewięciu miesięcy z samego Facebooka ok. 5,9 mln reklam z różnej maści niedozwolonymi ofertami, takimi jak nielegalny hazard czy fałszywe inwestycje.

Meta twierdzi, że walczy z oszustami i sama jest ofiarą, bo traci zaufanie użytkowników. Brzoska tymczasem zarzuca big techowi czerpanie bezpośrednich zysków z działalności przestępczej. Jak ustalił portal XYZ, koncern Meta odrzucił bądź zignorował większość z ponad 9 tys. zgłoszeń przesłanych w 2025 r. przez Ośrodek Analizy Dezinformacji NASK. Dotyczyły one szkodliwych materiałów zamieszczonych na Facebooku i Instagramie, gdzie tylko w ciągu jednego miesiąca zidentyfikowano kilkanaście tysięcy przypadków bezprawnego użycia wizerunku osób publicznych. Przedstawiciele koncernu nie zgadzają się z przedstawionymi danymi. Stowarzyszenie Demagog, zajmujące się dezinformacją, również udokumentowało dziesiątki kampanii wykorzystujących wizerunek znanych osób czy marek budzących społeczne zaufanie, wśród których są banki i instytucje publiczne.

Dodatkowy kontekst tworzą dane NASK. Karol Bojke z CERT NASK wylicza, że w 2023 r. było ok. 30 tys. stron internetowych, które wykorzystywały wizerunek osób publicznych w celu wprowadzenia odbiorców w błąd. W 2024 r. stron było ponad 50 tys. A w 2025 już prawie 100 tys. Czy Meta jest odpowiedzialna za powstawanie takich stron? Oczywiście nie. Ale stwarza im warunki do prężnego działania na swoich platformach, m.in. nieśpiesznym wyłapywaniem reklam oszustów.

Sprawa Brzoski nie jest jedyna. Australijski miliarder Andrew „Twiggy" Forrest od 2019 r. toczy z Metą bliźniaczą batalię o fałszywe reklamy wykorzystujące jego wizerunek. Skala była zdumiewająca: niemal 28 tys. scamów na Facebooku i Instagramie wyświetlono ponad 70 mln razy. Choć Meta podobno usuwała część materiałów, problem nie znikał. Forrest po bezskutecznych apelach do Marka Zuckerberga skierował sprawę do sądu w USA – i dopiął swego. Amerykański wymiar sprawiedliwości orzekł niedawno, że koncern celowo utajniał informacje, które pozwoliłyby zweryfikować, czy w ogóle realnie walczył z tymi oszustwami.

O tym, że problem nie jest ani nowy, ani przypadkowy, pisaliśmy już szerzej w tekście „Cyfrowa suwerenność Europy" („Przegląd" 16/2026). Przywoływaliśmy wówczas ustalenia Agencji Reutera, która dotarła do wewnętrznych dokumentów Mety. Wynika z nich, że firma zdaje sobie sprawę ze skali oszustw reklamowych na swoich platformach. Fałszywe sklepy, fikcyjne inwestycje czy nielegalne kasyna nie były dla korporacji problemem samym w sobie. Problemem było raczej to, czy płacą odpowiednio dużo za reklamę.

Ujawnione dokumenty dowodzą bowiem, że części podejrzanych reklamodawców naliczano wyższe stawki za emisję reklam, zamiast skutecznie usuwać ich z platformy. Agencja Reutera powoływała się na wewnętrzne prognozy Mety, z których wynikało, że reklamy oszustw generują ok. 10% jej całkowitych rocznych przychodów, ok. 16 mld dol.

Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski pokazał, że wywieranie presji na gigantów technologicznych ma jednak sens.

Znajoma twarz

Techniki wyłudzeń opierają się na precyzyjnie zaprojektowanym ciągu pułapek psychologicznych. Kluczową rolę odgrywa wykorzystanie znanych twarzy i marek. Najgłośniejszym echem ostatnimi czasy odbiła się sprawa Rafała Brzoski przeciwko Mecie. Internetowi przestępcy masowo tworzą sponsorowane posty z wizerunkiem biznesmena i jego żony. Publikacje często zawierają drastyczne nagłówki. Założyciel InPostu walczy z Metą od kilku lat. W 2024 r. Urząd Ochrony Danych Osobowych nałożył na koncern tymczasowy zakaz wyświetlania reklam z wizerunkiem Brzoski i jego żony Omeny Mensah na terenie Polski. Niewiele to jednak dało. Reklamy co jakiś czas wracają.

Porażający obraz wyłania się z corocznych raportów firmy Revolut zajmującej się bankowością elektroniczną. Wynika z nich, że platformy należące do Mety odpowiadały za 54% scamów zgłaszanych przez klientów na świecie i za 58% w Polsce. To więcej niż co drugie oszustwo.

Według danych Revoluta głównym przyczółkiem oszustów pozostaje Facebook, choć coraz większą rolę odgrywa również WhatsApp. Reklama stanowi jedynie wstęp do właściwego przekrętu. Jest przynętą, która ma skłonić ofiarę do przejścia na zewnętrzny komunikator czy fałszywą stronę internetową lub do rozpoczęcia bezpośredniej rozmowy z podstawionym konsultantem. Dopiero tam przestępcy finalizują proces manipulacji, doprowadzając do utraty niekiedy dorobku całego życia.

Nacisk przynosi efekty

Dodatkowo narzędzi do walki z oszustami pozbawił nas prezydent Nawrocki, wetując ustawę o DSA (Akt o usługach cyfrowych). Unijne rozporządzenia miało m.in. uczynić skuteczniejszą walkę z oszustwami, nielegalnymi treściami, mową nienawiści i dezinformacją. Internauci szybko dali znać, co myślą o postawie prezydenta. W lutym internet zalały przeróbki zdjęć Nawrockiego, paradującego w bikini.

eprasa.pl 66e3b90ff1

Rafał Brzoska toczy prywatną walkę. Niedawno Sąd Apelacyjny w Warszawie przyznał przedsiębiorcy rację w sporze z Metą. Z dokumentów, do których dotarła redakcja portalu XYZ, wynika, że sąd uznał odpowiedzialność spółki za nieprawdziwe reklamy z wizerunkiem Brzoski.

Sytuację wykorzystał minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski, pokazując, że wywieranie presji na gigantów technologicznych ma jednak sens. Pod koniec sierpnia wicepremier wystąpił do Komisji Europejskiej z formalnym wnioskiem o ukaranie Mety kwotą 250 mln euro za nieskuteczne przeciwdziałanie oszukańczym reklamom. Mimo licznych deklaracji firmy takie materiały wciąż pojawiają się na Facebooku, ułatwiając działalność internetowym oszustom.

„Chciałbym, żeby ta kara została nawet pomnożona. Dlatego będę namawiał przywódców innych państw Unii Europejskiej, żeby uwspólnić taki wniosek", podkreślał Gawkowski na antenie Radia ZET. Co zaskakujące, już następnego dnia Meta poinformowała o wprowadzeniu w Polsce dodatkowych mechanizmów mających ograniczyć liczbę oszukańczych reklam. Wicepremier zachował jednak sceptycyzm. „Oczekuję, że przełożą się na realne efekty, i zachęcam wszystkich do bacznego przyglądania się tym działaniom", skomentował na platformie X.

W odpowiedzi na ostrą krytykę Meta zaproponowała resortowi cyfryzacji spotkanie robocze w celu określenia obszarów dalszej współpracy. Firma podkreśla, że nie ma jednego sposobu na wyeliminowanie oszukańczych reklam. Korporacja argumentuje, że stosuje wielopoziomowy system kontroli, obejmujący sprawdzanie przed publikacją, usuwanie treści, weryfikację reklamodawców, blokowanie sieci oszustów oraz współpracę z instytucjami publicznymi. Rzeczywistość okazuje się jednak inna, co wykazały ustalenia Agencji Reutera. W wewnętrznych analizach Mety z kwietna 2025 r. wprost przyznano, że „na platformach Mety łatwiej reklamować oszustwa niż w Google'u".

Grosz do grosza

Wróćmy jeszcze na chwilę do mojej naiwności przy zakupie butów. Objawia się tam ciekawy mechanizm, na który początkowo można nie zwrócić uwagi. Nabrałem się nie na promocję, tylko na sklep, który wyglądał jak oryginalny. Zakup był spowodowany nie promocyjną gorączką, tylko faktyczną potrzebą. Czyżby algorytm wiedział dzięki mojej historii przeglądania, że już wcześniej szukałem butów?

Fałszywe sklepy odzieżowe i obuwnicze to masowy proceder oparty na hurtowym wyłudzaniu mniejszych sum (najczęściej między 100 a 400 zł). Czasem sklep wygląda jak oryginalny. W innych wypadkach oszuści budują wiarygodność, wykorzystując poruszające historie o zamykaniu rodzinnego interesu, ratowaniu zalanych magazynów itp. Strony sklepów widmo tworzy się za pomocą sztucznej inteligencji. Wystarcza kilkanaście minut. Zamieszcza się zdjęcia produktów wygenerowane przez AI oraz sfałszowane opinie „zadowolonych klientów".

Mechanizm ten skutecznie wykorzystuje algorytmy reklamowe Mety. Przestępcy przejmują stare, o wieloletniej historii, legalne profile na Facebooku, dzięki czemu wyemitowane z nich reklamy przechodzą automatyczną weryfikację bez wzbudzania podejrzeń. Następnie systemy Mety precyzyjnie kierują sponsorowane posty do osób szukających ubrań czy obuwia, a oszuści przy użyciu filtrów automatycznie ukrywają takie słowa jak scam czy oszustwo w komentarzach. Po dokonaniu płatności klient otrzymuje z Chin tanią imitację zamówionego towaru albo traci dane karty płatniczej, przechwycone przez sfałszowaną bramkę bankową.

Dopóki koszty zaniechania ze strony big techów będą mniejsze niż zyski z klikalności reklam, dopóty algorytmy będą pracować na korzyść przestępców.

Drobne sumy można jeszcze przeboleć. Mówimy jednak o maszynie, która każdego dnia zasysa oszczędności tysięcy Polaków. Dopóki koszty zaniechania ze strony big techów będą mniejsze niż zyski z klikalności reklam, dopóty algorytmy będą pracować na korzyść przestępców. Jeśli cyfrowi giganci nie poczują presji finansowej i prawnej ze strony państw, jedyną tarczą dla użytkowników pozostaje nieufność.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 66e3b90ff1

Polska pod napięciem

Centra danych – cyfrowa przyszłość czy energetyczna pułapka?

Marek Czarkowski

Wyobraźmy sobie halę wielkości kilku boisk piłkarskich. Tysiące szaf serwerowych. Szum wentylatorów. Setki tysięcy procesorów pracujących non stop. Chłodzenie, które potrzebuje kilometrów rur z wodą, i transformatory wielkości autobusu. Dla większości z nas to „chmura", do której trafiają nasze zdjęcia i dokumenty. Dla mieszkańców podwarszawskich Reguł, Kajetan i Piaseczna to beton, stal, megawaty energii i potężne zbiorniki z olejem napędowym tuż za płotem.

Polska stoi dziś na progu gigantycznego bumu na centra danych, co oznacza inwestycje liczone w dziesiątkach miliardów złotych i obietnicę świetlanej przyszłości cyfrowej. Pojawiają się jednak pytania: kto za to zapłaci? Skąd weźmiemy prąd? I dlaczego te potężne obiekty są budowane w odległości 30 m od najbliższych domów?

I pomyśleć, że jeszcze kilka lat temu rynek centrów danych był niszą kojarzoną z Warszawą i kilkoma operatorami telekomunikacyjnymi. Dziś to ważny element infrastruktury państwa – cyfrowe magazyny polskiej gospodarki, bankowości, administracji, chmury i sztucznej inteligencji.

Przyśpieszenie na rynku

Polska dysponuje obecnie 200--250 MW działającej mocy. To całkiem sporo. Sama aglomeracja warszawska to ok. 157 MW mocy. Dodajmy do tego ok. 11 MW w budowie i kolejne 148 MW w planach. Nie bez powodu stolica nazywana jest polską Doliną Krzemową centrów danych. Nasz kraj przekroczył 200 MW komercyjnej mocy w roku 2024, a prognozy mówią o 600 MW, a nawet 1 GW w roku 2030. Czym są owe megawaty?

Choć pojęcie centra danych w nowoczesnym sensie upowszechniło się w latach 90. XX w. wraz z rozwojem internetu i bumem na dotcomy, początkowo ich wielkość opisywano, podając liczbę pracujących w nich serwerów. Potem przyszedł czas na hektary – im większa była powierzchnia zajmowana przez serwery, tym lepiej. Dziś są to megawaty, czyli moc, a właściwie możliwość zużycia energii w danym momencie. Liczby procesorów pracujących w centrach danych idą w setki tysięcy.

Jeżeli centrum danych ma 100 MW mocy i pracuje przez godzinę, zużyje 100 MWh energii. Pracując rok, zużyje 876 GWh, co w przybliżeniu odpowiada rocznemu zużyciu energii przez ok. 478 tys. przeciętnych polskich gospodarstw domowych. A to tylko jedno centrum!

Polska wchodzi teraz w drugą falę inwestycji w centra danych. Tym razem budowana jest infrastruktura pod sztuczną inteligencję. Kontrolowane przez Kulczyk Investments centrum danych Beyond.pl w Poznaniu dysponuje mocą 42 MW. Ma już zakontraktowane 100 MW, a plany przewidują rozbudowę do 150 MW. Będzie to polskie centrum sztucznej inteligencji zajmujące powierzchnię ponad 60 tys. m kw.

Centrum danych WAW1 w Morach pod Warszawą buduje holenderska spółka Switch Datacenters wspólnie z funduszem De Groot Family Office. Koszt tej inwestycji szacowany jest na ok. 600 mln zł – 1 mld euro. Planowana moc ma przekraczać 100 MW.

Szwedzka spółka EdgeConneX, zarządzana przez fundusz EQT Infrastructure przy mniejszościowym udziale spółki Sixth Street, ma być operatorem projektu Digital Ursus w Warszawie o mocy ok. 65 MW. Jak dotąd nie opublikowano jej oficjalnego budżetu. Źródła branżowe informują jednak, że nakłady Szwedów mają wynieść setki milionów euro.

Beyond.pl w Poznaniu będzie centrum sztucznej inteligencji o powierzchni ponad 60 tys. m kw.

Microsoft planuje budowę gigantycznego obiektu w Ożarowie Mazowieckim, o mocy ok. 60 MW, również jednak nie podaje szacunków dotyczących kosztu inwestycji.

Vantage Data Centers to z kolei prywatna spółka kontrolowana przez amerykańskiego inwestora specjalizującego się w budowie infrastruktury cyfrowej i zarządzaniu nią. Posiada on obiekty w Niemczech, w Irlandii, w Wielkiej Brytanii, we Włoszech i w Szwajcarii. W Polsce prowadzi warszawski kampus WAW1/WAW2 na Bielanach. Pierwszy obiekt rozpoczął działalność w 2022 r., po ukończeniu drugiego etapu centrum danych ma oferować 48 MW mocy krytycznej IT na ok. 36 tys. m kw. powierzchni.

Tegoroczne analizy branżowe mówią, że Polska może podwoić, a nawet potroić komercyjną moc centrów danych, zależnie od tego, które projekty faktycznie dojdą do skutku i jak szybko operatorzy sieci wydadzą warunki przyłączenia. Najwięcej

eprasa.pl 66e3b90ff1



Beyond.pl – operator centrów danych w Poznaniu.

planowanych inwestycji koncentruje się wokół Warszawy, bo tu krzyżują się sieci światłowodowe, biznes, administracja i jest popyt ze strony chmury publicznej. I właśnie tam zaczynają się najgłośniejsze konflikty z mieszkańcami.

Szczególną uwagę przyciągają podwarszawskie Reguły w gminie Michałowice, okolice Piaseczna i Józefosławia oraz Kajetany.

Punkty zapalne

Spór wokół planowanej budowy przez spółkę Hillwood dużego centrum danych w Regułach jest ważnym testem dla całej branży. Z oficjalnych dokumentów wynika, że spółka kupiła teren o powierzchni ponad 10 ha pomiędzy Alejami Jerozolimskimi a ulicami Słoneczną i Regulską i planuje zbudować na nim centrum danych o mocy ok. 130-140 MW. Ma ono się składać z czterech hal z infrastrukturą techniczną, w tym ok. 80 generatorami prądu o łącznej mocy do 216,8 MW, 10 podziemnymi zbiornikami oleju napędowego – każdy o pojemności ok. 60 m sześc., 40 stacjami transformatorowymi i dwoma punktami zdawczo-odbiorczymi pozwalającymi na zasilanie z dwóch niezależnych źródeł. Najbliższa wskazana w dokumencie zabudowa znajduje się ok. 160 m od inwestycji, a teren leży częściowo w granicach Warszawskiego Obszaru Chronionego Krajobrazu i ok. 300 m na południe od koryta rzeki Raszynki.

Lokalni mieszkańcy wiedzą jednak swoje. Według nich obiekt powstanie w odległości ok. 30 m od najbliższej zabudowy. Nic dziwnego, że protest organizowany przez Stowarzyszenie Aktywni Sąsiedzi wsparło podpisami ok. 1,2 tys. osób. Wójt gminy Michałowice nałożył na inwestora obowiązek przeprowadzenia pełnej oceny oddziaływania na środowisko i zażądał szczegółowej analizy wpływu inwestycji na mieszkających w okolicy ludzi.

Oznacza to, że samorząd uznał, iż budowy nie da się oceniać wyłącznie w kategoriach stawiania zwykłych hal usługowych. Trzeba zbadać, jak zadziała całość: generatory, transformatory, ruch samochodów, światło nocne, utwardzenie terenu, ścieki, wody opadowe i sąsiednie inwestycje. Pojawił się też zarzut mieszkańców, że inwestycję „kroi się" na etapy i przez to dokonuje zbyt wąskiej oceny jej oddziaływania. Jedno jest pewne – ostateczny stan prawny budowy w Regułach będzie zależał od przebiegu postępowań administracyjnych i ewentualnych odwołań.

Inny punkt zapalny to kompleks centrów danych o powierzchni ok. 4,5 tys. m kw. każdy (docelowo będzie ich cztery) mający powstać na granicy Piaseczna i Józefosławia. Inwestycję realizuje spółka Sien Real związana z Budimeksem. W tym przypadku chodzi o wodę. Według informacji z lokalnych mediów tamtejsze wodociągi porównały maksymalne dzienne zapotrzebowanie inwestycji na wodę do jej zużycia przez średniej wielkości osiedle z ok. 2-3 tys. mieszkańców. Takie liczby zadziałały na wyobraźnię tamtejszej społeczności. Ludzie obawiają się, że skoro już miewają problemy z ciśnieniem wody w kranach, to co będzie, gdy za płotem ruszy potężny obiekt przemysłowy? Dlatego postanowili protestować.

W Kajetanach w gminie Nadarzyn pod Warszawą, na działce o powierzchni ok. 2 ha, spółka FR Investments Poland planuje budowę centrum danych o mocy 17,6 MW. Sama moc nie wygląda spektakularnie na tle większych obiektów tego rodzaju, lecz dla tamtejszej ludności ważniejsze są inne parametry: odległość od domów, liczba agregatów, magazynowanie paliwa, hałas, a także pytanie, czy lokalna infrastruktura była budowana z myślą o takim sąsiedztwie.

Dlatego protesty często wybuchają nie tam, gdzie projekt data center ma największą moc, lecz tam, gdzie inwestycja będzie sąsiadowała z osiedlami domów jednorodzinnych.

Dla lokalnych społeczności różnica między 17 MW a 50 MW nie

FOT. ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS

eprasa.pl 66e3b90ff1

zawsze ma znaczenie. Ważne jest to, czy w nocy będzie słychać wentylatory, czy przy awarii ruszą generatory dieslowskie i czy okolica zacznie przypominać zaplecze wielkiej strefy przemysłowej. Z identycznym schematem reakcji spotkali się inwestorzy tego typu obiektów w Irlandii, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i innych krajach.

Ostrzeżenie dla Polski

Obawy przed hałasem i niedogodnościami związanymi z budową i działaniem centrów danych są niczym wobec wyzwania, jakim będzie zapewnienie im energii elektrycznej.

Dla porównania: planowana moc pierwszej polskiej elektrowni atomowej, Lubiatowo-Kopalino na Pomorzu, to łącznie 3,75 GW.

Jeśli polski rząd nie będzie kontrolował skali inwestycji w centra danych, może dojść do tego, co stało się w Irlandii. W 2021 r. praktycznie zablokowano standardowe przyłącza energetyczne dla dużych projektów w aglomeracji Dublina. Powodem było przeciążenie sieci, ryzyko dla bezpieczeństwa dostaw prądu i gwałtownie rosnący pobór energii przez duże centra danych. W 2025 r. pobrały one ok. 7663 GWh, czyli 23% całej konsumpcji energii elektrycznej w Irlandii.

Spór wokół planowanej budowy przez spółkę Hillwood dużego centrum danych w Regułach jest ważnym testem dla całej branży.

Największy na świecie kompleks o nazwie Hyperion buduje w Luizjanie koncern Meta Platforms – ma on kosztować ponad 50 mld dol. Budynki będą miały długość ponad 8 km, a zapotrzebowanie na energię elektryczną wyniesie docelowo 5 GW.

Centrum danych budowane w Port Washington w stanie Wisconsin przez koncern Oracle, Open AI oraz spółkę Vantage ma mieć moc docelową 3,5 GW. Powstające także w Wisconsin, w Mount Pleasant, centrum danych Microsoft Fairwater będzie kosztowało ok. 85,5 mld dol. i wymagało zasilania na poziomie 2,7 GW.

Nie tylko Polska nie jest gotowa na szybki rozwój zużywających ogromne ilości energii elektrycznej centrów danych. W Holandii w 2024 r. wprowadzono ograniczenia dotyczące obiektów przekraczających jednocześnie powierzchnię 10 ha i 70 MW przyłącza. Wolno je budować jedynie na północy kraju: w Eemshaven i Agriport A7. Od kwietnia 2025 r. władze Amsterdamu praktycznie zablokowały budowę nowych i rozbudowę już istniejących centrów danych, tłumacząc to deficytem terenu i przeciążeniem sieci energetycznych.

Niemcy, Francja i Wielka Brytania zaostrzyły warunki działania i ograniczyły inwestycje przez wymogi efektywności, odzysku ciepła, oceny środowiskowe oraz niedostępność mocy w przeciążonych sieciach energetycznych. W tych krajach coraz częściej padają pytania o konflikt między rozwojem sztucznej inteligencji a kosztami środowiskowymi i infrastrukturalnymi. A wszystko to dzieje się w chwili, gdy przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen domaga się, by Unia w dziedzinie AI goniła Stany Zjednoczone. Jak to zrobić bez gigantycznych centrów danych?

W przeszłości takie obiekty obsługiwały strony internetowe, aplikacje, pocztę, bazy danych i systemy firmowe. Infrastruktura sztucznej inteligencji potrzebuje dużo gęściej upakowanej mocy, większej liczby wyspecjalizowanych układów używanych do bardzo szybkiego wykonywania obliczeń, bardziej zaawansowanego chłodzenia – często także chłodzenia cieczą – i stabilnego dostępu do energii elektrycznej dostarczanej w bardzo dużych wolumenach. W praktyce oznacza to, że nowe obiekty są projektowane pod większe obciążenia, niż to miało miejsce dawniej.

Jeśli nasz kraj chce uczestniczyć w wyścigu AI, będzie potrzebował nie tylko talentów, lecz przede wszystkim kabli, transformatorów, systemów chłodzenia, wolnych gruntów pod inwestycje i jeszcze więcej energii elektrycznej. Z tym zaś nie jest najlepiej, zwłaszcza gdy coraz częściej przychodzi nam dzielić się prądem z walczącą Ukrainą, a budowa nowych elektrowni, w tym jądrowej, to bardzo odległa przyszłość.

Marek Czarkowski



eprasa.pl 66e3b90ff1

Wiatr zmienia wszystko

Polska energetyka wchodzi w nową erę

Marek Czarkowski



Baltic Power – pierwsza w Polsce farma wiatrowa, 28 sierpnia 2026 r.

Po raz pierwszy w historii prąd z polskiej morskiej farmy wiatrowej popłynął do naszych gniazdek 10 lipca br. Był to moment przełomowy nie tylko dla właścicieli projektu Baltic Power, Grupy Orlen i kanadyjskiej spółki Northland Power, ale i dla całego kraju.

Farma wiatrowa Baltic Power powstała ok. 23 km od wybrzeża, na wysokości Łeby i Choczewa, w miejscu, gdzie wiejące bez przeszkód wiatry gwarantują wyjątkową wydajność turbin.

W morskim dnie zakotwiczono 76 turbin wiatrowych – model V236-15.0 MW. To flagowy produkt duńskiej spółki Vestas, globalnego lidera w produkcji tych urządzeń, który zainstalował ponad 200 GW mocy w prawie 90 krajach świata.

Gabaryty turbin są imponujące. Każda wystaje ponad lustro wody na wysokość 260-280 m – czyli sięgają wyżej niż Pałac Kultury i Nauki w Warszawie, który z iglicą mierzy 237 m. Wirnik o średnicy 236 m chwyta energię wiatru i zamienia ją w ciągu godziny w 15 MW energii. Gondola na szczycie wieży waży ponad 600 ton. Jedna turbina jest w stanie w ciągu roku dostarczyć ok. 80 GWh energii – tyle, ile potrzebuje 20 tys. polskich domów.

Baltic Power ma osiągnąć moc 1,14-1,2 GW i produkować ok. 4 TWh energii elektrycznej rocznie, czyli mniej więcej 3% krajowego zapotrzebowania na prąd. Koszt inwestycji to 4,73 mld euro.

Produkowaną na morzu energię elektryczną przejmują dwie morskie instalacje, skąd trafia ona na ląd – do nowo wybudowanej stacji PSE Choczewo w Osiekach Lęborskich oraz rozbudowanej stacji Żarnowiec. Pod morskim dnem i polami Pomorza ułożono 350 km kabli. W przyszłości stacja Choczewo stanie się energetycznym hubem polskiego wybrzeża. Docelowo podłączonych do niej zostanie sześć morskich farm wiatrowych o łącznej mocy ok. 6 GW. W Polsce Bałtyk przestaje być zwykłym morzem – zmienia się w wielki generator. Pełna komercyjna eksploatacja morskiej farmy wiatrowej Baltic Power i uzyskanie wszystkich koncesji od Urzędu Regulacji Energetyki przewidziane są na IV kwartał 2026 r.

W kolejnych latach polska wyłączna strefa ekonomiczna na Bałtyku stanie się jednym z największych placów budowy morskich farm wiatrowych w Europie. Powstaną obiekty o łącznej mocy niemal 6 GW. Obecnie najbardziej zaawansowane są Baltica 2 i Baltica 3 – projekty joint venture Polskiej Grupy Energetycznej oraz duńskiej firmy Ørsted. Farma Baltica 2 o mocy 1,5 GW ma ruszyć z produkcją prądu w pierwszej połowie 2027 r. Razem z sąsiednią Baltica 3 dostarczą łącznie 2,5 GW mocy.

Norweska spółka Equinor oraz polska Polenergia budują farmy Bałtyk 2 i Bałtyk 3 na Ławicy Słupskiej, w odległości od 22 km do 37 km od brzegu. W latach 2027-2028 do sieci ma trafić 1,44 GW mocy.

Kolejna morska farma wiatrowa, BC-Wind spółki Ocean Winds, o mocy ok. 500 MW, powstaje w okolicach Krokowej i Choczewa.

Polska Polityka Energetyczna zakłada osiągnięcie 11 GW mocy z morskich elektrowni wiatrowych do 2040 r. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planami, jeszcze przed końcem tej dekady nasz kraj zbliży się do połowy wyznaczonego celu.

Droga do pełnej transformacji energetycznej jest jednak długa. Kopalnie i elektrownie węglowe nie znikną z polskiego krajobrazu z dnia na dzień. Rozwiązania wymagają też poważne problemy systemowe – możliwości magazynowania energii i bilansowania mocy czy unowocześnienie sieci przesyłowych. Jednak wiatr, który 10 lipca poruszył skrzydła turbin w okolicy Łeby, wyznaczył polskiej energetyce nowy horyzont. ■

FOT. HUBERT BIERNDGARSKI/REPORTER

eprasa.pl 66e3b90ff1

ROK DO WYBORÓW

Krzysztof Janik

Mniej więcej za 12 miesięcy znowu pójdziemy do wyborów. Choćbyśmy nie wiadomo jak kombinowali, wybór będzie ten sam co cztery lata temu. To, co nazywamy dość umownie prawicą, kontra reszta. I to jest pierwszy problem. Ta prawica jest tak wielobarwna, że nie mieści się w dotychczasowych schematach pojęciowych, dość dobrze – wydawało się – osadzonych w nauce i świadomości społecznej. Mamy w niej konserwatystów i religiantów, liberałów i darwinistów społecznych, socjalistów i neokomunistów, narodowców i nazistów.

To, co nazywamy „obozem demokratycznym", a co stanowi całą resztę, jest nie mniej wielobarwne. Są konserwatyści i chadecy, dewoci i zdeklarowani ateiści, liberałowie i libertarianie, socjaliści i socjaldemokraci. Jak widać, ani jednych, ani drugich nie spaja nic, żadna filozofia polityczna ani zestaw idei. W obydwu obozach są kandydaci na autokratów i ludzie, którzy respektują reguły demokracji. To tylko kwestia proporcji.

Jeśli powyższa teza jest prawdziwa, to o co toczyć się będzie walka, co rozstrzygnie o wyniku wyborów? Otóż wydaje mi się, że jest kilka linii podziałów, niekoniecznie ideowych, które zdecydują o naszej postawie w lokalu wyborczym. W normalnym kraju część z nich byłaby platformą kooperacji międzypartyjnej, a co najmniej obszarem kompromisu. Ale żyjemy w świecie – nie tylko w Polsce – dalekim od normalności. Marne to pocieszenie, ale warto przypominać, że choć gospodarkę mamy w miarę nowoczesną, to państwo ciągle jeszcze nieokrzepłe, a świat polityki jest w dużej mierze mieszaniną amatorów i kretynów, a także oszustów i ambicjonerów. W czasach destabilizacji właśnie oni mają największe szanse. Także dlatego, że są tacy sami jak ich wyborcy. A ci nie szanują własnego państwa, nie mają do niego zaufania,



spaja ich tradycja, terytorium i dotychczasowy dorobek życiowy oraz niechęć do zmian. Pisałem już kiedyś na tych łamach, że II Rzeczpospolita odzyskała państwo, ale nie zmieniła mentalności obywateli. PRL próbowała, jednak też nie w kierunku myślenia demokratycznego. III RP zmieniła wszystko, ale mentalności obywateli – nie. W konsekwencji polityka to nie konkurencja odmiennych wizji, cywilizowany spór o drogę ich osiągania, lecz prostacka walka o władzę.

Co oczywiste, bliżej mi do tego drugiego obozu. Przy wszystkich jego ułomnościach, rozedrganiu i rozmemłaniu wydaje się bliższy mojemu lewicowemu oglądowi świata. I z punktu widzenia jego interesów chciałbym popatrzeć na to, jakie ma szanse i jaką strategię walki o drugą kadencję powinien zastosować. Warunek jest jeden: musi chcieć wygrać i zabrać się do tego profesjonalnie. Amatorów, defetystów i hucpiarzy trzeba odsunąć od wpływu na kampanię.

Czego więc w niej potrzeba? Przede wszystkim wizji państwa i jego przyszłości. Tak zwana prawica tę wizję ma. To wizja władzy „silnej ręki", którą popiera prawie jedna trzecia Polaków. „Dość tego bałaganu, trzeba zrobić porządek", unisono wołają Kaczyński z Konfederacją i Braunem.

Wielu ludziom to się podoba, a w szczegóły nie wnikają. Trzeba ukrócić panoszenie się elit i wpływy niemiecko-brukselskie, odzyskać podmiotowość. Nikt nie wie, co to znaczy – ale jak fajnie brzmi! Do tego liczne konferencje programowe, grille Morawieckiego i Mentzena. Niezdecydowani otrzymują sygnał, że na „prawicy" trwa wytężona praca programowa, że oni myślą, co zrobią z Polską i w Polsce, jak zyskają władzę. Że powstaje jakiś „Projekt Polska", w którym nieważne są szczegóły, ważne, że pójdziemy do przodu. Wrócą wielkie inwestycje, w Brukseli będą się nas bali, a Niemcy w ramach reparacji zasypią nas gradem euro. A jak nie zasypią, to będzie już ostatecznie wiadomo, kto nas gnębi i nie chce nam dać tego, co słusznie nam się należy. A my kochamy być gnębieni.

Jest kilka linii podziałów, niekoniecznie ideowych, które zdecydują o naszej postawie w lokalu wyborczym.

A co „my" na to? Gdzie są ci ludzie, którzy pracują nad projektem polskiej przyszłości? Tym bardziej że uczeni wiedzą, a zwykli ludzie czują, że model transformacyjny się wyczerpał. Zostawiliśmy sporo z dorobku Polski Ludowej (i chwała nam za to), pościągaliśmy mnóstwo pomysłów ze świata – do kilku rzeczy sam nas zresztą przymusił (warunki wstąpienia do UE i NATO) – i co dalej? Czy stać nas na własną politykę rozwojową, nie tylko tę gospodarczą? Jaką Polskę chcemy zbudować dla tych młodych wkurzonych, którzy mają dość dyktatury starców, weteranów traktujących PRL jako punkt odniesienia? Ci młodzi

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 66e3b90ff1

wiedzą, że ta PRL była zła, bo tego ich uczą w szkole i w mediach, ale kiedy ona była? Przed wojną – to pewne – ale którą?

Ich to kompletnie nie interesuje. Ba, nawet nie chcą biec i doganiać Niemców, Szwedów czy Brytyjczyków, bo byli tam, widzieli i wiedzą, że to już niedaleko. Chcą żyć w normalnym kraju. Bez negatywnych emocji i podziwiania politycznej bijatyki. Czy ktoś po „naszej" stronie pracuje – lub udaje, że pracuje – nad taką wizją państwa? Czy znowu w ostatniej chwili pozbieramy jakieś „100 konkretów", z których nic nie wyniknie, poza tym, że dadzą paliwo rywalom politycznym? A może przyjmiemy program wyborczy „Polska bezpieczna, bogata i szczęśliwa", w którym będzie tyle dobrze brzmiących ogólników, że nikt już na nie się nie nabierze? Co gorsza, nie będzie wiadomo, kto to napisał, na podstawie czego i jakie ma w tej mierze kwalifikacje. Podobno Tusk powołał jakąś „dziesiątkę", ale kto wie, co ona robi? Podobno reszta też coś robi – ale gdzie, kto, o czym?

I pierwsza oś sporu. To wizja państwa, w którym chcielibyśmy żyć, współdecydować o nim. Jeśli miałbym coś doradzić mojemu obozowi, proponowałbym wzięcie na sztandary decentralizacji. Ostatnim, który coś robił w tej sprawie (bezpośrednie wybory wójtów itd., świetna ustawa o finansach komunalnych), był rząd SLD-PSL. Może warto iść dalej: bezpośrednie wybory starostów, wzmocnienie samorządu wojewódzkiego – to rzeczy, które nie naruszą niczyich interesów, ale jak brzmią!

Dlaczego nie możemy przekazać marszałkom na własność części uczelni publicznych i nadzoru nad uczelniami prywatnymi niemającymi uprawnień uniwersyteckich? To wszak placówki, które mają reagować na potrzeby lokalnego rynku pracy, a kto lepiej w nim się rozeznaje niż samorząd wojewódzki? I dlaczego sieć szpitali ma racjonalizować rząd, a nie właśnie samorządy? Już wiemy, że szpitali mamy za dużo i brakuje kadry – to niech marszałek województwa zrobi z tym porządek, wedle potrzeb społeczności, którą reprezentuje. Po co nam wtedy NFZ? Dajmy tę kasę marszałkowi i niech pokaże, że umie nie tylko rozdawać stanowiska. To będzie też sprawdzian, który obóz ma lepsze, bardziej kompetentne kadry – i tu nie bałbym się konkurencji.

Za tymi zamysłami jednak musi gdzieś tkwić obywatel. Kolego Gawkowski, a może by tak instytucja referendum konsultacyjnego za pomocą aplikacji mObywatel? Konsultacyjnego, a więc nieprzynoszącego obligatoryjnych rozwiązań, ale będącego najbardziej reprezentatywnym narzędziem rozpoznania opinii obywateli, zwłaszcza młodych. W jego wyniku rząd może, choć nie musi, przedstawić określone rozwiązania. Może – jeśli rząd chce zmienić podatki – zapytajmy, czy podwyższamy drugi próg podatkowy, czy np. podnosimy o 2 tys. kwotę wolną od podatku? Czy preferujemy interesy klasy średniej, czy całej reszty podatników za te same pieniądze? Lewica nie powinna bać się tych pytań. A jakie korzyści dla edukacji społecznej!

Minister Sikorski mówi o Legionie Europejskim – proszę, rozmawiajmy o tym. Może wspólne wojsko europejskie?

Druga oś sporu – Unia Europejska. Ten spór trzeba wymyślić od nowa, a może tylko warto uderzyć w stare struny. Pokażmy Polakom, ale i całej Unii, że mamy jakiś pomysł. Minister Sikorski mówi o Legionie Europejskim – proszę, rozmawiajmy o tym. Może wspólne wojsko europejskie? A może wróćmy do idei prezydenta UE i zgłośmy Aleksandra Kwaśniewskiego na tę funkcję?

Nie wiem. Wiem jedno – nowy układ świata, który proponuje Trump w porozumieniu z Putinem i towarzyszem Xi, to nowy koncert mocarstw. Jedyną przeszkodą na tej drodze jest rozmemłana Unia. Trzeba więc ją rozbić i najlepiej zlikwidować. Konfederaci i braunowcy chcą nas z Unii wyprowadzić – krzyczmy o tym gdzie: do Chin, do Rosji czy na Księżyc? Bo przecież po upadku UE Trumpowi Polska nie będzie potrzebna. To nie są urojenia. Tak trzeba czytać opublikowaną rok temu strategię bezpieczeństwa narodowego USA. Nie wolno zapominać o doktrynie Gierasimowa wyłożonej przez Putina w Monachium. Pokażmy, kto ją w naszym kraju realizuje, i odpowiedzmy własną strategią, której osią musi być umacnianie Europy. Może powołajmy prawdziwy think tank europejski, zaprośmy do niego autorytety i dobrze im zapłaćmy za myślenie w tej kwestii. I nie bójmy się rzeczy niebanalnych, pomysłów wywracających dotychczasową politykę, ostrej konfrontacji z gromadą politykierów. Pozbądźmy się strachu!

Także strachu przed egzekwowaniem zapisów konstytucyjnych i norm prawa powszechnie obowiązującego. Trzy lata ścigamy jakichś przestępców z czasów poprzedniej władzy, a tolerujemy ludzi, którzy dziś popełniają przestępstwa. Państwo okazuje się bezradne lub powolne w ściganiu faszystów i wszelakiej maści radykałów, na ogół prawicowych. Nie ma – i wydaje mi się, że nie będzie – procesów za łamanie prawa w latach 2015-2023. Nikt już nie pamięta, o co wtedy chodziło i dlaczego Morawiecki ma odpowiadać za „wybory kopertowe", do których ostatecznie nie doszło. Ale wszyscy widzą nieradzenie sobie aparatu państwa z panem Bąkiewiczem i jego podszywaniem się pod państwo. Wszyscy słyszą, że jawni antysemici są skazywani na prace społeczne. Wszyscy widzą narastające nastroje antyukraińskie i pamiętają, że władza niewolna była od schlebiania tym nastrojom. A cóż to za władza, która schlebia ulicy, zamiast ją kształtować?

Jeśli chcemy wygrać wybory w 2027 r., musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, po co nam władza i co z nią zrobimy, jak już ją zdobędziemy. I to jest najpilniejsze zadanie. Bo obawiam się, że przeciwnik już to wie i nie jest to zamysł dobry dla Polski i jej przyszłości.

Dr Krzysztof Janik – politolog, były minister MSWiA, były szef SLD, w latach 1993-2005 poseł na Sejm II, III i IV kadencji

eprasa.pl 66e3b90ff1

Cegiełki pod chiński porządek

Zachód traci monopol, **BRICS** buduje alternatywę



18. szczyt BRICS odbędzie się 12-13 września w New Delhi. Jedynie Pekin (Xi Jinping) i Indie (Narendra Modi) mają narzędzia, żeby nadawać ton tej inicjatywie.

Mateusz Mazzini

Stwierdzenie, że demokracje liberalne północnego Atlantyku straciły monopol na dyktowanie norm i zasad, według których ma funkcjonować współczesny świat, jest prawdziwe, ale dziś już trywialne. Maleje znaczenie polityczne Europy, co w połączeniu ze stagnacją gospodarczą, brakiem nowej wyobraźni politycznej i wewnętrznym skłóceniem sprawiło, że Stary Kontynent dla mało kogo jest punktem odniesienia.

Z kolei administracja Donalda Trumpa odsłoniła strukturalne słabości Stanów Zjednoczonych, a dodatkowo pogłębiła niektóre deficyty. Tym samym przyśpieszyła schyłek tzw. amerykańskiego momentu, okresu, w którym tamtejsza armia, gospodarka, soft power oraz kompleks akademicko-technologiczny pozostawały najlepsze i największe na świecie, praktycznie niezagrożone w swojej dominacji.

USA już nie są globalnym hegemonem – ani „dobrodusznym", jak mówiono w latach 90., ani „pasożytniczym", jak nazwał je felietonista „Foreign Policy" i wykładowca Harvardu prof. Stephen Walt. Politolog ten w ostatniej publikacji przygotował nawet listę „10 sposobów, na które Trump osłabia Amerykę", oceniając, że w polityce zagranicznej działania prezydenta do tej pory były „wyłącznie szkodliwe".

Hegemon na glinianych nogach

Era hegemonów, podobnie jak czas uniwersalizmów, dobiega zresztą końca, i to nie tylko z powodu trajektorii spadkowej samej Ameryki. Henry Kissinger zauważył kiedyś, że w miarę powszechny porządek międzynarodowy, taki jak ten, który mieliśmy w ostatniej dekadzie XX w., możliwy jest wyłącznie wtedy, kiedy istnieje hegemon spełniający dwa kryteria.

Po pierwsze, narzuca on zasady zachowania mniejszym graczom. Po drugie, jest w stanie wyegzekwować przestrzeganie tych zasad. W dzisiejszym świecie, jak niedawno na

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 66e3b90ff1

łamach magazynu „Foreign Affairs" zauważył brazylijski politolog Matias Spektor, żadne państwo nie spełnia obu tych warunków. Amerykanie nie mają zasobów, żeby zmusić mniejsze państwa do respektowania ich wizji, czego najlepszym przykładem jest kuriozalna wojna z Iranem. Waszyngton zużył w niej jedynie swoje zapasy pocisków dalekiego zasięgu i systemów obrony przeciwrakietowej, a strategicznie nie osiągnął tam nic, w praktyce wręcz wyniósł Iran do rangi regionalnego mocarstwa. Biorąc pod uwagę fakt, że kraj ten jeszcze niedawno był pariasem nawet dla państw Zatoki Perskiej, jest to osiągnięcie zaiste wybitne.

Z kolei drugi potencjalny hegemon, twierdzi Spektor, nie jest specjalnie zainteresowany stabilizowaniem świata rozchwianego przez populistów i spółki technologiczne. Znaczenie geopolityczne Chin rośnie w zawrotnym tempie, ale przywództwo pod względem nowych technologii oraz inwestycji infrastrukturalnych to nie wszystko. W prosty sposób udowodnił to David Lubin, ekspert brytyjskiego think tanku Chatham House, zajmujący się polityką walutową i makroekonomią. W niedawnym komentarzu dla macierzystej instytucji opisał potencjalną naturę kolejnego kryzysu finansowego.

Zdaniem Lubina, jeśli do niego dojdzie, nie będzie przypominał wielkiego kryzysu z 2008 r., bo znajdujemy się w innym układzie hegemonicznym. Wtedy, pisze Lubin, Amerykanie wzięli na siebie zadanie ustabilizowania rozkołysanej łodzi, jaką były światowe rynki finansowe. Dzisiaj już nie byliby w stanie tego zrobić, a Chiny nie mają do tego narzędzi. Ich waluta to ułamek wagi dolara dla globalnej ekonomii. Według wyliczeń Banku Światowego zaledwie ok. 3% wszystkich transakcji międzynarodowych w systemie SWIFT rozlicza się w chińskiej walucie, nawet dla chińskiego eksportu odsetek ten wynosi mniej niż jedną trzecią (30%). Trudno więc się spodziewać, żeby Xi Jinping zechciał ratować kapitalistów z Europy i USA.

Co jednak nie znaczy, że Chiny nie próbują niczego nowego budować. Owszem, próbują, i to z wielkimi sukcesami. Tyle że nie jest to nowy globalny porządek, struktura z hegemonem w samym środku – w myśl tego, co twierdzi Matias Spektor. Zamiast tego mamy do czynienia z budowaniem przyczółków, sieci zależności i dobrze zmapowanych potencjalnych punktów zapalnych albo złóż surowców potrzebnych, aby stać się technologiczno-przemysłową autarkią. Coraz bardziej oczywiste staje się, że właśnie w tym celu rozwijany jest sojusz BRICS (Brazylii, Rosji, Indii, Chin i Republiki Południowej Afryki), którego 18. już szczyt odbędzie się 12-13 września w New Delhi.

Jabłka, pomarańcze i wydmuszki

W tym miejscu warto przypomnieć przynajmniej część mitologii, którą budowano wokół tego (nie)sojuszu mającego stworzyć alternatywę dla w sumie każdej zachodniej instytucji. BRICS przez lata był i nadal w dużej części pozostaje nieskodyfikowanym partnerstwem pięciu krajów spoza geografii euroatlantyckiej, które przez ostatnie dwie dekady, według różnych prognoz, miało unicestwić albo chociaż ograniczyć znaczenie Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego, NATO, Unii Europejskiej, a nawet Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Nic z tych przewidywań się nie sprawdziło, głównie dlatego, że niczym w anglosaskim porzekadle porównywano tu jabłka i pomarańcze. Ogromne, skomplikowane instytucjonalnie, zbiurokratyzowane i politycznie homogeniczne podmioty jak Unia albo naprawdę globalne jednostki, typu MFW, zestawiano z czymś, co nie ma nawet stałego sekretariatu, nie mówiąc o politycznej, choćby rotacyjnej, administracji. Wprawdzie stosunkowo niedawno, bo dwa lata temu, na łamach „Foreign Affairs" prof. Oriana Skylar Mastro z Uniwersytetu Stanforda sugerowała, by nie bagatelizować BRICS z powodu braku stałych instytucji i formalnych połączeń między krajami, ale nawet takie, bardziej konserwatywne prognozy należy dziś odczytywać z dystansem.

Czy BRICS okazał się wydmuszką i nic już nie znaczy? Nie do końca. Na pewno spełnił swoją funkcję jako projekcja lęków euroatlantyckich elit liberalnych, przekonanych, że ich koniec może nastąpić wyłącznie z powodów zewnętrznych. To znaczy kiedy zostaną pokonane przez bestię o analogicznej konstrukcji, ale odmiennej naturze ideologicznej. Krótko mówiąc, świat zachodni skończy się, jeśli pokonają go autokracje, współpracujące jednak w sojuszu podobnym do tego, który sami mamy. Jeśli przyjdzie zło, będzie ono wersją naszego dobra.

Nic takiego najpewniej się nie wydarzy, bo BRICS musiałby nagle zmienić się w skoordynowaną machinę o wspólnym wektorze politycznym, a do tego daleko. Dr Samir Puri, brytyjski dyplomata swego czasu również związany z Chatham House, zauważył w książce „Westlessness",

Po co dzisiaj istnieje BRICS? Grupa powoli przekształca się w wehikuł realizowania strategicznych interesów Chin – i niewiele więcej.

że przecież w gronie państw założycielskich tej grupy są trzy demokracje, spośród których dwie – RPA i Brazylia – mają struktury konstytucyjne bardzo przypominające kraje zachodnie. Do tego trzeba dodać komunistyczne Chiny i autorytarną Rosję prowadzącą z Zachodem otwartą wojnę. Jeśli popatrzeć na strukturę eksportu gospodarek Brazylii i RPA, widać od razu, że handlują one przede wszystkim z USA i Europą, więc konflikt z tymi obszarami byłby finansowo samobójczy dla tych wciąż rozwijających się krajów. Nowej struktury wprowadzającej ogólnoświatowy porządek raczej zatem nie będzie. To po co dzisiaj istnieje BRICS?

Wiele wskazuje na to, że grupa powoli przekształca się w wehikuł realizowania strategicznych interesów Chin – i niewiele więcej. Także dlatego, że jedynie Pekin i do pewnego

eprasa.pl 66e3b90ff1

stopnia indyjski rząd Narendry Modiego mają narzędzia, żeby nadawać ton i kierunek rozwoju tej inicjatywie. Brazylia jest w roku wyborczym, pochłonięta polaryzacją i wewnętrznym konfliktem politycznym. RPA mierzy się z olbrzymią stagnacją gospodarczą i wyzwaniami związanymi z niewydolną infrastrukturą energetyczną. Rosja to kraj zombie, w którym wszystkie siły są rzucane na front, a naród zżerany jest apatią i przytłoczony apokaliptycznymi wizjami przeszłości. Zostaje Modi z jego ambicją zrobienia z Indii największego rynku na świecie oraz Xi Jinping, pod wieloma względami czujący się jak król świata, zresztą niebezpodstawnie.

I tu wchodzi sztuczna inteligencja

Formalnie na szczycie w New Delhi mają być omawiane rozwiązania techniczne, które nawet jeśli nie wywodzą się z Chin, to Chinom mogą się przydać najbardziej. Indie chcą np. zwiększenia współpracy krajów członkowskich oraz redukcji biurokratycznych zobowiązań w płatnościach cyfrowych, a także przyjęcia cyfrowych walut przez banki centralne wszystkich założycieli BRICS.

Brzmi skomplikowanie, ale chodzi o to, żeby z czasem móc niemal całkowicie uniezależnić się od dolara. Na razie bowiem amerykańska waluta jest zapasowym pieniądzem całej światowej gospodarki i kontrolując ją, rząd federalny może autentycznie sterować procesami na skalę globalną. Xi Jinping, dążący do uczynienia z Chin nie tyle hegemona, ile kraju wolnego od jakichkolwiek niebezpiecznych zależności gospodarczych wobec świata zewnętrznego, chciałby to zmienić. Nie musi w tym celu wzmacniać samego juana. Wystarczy, że osłabi konkurencję i zdecentralizuje cały system.

Na uwagę zasługuje też inna płaszczyzna, na której polityka Indii i Chin zdaje się radykalnie odmienna od europejskiej i amerykańskiej. Chodzi oczywiście o sztuczną inteligencję, która liderom BRICS jawi się jako „siła, którą można opanować dla dobra własnego rozwoju, a nie jako ryzyko, które musi po prostu zostać ograniczone”, jak napisano w oficjalnej zapowiedzi szczytu przygotowanej przez indyjski rząd. Trudno o bardziej wyrazistą różnicę względem Zachodu.

W czasie gdy w Stanach Zjednoczonych sprzeciw społeczny wobec budowy gigantycznych, energożernych centrów danych staje się głównym wątkiem debaty przed wyborami połówkowymi w listopadzie, a i w Europie pojawia się podobny trend, Chiny zachowują olbrzymi optymizm – polityczny, ekonomiczny i społeczny – co do tej nowej technologii. Indie zaś widzą w niej szansę na obalenie monopolu i dominacji starych krajów, opartych na ekonomii wiedzy, czyli po prostu USA i Europy. Dla Xi Jinpinga to w ogóle coś znacznie ważniejszego, bo stanowi dopełnienie marksistowskiej teorii gospodarczej.

Chiny próbują budować sieci zależności, zresztą z sukcesami.

Brzmi abstrakcyjnie i pewnie trochę na wyrost, ale doktryna marksistowskiej sztucznej inteligencji od lat jest dość szeroko dyskutowana w chińskich elitach rządzących. Wiedza na ten temat istnieje w Europie, bo temu tematowi jeden z rozdziałów w swojej ubiegłorocznej książce poświęcili analitycy Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych (ECFR) Janka Oertel, Alicja Bachulska i Mark Leonard. W dużym skrócie idea ta zakłada analizowanie sztucznej inteligencji w kategoriach środków produkcji i przypisanie jej takiej samej wartości jak maszynom w czasie pierwszej rewolucji przemysłowej.

Jeszcze konkretniej opisał to Kevin Rudd, były premier Australii, prawdopodobnie najlepszy na świecie ekspert od myśli politycznej Xi Jinpinga oraz współczesnych Chin. W niedawnym eseju na blogu w portalu Substack stwierdził, że Xi rozwija doktrynę marksistowską w XXI w. Do czterech czynników produkcji w gospodarce: ziemi, pracy, technologii i kapitału, dodaje piąty, niezbędny w rozwoju sztucznej inteligencji, czyli dane. Mają one odegrać taką samą rolę jak fizyczna praca robotników w fabrykach w oryginalnym myśleniu Karola Marksa.

I tu oczywiście Chiny widzą swoją naturalną przewagę, bo jako perfekcyjne i jednocześnie totalitarne państwo nadzoru mają tych danych po prostu najwięcej. A jeśli uda im się podpisać porozumienia międzynarodowe w zakresie wymiany danych, np. z szeroką grupą BRICS+ (pięć krajów założycielskich plus sześć dodanych niedawno), staną się potęgą na tym polu.

Jakby tego było mało, coraz większej rzeszy ludzi na świecie to się zwyczajnie podoba. Zmęczeni Trumpem, rozczarowani własnymi demokracjami Amerykanie i Europejczycy zaczynają patrzeć na Chiny (i zdominowane przez nie sojusze) z mieszanką lęku, podziwu i zazdrości. Na całym świecie w badaniach opinii publicznej rośnie odsetek respondentów wskazujących, że Chiny to świetny partner dla ich krajów. Wspomniany Mark Leonard, szef ECFR, pokusił się nawet o stwierdzenie w portalu Project Syndicate, że „przyszłość nas wszystkich będzie nosić chińskie cechy i znamiona”.

Coraz więcej twardych dowodów przemawia za tym, że Leonard może mieć rację. I do osiągnięcia takiego sukcesu, jak się okazuje, nie potrzeba olbrzymich instytucji, kilkunastu szczytów rocznie i tysięcy stałych biurokratów. Wystarczy wieloletnie planowanie i całkowity brak skrupułów w wykorzystywaniu tych, którym mówi się, że są po prostu partnerami.

Mateusz Mazzini

Przegląd
ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66e3b90ff1



Z Galicji

Jan Widacki

Po wakacjach

Zwykle sierpień nazywano sezonem ogórkowym. Główni aktorzy życia publicznego przebywali na wakacjach i tak dalece nic godnego uwagi się nie działo, że dziennikarze na siłę szukali jakichś newsów i sensacji. Tak bywało, ale od dawna już nie jest. Niby urlopy, niby Sejm nie pracuje, ale w kraju polityczna zupa pod pokrywką wrze i tylko czekać, kiedy wykipi.

Zaczęła się afera Zondakrypto. Jak się skończy? Zapowiada się trzęsienie ziemi. Na razie aresztowano prezesa PKOI Radosława Piesiewicza. Przyjaciela pisowskich elit. Prezes spółki Przemysław Kral, który przejął ją po zaginionym bez wieści Sylwestrze Suszku, nazywanym „królem kryptowalut", chce sypać. Wiadomo powszechnie, że Zondakrypto finansowało nie tylko PKOI, ale też fundacje związane z politykami PiS, i to gdy Sejm pracował nad ustawą, która miała wprowadzić kontrolę kryptowalut. Ustawą, którą Nawrocki wetował. Czy śledztwo potwierdzi, że i kampania prezydencka była finansowana z tego źródła?

Czy istotnie do trzęsienia ziemi dojdzie, nie jestem pewien, na razie doszło tylko do trzęsienia portek – wielu polityków PiS, od Kaczyńskiego i Morawieckiego począwszy, próbuje od rynku kryptowalut się zdystansować. Kaczyński twierdzi, że zawsze był przeciw, Morawiecki – że wielokrotnie przed Zondakrypto i w ogóle przed kryptowalutami ostrzegał. Nie bardzo wiadomo kogo. W każdym razie nieskutecznie, i to nawet w przypadku partyjnych kolegów.

Nie bardzo wierzę w skuteczność prokuratury, która bardziej studiuje sondaże poparcia poszczególnych partii i analizuje, kto wygra najbliższe wybory, niż zbiera i analizuje materiał dowodowy w sprawie, w którą umoczeni są politycy. Szczególnie politycy, którzy za rok mogą objąć władzę. Bardziej liczę na społeczeństwo, które być może pod wpływem informacji o kolejnej megaaferze osłabnie w sympatii do prawicy. Jeśli to przełoży się na sondaże, może rzeczywiście prokuratura bardziej ochoczo weźmie się do pracy. Z zainteresowaniem śledzę natomiast poczynania mec. Giertycha, który jako adwokat Przemysława Krala musi pogodzić interes klienta z interesem politycznym swojego ugrupowania, co wydaje się nie do pogodzenia. Ale jestem przekonany, że Giertych da radę i jeszcze na tym zarobi.

Zanim na dobre wybuchła afera Zondakrypto, PiS się podzieliło. Odszedł Morawiecki z grupą zwolenników, a znaleźli się w niej ludzie, którzy wedle słynnej klasyfikacji posła Horały „kradli zgodnie z procedurami" i część z nich ma zarzuty. Wśród tych, którzy wiernie zostali przy Kaczyńskim, też są tacy, ale wedle politologów ich odsetek jest tam mniejszy.

Jakby tego było mało, prokuratura chce postawić zarzuty wicemarszałkowi Sejmu Szymonowi Hołowni i europosłowi Michałowi Kobosce, którzy mieli ruszyć „trzecią drogą"… ale po dyplom Collegium Humanum.

Afera Collegium Humanum jest efektem i skrajnym przykładem patologii systemu szkolnictwa wyższego. Patologii polegającej na tym, że edukację wyższą i kończący ją dyplom potraktowano jako towar. To prawda, handel dyplomami, ale nie na taką przecież skalę, zdarzał się już w przeszłości nawet na najbardziej szacownych uniwersytetach. Dość przypomnieć aferę Haraschina z lat 60. XX w. na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ale był to efekt korupcji jednego wpływowego człowieka, a nie patologii systemu.

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego od trzech lat próbuje z tą patologią walczyć, ale obawiam się, że nieskutecznie. Tu, gdzie potrzebny jest chirurg, nie wystarczy kosmetyczka. Efekt mamy taki, że w Polsce, kto chce i ma pieniądze, studiuje, bez względu na zdolności i pilność.

Zondakrypto finansowało nie tylko PKOI, ale też fundacje związane z politykami PiS.

Uczelnie zarówno publiczne, jak i niepubliczne polują na każdego studenta. Poziom studentów staje się więc coraz niższy, a wedle „The Economist" 20% polskich studentów jest intelektualnie na poziomie 10-latka (por. „Przegląd" 34/2026), uczelnie zaś mamy niemal w każdym powiecie. Ilość nie przekłada się na jakość i najlepsze polskie uniwersytety lokują się w światowych rankingach w okolicach piątej setki…

Mając w budżecie mało pieniędzy na naukę – a wiele więcej mieć nie będziemy – przynajmniej mądrze je wydawajmy. Zamiast utrzymywać z publicznych pieniędzy powiatowe akademie, nie tylko kształcące niedouków, ale produkujące już także doktorów, którzy coraz częściej pojawiają się jako eksperci w różnych poważnych sprawach, podzielmy je. Część pieniędzy dajmy prawdziwym uniwersytetom, część przeznaczmy na stypendia dla zdolnej młodzieży „z prowincji" – niech studiuje na prawdziwych uczelniach. Na tych, na których uprawia się naukę, a nie tylko produkuje dyplomy. Ale by to zrobić, trzeba mieć wizję, jak szkolnictwo wyższe ma wyglądać, i odwagę, by wizję tę zrealizować. Również wbrew oporom części opinii publicznej, za cenę obniżenia słupka poparcia. Tak to od Zondakrypto doszliśmy do nauki i szkolnictwa wyższego. Rok szkolny się zaczął, akademicki rozpocznie za trzy tygodnie. Czas pomyśleć o uniwersytetach. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66e3b90ff1



Prezydent Trump podczas spotkania z farmerami w Ogrodzie Różanym w Białym Domu, 25 czerwca 2026 r.

Koniec zauroczenia Trumpem

Farmerzy mają dość. Wojna celna z Kanadą przelewa czarę goryczy

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Ze wszystkich bastionów MAGA te na prowincji od samego początku były najsilniejsze i najbardziej zdyscyplinowane. Prowincjonalna Ameryka przez prawie dekadę konsekwentnie głosowała na człowieka, któremu zaufała niemal bezgranicznie. Refleksja pojawiła się po raz pierwszy, kiedy przyszło zapłacić za chaotyczną politykę celną Trumpa w ubiegłym roku, a drugi raz – gdy po atakach na Iran podrożało paliwo. Ale potrzebna była dopiero wojna handlowa z Kanadą, by Amerykanie przejrzeli na oczy.

Miłość ze złości

W 2016 r. Trump zdobył 65% głosów w hrabstwach, których mieszkańcy żyją głównie z rolnictwa. Cztery lata później – już 70%, a w ostatnich wyborach – aż 78% („The New Republic", czerwiec 2026). Kamala Harris przegrała w 2024 r. walkę o ten elektorat z aż 30-punktową różnicą. Jednocześnie był to najlepszy od czasów Ronalda Reagana wynik konserwatysty na prowincji – choć trzeba wziąć poprawkę na fakt, że Reagan zwyciężył w stylu *landslide* (lawinowo) w każdym przedziale wyborczym.

I jeszcze jedna ciekawostka. Do lat 90. amerykańska prowincja głosowała mniej więcej tak samo jak miasta, uwzględniając oczywiście różnice regionalne. Pas biblijny, czyli południe USA, zawsze preferował polityków konserwatywnych, z kolei oba wybrzeża i Nowa Anglia zawsze ciążyły ku progresywistom.

Czym Trump zaskarbił sobie tak wielką sympatię mieszkańców małych miast i wsi? Olbrzymią rolę odegrały jego specyficzna charyzma oraz kult „człowieka biznesu", a więc tego, który „wie, potrafi i dowiezie". Prowincjonalni wyborcy, zubożali, bezrobotni, mający poczucie odstawienia na boczny tor historii, w roku 2016 buntowali się przeciw wszystkim elitom. Wizja rządów człowieka, który na każdym kroku podkreślał, że jest „spoza systemu", była pociągająca.

Choć Trump nie szafował konkretami, to obiecywał wsi natychmiastowe obniżenie kosztów życia, politykę celną, która poprawi koniunkturę na amerykańskie produkty, oraz powszechną deregulację – zdjęcie duszącej przedsiębiorców obroży, bezlitośnie zaciśniętej przez demokratów. Na okrasę były zapowiedzi hojnego wsparcia federalnego dla farm w kłopotach finansowych i masowych deportacji nielegalnych migrantów, przestępców i dilerów fentanylu. Narkomania największe żniwo w USA zbiera właśnie na prowincji.

eprasa.pl 66e3b90ff1

Miłość przebacza

Czy Trump „dowiózł"? Bynajmniej. Nigdy nie podpisał obiecanej wsi ustawy zapomogowej ani żadnego rozporządzenia ułatwiającego prowincji dostęp do internetu oraz infrastruktury komunikacyjnej, co miało wyrównywać jej szanse edukacyjne i zawodowe. Do tego wieś z własnej kieszeni zapłaciła za jego „wojnę sojową" z lat 2018-2019. Rachunek wyniósł ok. 28 mld dol. strat za niezrealizowany eksport amerykańskiej soi do Chin.

Można się spierać o to, co dokładnie wywołało zbiorową amnezję i sprawiło, że w 2024 r. prowincja ponownie zasiliła szeregi największych zwolenników Trumpa. Tak czy owak, wieś znowu uwierzyła, że jest jego oczkiem w głowie.

Na wieść o tym, że USA weszły w stan wojny handlowej z Kanadą i oba państwa obłożyły się 50-procentowymi cłami na towary warte ponad 20 mld dol., wszyscy zareagowali szokiem. Najbardziej osłupiała prowincja – to przecież ona poniesie największe koszty tego konfliktu. Od razu jednak wyjaśnijmy: nie jest tak, że jej mieszkańcy nie mieliby ochoty utrzeć Kanadzie nosa. Część amerykańskiej prawicy, ta, której podobają się neokolonialne i interwencjonistyczne zapędy Trumpa – ok. 7% wyborców – nie miałaby nic przeciwko temu, by Kanada w jakimś momencie stała się 51. stanem USA (Research Co., styczeń 2026). Oby tylko nie w sposób narażający na szwank dobrostan Amerykanów.

Miłość wystawiona na próbę

Skąd więc to oburzenie? Bo stało się to w momencie, kiedy dobrostan prowincji został już mocno przez Biały Dom naruszony, a relacjom wsi z Trumpem daleko do takiej sielskości jak w dniu inauguracji jego drugiej prezydentury.

Miłość między obiema stronami zaczęła słabnąć w sierpniu ub.r. Powodem były skutki „Dnia Wyzwolenia" (tak Trump nazwał 2 kwietnia 2025 r., gdy ogłosił swoją nową politykę celną) oraz agresywnych działań łapankowo-deportacyjnych ICE. Nie dość, że podrożały nawozy i sprzęt, to jeszcze niemal z dnia na dzień zniknęły ręce do pracy na polach i w sadach. Amerykańskie rolnictwo od dawna opiera się na pracy imigrantów – to aż 70% zatrudnionych w tej branży, przy czym 50-60% przebywa w USA nielegalnie (Farmonaut, listopad 2025).

W październiku 2025 r. prowincja otrzymała kolejny cios. W samym środku zbiorów Chiny wstrzymały zakup amerykańskiej soi. W grudniu sondaże pokazywały już tak duży spadek poparcia dla Trumpa (10-15 pkt), że przestraszony Biały Dom zaoferował rolnikom program jednorazowych rekompensat. Przeznaczono na ten cel 12 mld dol. Niesmak jednak pozostał, a kiedy Trump zaatakował Iran i do wszystkich nieszczęść doszły jeszcze wyższe ceny paliw – gniew i bunt powróciły ze zdwojoną siłą.

Przełomem okazał się kwiecień tego roku. Rząd zamknął wtedy okienko zapisów na wspomniane zapomogi i stało się jasne, że był to tylko plaster, który rany nie zagoi. A skoro tak, to obiecany przez Trumpa cud gospodarczy też może nigdy się nie ziścić. American Farm Bureau Federation ogłosiła jednocześnie, że liczba przypadków bankructw farmerów, za które bezpośrednio odpowiada polityka celna Trumpa, zwiększyła się w 2025 r. niemal o połowę (raport AFBF Market Intel, luty 2026), a portal Law360 napisał, że w kwietniu 2026 r. było ich aż o 130% więcej niż w porównywalnym okresie rok wcześniej (dane za Epiq AACER, kwiecień 2026).

Nie pomogło i to, że gdy demokraci zgarniali w prawyborach zwycięstwa, proponując Amerykanom konkretne pomysły na obniżenie kosztów życia (sławetne hasło „affordability"), Trump pompował publiczne pieniądze w nową wojnę i z uporem maniaka wmawiał narodowi, że „affordability" to jeszcze jeden przekręt demokratów (szczyt G7, czerwiec 2026). Pytany o ocenę stanu gospodarki wystawiał sobie notę A+++++ (grudzień 2025), a na pytanie, czy nie martwi go pogarszająca się sytuacja finansowa Amerykanów, odpowiadał, że „w ogóle o tym nie myśli" (maj 2026). Gdy najsłynniejsza obecnie dysydentka ruchu MAGA, była kongresmenka z Georgii Marjorie Taylor Greene, wytknęła mu, że mydli ludziom oczy, bo każdy mocno odczuwa rosnące koszty życia, Trump publicznie ją poniżył, mówiąc, że „oszalała" (kwiecień 2026).

Nastroje prowincji w przededniu wybuchu wojny handlowej z Kanadą think tank Brookings Institution opisał następująco: „Tylko 24% białych wyborców z prowincji uważa dziś, że stan gospodarki jest dobry bądź bardzo dobry, reszta ocenia go jako słaby bądź zły. Jako lepszą niż przed dwoma laty (końcówka prezydentury Bidena) swoją sytuację finansową postrzega tylko 16%, wobec 49% uważających, że żyje im się gorzej. Dla 64% koszty życia są największą bolączką ekonomiczną i tylko 30% jest zdania, że Trump wywiązuje się w tej mierze ze złożonych obietnic. 49% ankietowanych obawia się, że działania Trumpa zaszkodzą Ameryce długofalowo, w przeciwieństwie do 39%" („President Trump's support declines sharply in rural America", 5 czerwca 2026).

Miłość oszukana

Jak wojna celna uderzy w amerykańską prowincję? Kanada jest dla USA drugim po Meksyku największym partnerem handlowym, a dla większości stanów przygranicznych i północnych handel z nią to tętnica pompująca krew w ich gospodarki.

Mamy więc Wisconsin i Iowę – odpowiednio mleczarskie i żywnościowe zagłębie USA – dla których Kanada jest największym odbiorcą, kupującym jedną trzecią ich produktów. Dalej mamy nadmorski stan Maine – największego amerykańskiego dostawcę ryb, borówek i drewna do produkcji artykułów papierniczych, który eksportuje na północ ponad 40% swoich towarów. Samochodowe i hutnicze Ohio oraz Michigan wysyłają do Kanady 30-40% swoich wyrobów, a Pensylwania – ponad jedną czwartą produkowanych komputerów i elektroniki. Wreszcie dla stanów Północna Dakota, Montana, Vermont i oczywiście całkowicie

eprasa.pl 66e3b90ff1



Senatorka Susan Collins z Maine otwarcie nazwała nowe cła pomyłką.

oddzielonej od USA Alaski Kanada jest kluczowym zagranicznym dostawcą dóbr i surowców. Wszystkie też korzystają na tym, że obsługują szlaki tranzytowe pomiędzy obydwoma krajami. Do kontrolowanej przez republikanów Montany aż 90% importowanych towarów przybywa właśnie z Kanady.

Warto przypomnieć o jeszcze jednym pomyśle Trumpa, który w przypadku prowincjonalnych wyborców przelał czarę goryczy. W przeddzień zerwania przez Kanadę ostatniej rundy negocjacji Trump ogłosił, że tymczasowo zdejmuje cła z zagranicznej wołowiny. Ma to przynieść konsumentom ulgę przy kasie w supermarkecie. Amerykańscy ranczerzy widzą w tym jednak wyłącznie niesprawiedliwe faworyzowanie produktów zagranicznych kosztem rodzimych. I zamiast ulgi czują wściekłość.

Koniec miłości

Choć większość republikańskich polityków wciąż woli nie komentować wojny celnej z Kanadą – w Kongresie zawiązała się niewielka, pierwsza od kilkunastu miesięcy, koalicja przeciwników prezydenckiej polityki. Senatorka Susan Collins z Maine otwarcie nazwała nowe cła pomyłką. Senator John Sununu z New Hampshire uznał, że „wszczynanie wojny celnej z Kanadą nie ma żadnego sensu. Trump przysporzył sobie wielkich kłopotów wśród farmerów" (Politico, 26 sierpnia 2026). Senator Thom Tillis z Karoliny Północnej przestrzegł zaś republikanów: „71 dni przed wyborami nie mamy dla naszej prowincji żadnego pozytywnego przesłania".

Gdy politycy milczą lub łagodzą swoje wypowiedzi, bardziej szczerzy są ich stratedzy. „Wśród republikanów ubiegających się o stanowiska nie ma w tej chwili nikogo, kto by powiedział, że wojna celna z Kanadą to dobry pomysł. Wszystko i tak jest za drogie i trudno pojąć, w jaki sposób ma to pomóc jakiemukolwiek republikaninowi", mówi Doug Heye, właściciel firmy konsultingowej z Północnej Karoliny obsługującej Partię Republikańską.

Dwa miesiące przed wyborami połówkowymi republikanie i tak mają wystarczająco pod górkę. Według sondażu Economist/YouGov Trump ma tylko 33% poparcia. To nowe dno jego drugiej prezydentury – wynik pokrywający się z najgorszym z pierwszej kadencji, z grudnia 2017 r. Tymczasem w amerykańskiej polityce jest regułą, że wyborcy traktują wybory połówkowe jak referendum, w którym oceniają urzędującego prezydenta. Historia nie zna jeszcze takiego, któremu przy tak niskim poparciu udałoby się ocalić swoją partię przed wyborczym pogromem.

Co kocha Trump?

Pytania, które najbardziej intrygują już nie tylko wyborców z prowincji i republikańskich polityków, ale także całą Amerykę, a pewnie i świat, brzmią: dlaczego Trump w ogóle wszedł w konflikt z Kanadą? Dlaczego teraz? Gdzie w tym logika?

O logikę faktycznie trudno, ale nie od dzisiaj wiemy, że trumpoświatem rządzi nie logika, lecz ego. W dodatku kondycji ego prezydenta strzegą żelazne westalki w rodzaju Natalie Harp. Młode asystentki mają za zadanie maksymalnie izolować Trumpa od realnego świata i codziennie podsuwać mu wyszukane w mediach peany na jego cześć. Maggie Haberman i Jonathan Swan, autorzy najnowszej książki o Trumpie „Regime Change: Inside the Imperial Presidency of Donald Trump", nadali Harp przydomek „ludzka drukarka", który się upowszechnił. Doskonale bowiem tłumaczy, dlaczego Trump odmawia przyjęcia do wiadomości, że kogoś zawiódł i że stracił czyjeś poparcie – Harp na bieżąco drukuje pochlebstwa medialne na przenośnej drukarce.

Jest i inne wyjaśnienie, brzmiące jak najbardziej logicznie. Są kłopoty, których Trump jest świadomy. Przedłużająca się wojna w Iranie napawa go lękiem, że podzieli los Lyndona B. Johnsona, prezydenta pogrążonego przez wojnę w Wietnamie. Krnąbrne sądy blokują różne jego działania, w tym przebudowę Białego Domu i „upiększanie" Waszyngtonu oraz nadawanie instytucjom publicznym jego imienia. Przegrał przed Sądem Najwyższym batalię o uprawomocnienie „Dnia Wyzwolenia", przez co musi teraz zrefundować amerykańskim firmom aż 166 mld dol. Wreszcie fakt, że chaos jego polityki celnej najbardziej wzmocnił największego adwersarza USA – Chiny, z którymi reszta świata jeszcze chętniej wchodzi teraz w sojusze.

Co to znaczy dla megalomana i egocentryka regularnie zamieszczającego w mediach społecznościowych materiały przedstawiające go jako najwspanialszego prezydenta

FOT. AP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 66e3b90ff1

USA, a nawet zbawiciela świata? Dla prezydenta, który po wyborach połówkowych może zostać – i wiele wskazuje na to, że zostanie – „kulawą kaczką" (*lame duck*) i stracić polityczną siłę? I w końcu dla człowieka, który przekroczył osiemdziesiątkę, jest najstarszym prezydentem w historii kraju i wie, jak mało czasu mu zostało, by się zatroszczyć o swoją spuściznę. Oznacza to, że coraz rozpaczliwiej poszukuje zastępczych zwycięstw i sukcesów, które tę spuściznę wzmocnią.

Niewykluczone, że konflikt z Kanadą jest właśnie czymś takim. Biały Dom do dziś nie opublikował szczegółów zerwanej umowy, ale wiemy z przecieków do mediów i z wypowiedzi negocjatorów kanadyjskich, że warunki umowy zostały w ostatniej chwili zmienione. Na przykład pojawił się wymóg, by Kanada zrezygnowała z suwerennej polityki celnej, podporządkowując ją w pełni amerykańskiej, czy przestała chronić nadawców francuskojęzycznych i promowała amerykańskich. A wszystko to bez gwarancji, że nawet jeśli na to przystanie, USA dotrzymają własnych wobec niej postanowień („Canada wants a deal, but Washington keeps moving the goalposts", Atlantic Council, 24 sierpnia 2026).

Czy tę miłość można wskrzesić?

Fiksacja Trumpa na tym, jak zapamięta go historia, a nawet rozczarowanie nim najbardziej zagorzałych fanów, to jednak tylko z pozoru dobra wiadomość dla demokratów. Im więcej na jego drodze pojawi się porażek, takich jak afront ze strony niepokornej Kanady, tym większe ryzyko, że po niezadowalającym wyniku jesiennych wyborów zakwestionuje ich wiarygodność i zainicjuje ruch Stop The Steal 2.0. Dodatkową motywacją będzie fakt, że demokraci już zapowiedzieli jego impeachment, a także szeroko zakrojone dochodzenie w sprawie korupcji, jakiej przez ostatnie dwa lata urzędowania dopuszczali się on i jego rodzina.

I kto wie, czy nie wyjdzie mu to na dobre. Może nawet zyskać w oczach rozczarowanych jego obecnymi rządami wyborców, w tym wiejskich. Jako prezydent najwięcej uwagi poświęca przecież udowadnianiu, że w polityce tak jak w biznesie – najważniejsze są marka i status zwycięzcy. Wszystko inne to szum, o którym się zapomina.

Teoria o skradzionych wyborach już raz przegrupowała amerykańską prawicę. Okazała się tak nośna, że wchłonęła nawet tych, którzy początkowo publicznie się od niej odżegnywali. Dorzućmy do tego argumenty o tym, że to świat „łupie" Amerykę, a nie na odwrót, podlejmy ewangelikalną benzyną o czasach ostatecznych i finalnym starciu dobra ze złem… i nietrudno sobie wyobrazić, że MAGA znów może urosnąć w siłę, której w 2028 r. trudno będzie się oprzeć. Tym trudniej, jeśli demokraci najbliższe dwa lata stracą na wewnętrzne wojenki o to, za kogo należy ich uważać i jakimi opisywać słowami. Na razie dojmująco brakuje sygnałów, że może być inaczej.

Eliza Sarnacka-Mahoney



eprasa.pl 66e3b90ff1



11 września mija 25 lat od dramatycznych wydarzeń, jakie rozegrały się w Nowym Jorku, Arlington w stanie Wirginia oraz w Shanksville w Pensylwanii. We wtorkowy ranek 2001 r. terroryści związani z islamską Al-Kaidą za pomocą uprowadzonych samolotów pasażerskich przeprowadzili serię skoordynowanych ataków wymierzonych w USA. Dwa samoloty uderzyły w wieże nowojorskiego World Trade Center, trzeci w zachodnie skrzydło Pentagonu – siedziby Departamentu Obrony. Czwarty samolot nie dotarł do celu. Gdy pasażerowie próbowali odbić go z rąk porywaczy, rozbił się na polu w Pensylwanii. Przypuszcza się, że miał uderzyć w Biały Dom lub Kapitol.

Dwie 110-piętrowe wieże WTC zawaliły się niespełna półtorej godziny po uderzeniu. W zamachach zginęło prawie 3 tys. osób, a rannych zostało ponad 25 tys. Świat zamarł z przerażenia, by następnego dnia być już całkowicie innym.

(rp)

Następnego dnia świat był już zupełnie inny









eprasa.pl 66e3b90ff1







eprasa.pl 66e3b90ff1







FOT. AP/DIANE BONDAREFF/EAST NEWS, AP/SHAWN BALDWIN/EAST NEWS, AP/EAST NEWS, AP/SUZANNE PLUNKETT/EAST NEWS, STEVE MCCURRY/MAGNUM PHOTOS/FORUM, ERIC DRAPER/ZUMA PRESS/FORUM, SHANNON STAPLETON/REUTERS/FORUM, JEFF CHRISTENSEN/REUTERS/FORUM, SEAN ADAIR/REUTERS/FORUM, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 66e3b90ff1



STABILNOŚĆ BEZ PERSPEKTYWY

Rząd Giorgii Meloni urzęduje najdłużej w dziejach Włoch

Giorgia Meloni jest pierwszą w historii Włoch kobietą stojącą na czele rządu.

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

4 września 2026 r. w porcie w Bari Giorgia Meloni wraz z ministrami i działaczami Braci Włochów świętowała historyczny rekord. Tego dnia jej rząd przekroczył 1412 dni urzędowania i wyprzedził drugi gabinet Silvia Berlusconiego, pozostający u władzy od 11 czerwca 2001 r. do 23 kwietnia 2005 r.

To znaczące osiągnięcie w kraju od lat kojarzonym z polityczną niestabilnością, szczególnie w okresie tzw. Pierwszej Republiki (1948-1994). W rankingu najdłużej urzędujących gabinetów za rządem Meloni oprócz drugiego rządu Berlusconiego znajduje się jego czwarty rząd, który sprawował władzę przez 1287 dni. Kolejne miejsce zajmuje pierwszy gabinet Bettina Craxiego – 1093 dni.

Od 1946 r. Włochy miały 68 gabinetów, co pokazuje skalę politycznej rotacji. Rozdrobnienie sceny politycznej, kruche koalicje wielopartyjne, częste zmiany układów parlamentarnych i klientelizm sprawiały, że włoskie rządy utrzymywały się średnio przez ok. 14 miesięcy.

Gabinet Giorgii Meloni został zaprzysiężony 22 października 2022 r. Jego utrzymanie się przy władzy przez niemal cztery lata jest więc bez wątpienia wyczynem. Przy tym Meloni to pierwsza w historii Włoch kobieta stojąca na czele rządu. Ale czy sama stabilność wystarczy?

Meloni świętuje, Włosi nie

„Podczas gdy włoskie rodziny płacą z własnej kieszeni za niekompetencję tego rządu – mierząc się z rekordowo wysokimi cenami paliw, z kosztującymi niemal 30% więcej niż pięć lat temu artykułami spożywczymi i z rachunkami należącymi do najwyższych w Europie – Giorgia Meloni myśli wyłącznie o zmianie ordynacji wyborczej i przygotowaniach do swojej uroczystości w Bari. Głównym zmartwieniem w Pałacu Chigi są przygotowania do celebracji, podczas gdy dla Włochów najważniejsze jest opłacenie pełnego baku samochodu i zrobienie zakupów”, oskarżała sekretarz Partii Demokratycznej Elly Schlein, dodając: „Meloni świętuje, Włosi nie”.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66e3b90ff1

Również lider Ruchu Pięciu Gwiazd Giuseppe Conte ironizował: „Są zbyt zajęci przygotowaniami do uroczystości w Bari i konstruowaniem ordynacji wyborczej, która pozwoli im przyspawać się do władzy. Oprócz rekordu długowieczności mają na koncie jeszcze jeden: to rząd, który najdłużej ignorował problemy Włochów".

Dla liderów opozycji krytykowanie rządzących jest obowiązkiem, zwłaszcza w perspektywie zbliżających się wyborów. Obrońcy Meloni wskazują natomiast, że jej rządy przypadają na okres szczególnie trudnej sytuacji gospodarczej. Wojna w Ukrainie, wprowadzenie przez administrację Donalda Trumpa ceł, które uderzyły w ważne sektory włoskiego eksportu, szczególnie dotykając małe i średnie przedsiębiorstwa, napięcia na Bliskim Wschodzie, wojna z Iranem i zakłócenia żeglugi przez cieśninę Ormuz, wywołujące kolejne wzrosty cen energii i paliw oraz skoki inflacji. Jednocześnie nastąpiło spowolnienie gospodarcze w strefie euro, zwłaszcza w Niemczech, jednym z najważniejszych partnerów handlowych Włoch, ograniczając popyt na włoskie towary i hamując przemysł.

Mimo to Włochy nie weszły w recesję. Jak podają media, wzrost PKB utrzymywał się na poziomie ok. 0,6-0,8%, a deficyt budżetowy spadł z 8,1% do ok. 3,1% PKB, przybliżając kraj do wyjścia z unijnej procedury nadmiernego deficytu. Stabilność rządu Meloni okazała się gwarancją wiarygodności na rynkach międzynarodowych. Kiedy premier obejmowała urząd, spread między włoskimi obligacjami skarbowymi a niemieckimi wynosił 233 pkt. Dziś spadł do ok. 80 pkt, czyli niemal o dwie trzecie – co jest główną zasługą ministra gospodarki Giancarla Giorgettiego.

Na stronie internetowej partii Fratelli d'Italia można przeczytać, że za kadencji Meloni zostało utworzonych 1,3 mln miejsc pracy, czyli więcej niż swego czasu obiecywał Silvio Berlusconi.

Niespełnione obietnice

Choć centroprawicowy rząd zbliża się do końca kadencji i Meloni ma szansę ponownie wygrać wybory, nie zrealizowała sztandarowych obietnic przedwyborczych. Większość parlamentarna pozostała zwarta, premier utrzymała dominującą pozycję w koalicji, ale projekty mające zmienić konstytucyjną równowagę państwa utknęły.

Największym ciosem było referendum w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości z marca 2026 r. – zmiany zostały odrzucone przez niemal 54% głosujących. Porażka ta praktycznie przekreśliła również możliwość wprowadzenia w tej kadencji tzw. premierato, czyli bezpośredniego wyboru premiera – pomysłu, który Meloni określała jako „matkę wszystkich reform". Również projekt regionalnej autonomii różnicowanej, będący postulatem Ligi, napotkał poważne przeszkody prawne.

Giuseppe Conte, lider Ruchu Pięciu Gwiazd:
Oprócz rekordu długowieczności mają jeszcze jeden: to rząd, który najdłużej ignorował problemy Włochów.

Niepowodzeniem zakończył się jeden z najbardziej spektakularnych projektów polityki migracyjnej – porozumienie z Albanią przewidujące rozpatrywanie wniosków azylowych poza terytorium Włoch. Ośrodki w Shëngjin i Gjadër, których koszty budowy i utrzymania wynoszą ponad 670 mln euro, pozostały w dużej mierze niewykorzystane.

Rząd konsekwentnie zaostrzał prawo, wprowadzając surowsze kary za przestępstwa związane m.in. z nielegalnymi imprezami, przemytem ludzi, przestępczością nieletnich, a później także z okupacją nieruchomości, blokowaniem dróg i protestami. Regulacje te spotkały się z krytyką opozycji i organizacji broniących praw obywatelskich za nadmierne sięganie po prawo karne i ograniczanie prawa do protestu. Nie zapewniły jednak obywatelom poczucia bezpieczeństwa.

Reforma podatku dochodowego zmniejszyła liczbę progów z czterech do trzech, przynosząc ulgi części podatników, ale bez zasadniczego obniżenia ogólnych obciążeń fiskalnych. Włochy wcale nie stały się tym rajem dla prywatnej przedsiębiorczości, który Giorgia Meloni zapowiadała w przemówieniu inauguracyjnym. Nie ma klimatu sprzyjającego biznesowi.

Wyraźniejsza była zmiana polityki socjalnej. Centroprawicowy rząd zlikwidował dochód podstawowy, zastępując go zasiłkiem dla rodzin w trudnej sytuacji oraz wsparciem na rzecz szkolenia i pracy dla osób zdolnych do podjęcia zatrudnienia, ograniczając tym samym krąg beneficjentów i uzależniając część świadczeń od większej aktywności zawodowej.

Na początku kadencji, w październiku i listopadzie 2022 r., premier i jej rząd cieszyli się poparciem ok. 49% społeczeństwa. Zaufanie Włochów do gabinetu Meloni na koniec sierpnia 2026 r. wynosiło 36-42%, co oznacza lekki trend spadkowy w porównaniu z poprzednimi miesiącami. Jednak poparcie dla samej premier spadło do 36,3% i tu wyraźna jest tendencja zniżkowa. Obniżyło się również poparcie dla całej koalicji centroprawicowej. Bracia Włosi utrzymują się na poziomie ok. 26,8%, podczas gdy Liga i Naprzód Włochy oscylują wokół 7% i już zostały wyprzedzone przez Narodową Przyszłość byłego generała Roberta Vannacciego. Po raz pierwszy w sondażach centroprawicę wyprzedza koalicja progresywna.

Znacznie lepiej oceniani są poszczególni ministrowie. Średni poziom ich poparcia wynosił ok. 50%. Największym zaufaniem cieszyli się ministra pracy Marina Calderone – 52,7%, następnie Anna Maria Bernini, odpowiedzialna za uniwersytety i badania naukowe – 50,8%, oraz minister gospodarki Giancarlo Giorgetti. Około 50% poparcia uzyskiwali również Andrea Abodi i Orazio Schillaci. Na granicy 50% uplasował się minister kultury Alessandro Giuli – 49,9%.

eprasa.pl 66e3b90ff1

Najbardziej krytykowanymi postaciami rządu Meloni są jej dwaj wicepremierzy – lider Forza Italia i minister spraw zagranicznych Antonio Tajani oraz Matteo Salvini, lider Ligi, minister infrastruktury i transportu. To znacznie wpływa na osłabienie przywództwa samej premier.

Dziś, u progu nowych wyborów, największym problemem jest nie opozycja, lecz wspomniany Vannacci, który zagospodarował część niezadowolenia radykalnego elektoratu prawicy, przede wszystkim w kwestii imigracji i bezpieczeństwa. Pojawienie się konkurenta po prawej stronie, którego niełatwo zignorować, ale z którym trudno budować formalny sojusz – osłabia spójność centroprawicowej większości.

Wielkie rozczarowanie

Problemy Meloni nie ograniczają się jednak do polityki wewnętrznej. Kłopotów przysparza relacja z Donaldem Trumpem, która przeszła od początkowej sympatii politycznej i ideologicznej do ochłodzenia dyplomatycznego. Mimo zbieżności w podejściu do imigracji, kultury woke czy suwerenizmu narastające różnice strategiczne uczyniły stosunki z Waszyngtonem jednym z najpoważniejszych wyzwań włoskiej polityki zagranicznej.

Punktem kulminacyjnym była odmowa udostępnienia bez zgody włoskiego parlamentu bazy wojskowej w Sigonelli do operacji związanych z konfliktem w Iranie. Trump publicznie zaatakował Meloni, zarzucając jej brak odwagi w kwestii wsparcia militarnego i podważając znaczenie ich osobistych relacji. Meloni odpowiedziała powściągliwie, podkreślając swoje zaangażowanie na rzecz jedności Zachodu i Ukrainy. Konflikt pokazał jednak, że nawet bliskość ideologiczna nie chroni europejskich sojuszników przed presją Białego Domu.

U progu wyborów problemem jest nie opozycja, lecz Roberto Vannacci, który zagospodarował część niezadowolenia radykalnego elektoratu prawicy.

Paradoksalnie ochłodzenie relacji z Trumpem przyniosło Meloni pewną korzyść w ojczyźnie: spadło zaufanie do amerykańskiego prezydenta, podczas gdy popularność pani premier częściowo się odbudowała.

Rzym zaczął patrzeć „ponad Trumpem", wzmacniając relacje z Pentagonem, Kongresem i amerykańskim aparatem bezpieczeństwa oraz zacieśniając współpracę europejską. Dla Meloni oznacza to coraz trudniejsze balansowanie między lojalnością wobec sojuszu atlantyckiego a dążeniem Europy do większej autonomii strategicznej.

Całokształt rządów Meloni ocenia krytycznie włoska ekonomistka Veronica De Romanis, wskazując wyraźną rozbieżność między propagandą rządu a rzeczywistymi reformami strukturalnymi, których potrzebowały Włochy.

Jej zdaniem rząd Meloni przede wszystkim pomylił środki z celem. Skoncentrował się na formalnej stabilności finansów publicznych i utrzymywaniu budżetu, traktując je niemal jako cel sam w sobie, zamiast wykorzystać stabilność jako fundament do osiągnięcia rzeczywistego wzrostu gospodarczego. De Romanis zwraca uwagę, że polityka Meloni oparta na lęku przed kryzysami zewnętrznymi, w tym napięciami międzynarodowymi, doprowadziła do swoistego bezruchu i zablokowała konieczne zmiany. Meloni zajęła się reagowaniem na bieżące potrzeby, takie jak wzrost cen benzyny i energii, brakuje jej natomiast szerszej perspektywy i przyszłościowej wizji Włoch w momencie globalnych przemian geopolitycznych. W efekcie wzrosły wydatki nieproduktywne i dług publiczny.

Za rządów Meloni kraj otrzymał największy zastrzyk finansowy w postaci dotacji i pożyczek w ramach Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności Włoch, na łączną kwotę ok. 194,4 mld euro. Pieniądze te praktycznie przeciekły jak przez sito.

To właśnie między tymi dwoma biegunami – stabilnością finansową i brakiem przełomu gospodarczego oraz perspektywy – rozpościera się ocena dorobku pierwszej kobiety na stanowisku premiera Włoch. W przypadku Meloni długowieczność rządu okazuje się jedynie listkiem figowym.

Agnieszka Zakrzewicz



eprasa.pl 66e3b90ff1

Kapitalizm i realizm



Andrzej Szahaj

Wielki backlash

Nie lubię anglicyzmów, ale w tym przypadku trudno znaleźć jakieś polskie słowo, które tak adekwatnie oddałoby, o co chodzi. Backlash oznacza cofnięcie, regres, ale także reakcję na jakieś wcześniejsze działania i powrót do tego, co już było. Słowo to jest więc bardzo pojemne znaczeniowo, a mnie chodzi o to, by uchwycić wielorakie zjawiska, które pod jego znaczenie podpadają. Od dłuższego czasu bowiem nie mogę się pozbyć wrażenia, że się cofamy, że nastąpił okres negatywnej reakcji na wcześniejszy postęp. Przy czym dostrzegam ów regres głównie w sferze mentalnej, moralnej i estetycznej. W sferze technicznej i technologicznej postęp dokonuje się nieustannie, ale i tu mam wiele zastrzeżeń co do jego jakości.

Powiem od razu, o co mi chodzi. Otóż wydaje mi się, że ludzkość ma np. coraz więcej narzędzi do komunikowania się i coraz mniej istotnych rzeczy do powiedzenia. W tym sensie postęp techniczno-technologiczny idzie ręka w rękę z powszechnym zgłupieniem. Od epoki oświecenia wydawało się, że świat, a w każdym razie Zachód, będzie się stawał coraz bardziej racjonalny, że to rozum, a nie przesądy czy uprzedzenia będą rządziły ludzkim działaniem. Nauka wespół z filozofią nie tylko miały nieść ludzkości nadzieję na lepszą przyszłość, ale także wskazywać standardy myślenia i odczuwania, poniżej których zejść nie można. Dziś obserwujemy zaćmienie tak pojmowanego rozumu i wejście na scenę Nowego Obskurantyzmu.

Rzecz nie dotyczy jedynie upadającego prestiżu nauki i ekspansji idiotycznych teorii spiskowych czy bredni historycznych. Rozkwitają nacjonalizmy, ksenofobia i rasizm, oświeceniowy uniwersalizm humanistyczny leży w gruzach. Ponownie mamy do czynienia ze światem plemion, które tylko czyhają na odpowiedni moment, aby zacząć się wzajemnie mordować. Otwarta pogarda dla obcych, w tym imigrantów, stała się znakiem dzisiejszych czasów. Nieomal wszędzie szuka się kozłów ofiarnych, aby wyrazić swój gniew. Politycy szczują na siebie nawzajem i na tych, których w danej chwili jest im wygodnie uznać za zagrożenie dla jakiejś wspólnoty – u nas tradycyjnie to Żydzi, a teraz jeszcze Ukraińcy.

Popatrzmy z kolei na emancypację kobiet. Jeszcze niedawno wydawało się, że ta walka musi zostać wygrana. Jako backlash pojawiły się jednak ideologie nowego machizmu, szerzy się kult męskiej siły rozumianej w najbardziej prymitywny sposób (sukces frekwencyjny walk w klatce jest znakiem tych procesów). Mam wrażenie, że dorobek ruchów feministycznych został w wielu miejscach wymazany, a kobiety wróciły do stanu sprzed lat. Najbardziej szokujące jest cofnięcie się siły feminizmu w Stanach Zjednoczonych, jest to też państwo, w którym tytułowy backlash widać najwyraźniej.

Boli mnie również bezwstyd osób manifestujących swój cynizm czy chamstwo w sferze publicznej. Z owym brakiem wstydu mamy szczególny kłopot. Wstyd bowiem pełni w kulturze funkcję pewnego regulatora, wyznacznika tego, co dozwolone, a co nie, co przyzwoite, a co nie. Oczywiście zarazem ogranicza on ludzką wolność, nie pozwalając np. na wyrażanie poglądów, które otwarcie ranią innych. I zdaje się, że w imię fałszywie pojmowanej wolności wstyd jest dziś negowany. Popatrzmy pod tym kątem na liczne programy pseudorozrywkowe w telewizji, typu „Love Island", albo na bezwstydne wynurzenia tzw. celebrytów i ich kupczenie swoją prywatnością.

Ale brak wstydu przejawia się także w sferze, która jest mi szczególnie bliska. To estetyka. Przestaliśmy się wstydzić brzydoty i kiczu. Wystarczy popatrzeć na żałośnie kiczowate scenografie polskich festiwali piosenki. Setki migających świateł, zalew zmieniających się kolorów, natłok dekoracji. Forma dominująca nad treścią. Pseudoprzepych, agresja i nachalność. A wszystko to towarzyszy bardzo słabym wykonawcom. Jest dokładnie odwrotnie, niż to kiedyś bywało. Bardzo skromna dekoracja, często wręcz minimalistyczna, i wspaniali artyści na scenie: Demarczyk, German, Grechuta, Niemen, Nalepa, nazwiska można by mnożyć. Który z dzisiejszych wykonawców choć zbliżył się do ich jakości? A gdzie się podział rewelacyjny poziom tzw. kultury studenckiej, który pamiętam choćby z poznańskiego Festiwalu Kultury Studentów PRL z 1978 r., gdy grały wspaniałe Wały Jagiellońskie i zespół Pod Budą ze znakomitą Anną Treter, śpiewali Stanisław Zygmunt i niezapomniany Piosenkariat, a bawił cudowny Salon Niezależnych?

Dziś obserwujemy zaćmienie rozumu i wejście na scenę Nowego Obskurantyzmu.

Wiem, że brzmię w sposób typowy dla starych ludzi, co to zawsze mówią: „Panie, kiedyś to było lepiej". Wcale nie uważam, że we wszystkich aspektach naszego życia jest gorzej, niż było. Twierdzę jedynie, że staliśmy się podatni na wszelką bzdurę, popsuł nam się gust, zmalała wrażliwość estetyczna. Co do tej ostatniej kwestii, polska kultura, w tym kultura studencka, przeżywała złote czasy w latach 60. i 70. XX w. Ludzkość zaś wierzyła jeszcze wtedy w rozum i wiedziała, na czym polega głupota. Boję się, że „to se ne vrati", jak mawiają bracia Czesi. Niestety. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66e3b90ff1

Handel ludźmi, przemoc i milczenie

Ktoś wreszcie wysłuchał ofiar Opus Dei

Gareth Gore

We wrześniu 2024 r. argentyńska prokuratora federalna oficjalnie oskarżyła Opus Dei o handel ludźmi i inne poważne przestępstwa, których organizacja miała się dopuszczać w związku z rekrutacją i wyzyskiem numerarii pomocniczych (numerarie to członkinie Opus Dei, które rezygnują z małżeństwa i poświęcają życie na prowadzenie prac domowych w ośrodkach organizacji – przyp. red.).

Do postawienia zarzutów doszło po dwuletnim śledztwie, podczas którego badano skargi złożone przez grupę 43 kobiet. Śledczy przeprowadzili dziesiątki przesłuchań i poddali analizie rozległy materiał dowodowy, a następnie uznali, że zgromadzone materiały stanowią podstawę do wystąpienia z oskarżeniem publicznym w tej sprawie. W swoim raporcie formalnie zarzucili przywódcom Opus Dei nadzorowanie „oszukańczego systemu" rekrutacji nakierowanego szczególnie na dziewczęta (nawet 12-letnie) z niezamożnych środowisk. Stwierdzili, że kuszono je „fałszywymi obietnicami" lepszej edukacji i opłacalnej pracy. Od kobiet, które zdecydowały się dołączyć do organizacji, egzekwowano „wielogodzinną pracę bez wynagrodzenia", w ten sposób odmawiając im „podstawowych praw pracowniczych".

Śledczy zdołali potwierdzić, że kobiety przenoszono z miejsca na miejsce wedle kaprysu i zgodnie z potrzebami organizacji, za to często bez konsultacji z samymi zainteresowanymi. „Powierzane im zadania przedstawiano w kategorii dogmatów, które w założeniu miały uzasadniać ich sytuację", wnioskowali.

„W celu przymuszenia do posłuszeństwa stosowano różne formy przemocy, w tym psychologicznej, ekonomicznej, a nawet fizycznej". Prokuratorzy odwoływali się w akcie oskarżenia tylko do czterech kobiet, które zaznały domniemanej przemocy w ostatnim okresie. Starsze oskarżenia wyłączono, ponieważ przepisy penalizujące handel ludźmi wprowadzono do argentyńskiego prawa dopiero w 2008 r. Śledczy jasno podkreślali jednak, że „wszystkie" kobiety w okresie służby w roli numerarii pomocniczych zaznawały „takiego samego zniewolenia". Prokuratorzy tłumaczyli: „Z przedstawionych tu faktów wyłania się schemat systemowego i celowego działania na szkodę nieletnich i wyzysku stosowanego w celu pozyskania ich do pracy w niegodnych warunkach pod pozorem edukacji i zdobywania kompetencji zawodowych".

We wrześniu 2024 r. argentyńska prokuratora federalna oficjalnie oskarżyła Opus Dei o handel ludźmi.

Akt oskarżenia stwarza szanse na to, że odbędzie się formalny proces i sprawiedliwości stanie się zadość – nie tylko dla tych 43 kobiet, ale też dla wielu innych im podobnych na całym świecie. Opus Dei nadal jednak nie poczuwa się do odpowiedzialności. Odnosząc się do zarzutów postawionych w Argentynie, organizacja wydała ogólnikowe oświadczenie, w którym „kategorycznie zaprzecza oskarżeniom o handel ludźmi", choć jednocześnie przyznaje, że z treścią materiału dowodowego się nie zapoznała. Aby zaś zatrzeć wrażenie, że kobiety mogły zostać źle potraktowane, opublikowała kilka zdjęć przedstawiających puste sypialnie, salony, a nawet basen. Te fotografie zdawały się sugerować, że to właśnie w takich warunkach żyją obecnie numerarie pomocnicze, zupełnie jak gdyby fakt zapewnienia komuś tak komfortowych warunków w oczywisty sposób wykluczał możliwość zaistnienia zarzucanych organizacji przestępstw.

Tego samego dnia Opus Dei wydało także oświadczenie dotyczące niniejszej książki, w którym oskarżyło mnie o „wierutne kłamstwa", ale żadnych konkretnych „kłamstw" nie wskazano. Organizacja zdystansowała się także od jednej z głównych tez książki. „Do najbardziej karkołomnych domniemań zawartych w książce zaliczyć należy zarzuty dotyczące zaangażowania Opus Dei w handel ludźmi", możemy przeczytać w oświadczeniu. „To oskarżenie głęboko obraźliwe nie tylko dla Opus Dei, ale także dla rzeczywistych ofiar handlu ludźmi". Autorzy oświadczenia ani słowem nie wspomnieli, że w Argentynie oficjalnie postawiono organizacji właśnie taki zarzut, a w kolejnych tygodniach – zamiast odnosić się do poważnych oskarżeń, które przeciwko niej wystosowano – uruchomiła kampanię dezinformacyjną wymierzoną we mnie i moją książkę.

eprasa.pl 66e3b90ff1



Papież Franciszek przyjął w Watykanie prałata Opus Dei, ks. Fernanda Ocáriza Brañę i wikariusza pomocniczego ks. Mariana Fazia. Watykan, 29 listopada 2021 r.

Jeden z numerariuszy przystąpił do rozpowszechniania fałszywej narracji, zgodnie z którą ta książka miałaby wcale nie ujawniać nadużyć w Opus Dei, lecz stanowić atak na osobę Luisa Vallsa-Tabernera (hiszpańskiego finansisty). W celu wzmacniania takiego przekazu uruchomiono kosztowną kampanię marketingową, opublikowano także serię filmów, w których przedstawiono mnie jako „dziennikarza do wynajęcia" i zarzucono mi fabrykowanie faktów. Oficjalny rzecznik prasowy Opus Dei Jack Valero powtórzył tę narrację w swoim felietonie. „Nie wiem, kto tę książkę sfinansował", napisał, po czym wskazał artykuły niezgodnie z prawdą oskarżające mnie o powiązania z Ku Klux Klanem.

Opus Dei ani słowem nie wspomniało, że przyjrzy się zarzutom, które wysunięto pod adresem organizacji. (…)

Opus Dei przedstawia się jako organizacja działająca pod skrzydłami Kościoła katolickiego i w ten sposób chwyta w swoje szpony niczego niepodejrzewające ofiary, w tym dzieci. W istocie jednak organizacja ta ma wybitnie niechrześcijański charakter. Zależy jej przede wszystkim na bogactwie i władzy – oraz dbaniu o własne interesy. Te ostatnie realizuje zaś kosztem wielkiego cierpienia swoich członków, po czym umywa ręce od wszelkiej odpowiedzialności za nadużycia wobec nich. Przyznanie się do błędów w wymiarze instytucjonalnym oznaczałoby dla niej potwierdzenie, że nie hołduje wartościom chrześcijańskim. To zaś poważnie utrudniłoby Opus Dei pozyskiwanie nowych członków, ale też funkcjonowanie.

•

Watykan nalegał na reformy. Świadom być może dwóch kolejnych nierozstrzygniętych skarg wniesionych przeciwko Opus Dei przez byłych członków ruchu, a także nowych oskarżeń napływających z Meksyku (co by potwierdzało tezę, że dziewczęta z nieuprzywilejowanych środowisk rekrutowano nie tylko w Argentynie), papież Franciszek domagał się zmian. Villa Tevere (rzymski pałac, gdzie przywódcy ruchu codziennie zbierają się w południe i modlą przed doczesnymi) nie kwapiła się jednak, aby je wprowadzić. Po tym, jak w lipcu 2022 r. Franciszek wydał pierwszy *motu proprio*, w którym domagał się rewizji statutów, grupa przedstawicieli Opus Dei przez 12 miesięcy prowadziła „ogólne konsultacje" pośród swoich członków, co w praktyce oznaczało, że rok minął bez żadnych działań.

Konkretne prace nad nowym tekstem ruszyły dopiero po tym, jak w sierpniu 2023 r. papież wydał drugi *motu proprio* uprawniający Watykan do bezpośredniej interwencji w razie nieprzeprowadzenia reform. Stolica Apostolska informowała w ten sposób, że nie akceptuje takiej zwłoki.

Nawet jednak to niewiele przyśpieszyło. Watykan odrzucił co najmniej dwa szkice nowych statutów, uznając zawarte w nich zmiany za zbyt małe i nieodnoszące się do zastrzeżeń wystosowanych przez Franciszka. W Watykanie pojawiło się przypuszczenie, że Opus Dei celowo opóźnia reformy, w nadziei, że papież umrze, zanim zdąży przeforsować rozwiązania, które dla organizacji byłyby nie do przyjęcia – i że jego następca wykaże się większą pobłażliwością. Franciszek jednak nie odpuszczał i w kwietniu 2025 r. wszystko wskazywało na to, że po trzyletnim oczekiwaniu zasadnicza reforma Opus Dei wreszcie się dokona. Organizacja poinformowała, że jej najwyżej postawieni członkowie zostaną zaproszeni do głosowania nad „ostatecznym szkicem" nowych statutów podczas kongresu generalnego, który miał się rozpocząć pod koniec miesiąca.

Tymczasem Franciszek – papież, który jak żaden inny z jego poprzedników starał się ukrócić nadużycia Opus Dei i wymusić na ruchu reformę – zmarł nieoczekiwanie w Poniedziałek Wielkanocny. Już kilka godzin po podaniu informacji o jego śmierci Villa Tevere odwołała głosowanie. Oficjalnie tłumaczono, że decyzja zapadła z szacunku dla zmarłego, „aby zjednoczyć się pełniej z Kościołem w okresie żałoby", ale sam

eprasa.pl 66e3b90ff1

kongres generalny miał się odbyć zgodnie z planem, podobnie zresztą jak wszystkie pozostałe głosowania wpisane w porządek jego obrad. Odwołanie głosowania w sprawie nowych statutów zostało odebrane jako jawny akt nieposłuszeństwa.

Tekst statutów, który miał zostać przedłożony kongresowi, został już zatwierdzony przez Watykan, więc zgoda zebranych miała stanowić właściwie tylko formalność poprzedzającą złożenie podpisu przez papieża. W Watykanie dość powszechnie domniemywano, że głosowanie zostało zdjęte z porządku obrad, ponieważ Opus Dei nie podobały się zmiany wprowadzone pod dyktando Stolicy Apostolskiej, a w zaistniałej sytuacji można było liczyć na to, że nowy papież będzie bardziej skłonny do łagodzenia reformy.

Wkrótce wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót, w związku z czym spekulacje dotyczące otwartego buntu wobec woli zmarłego papieża – i demonstrowania siły w obliczu zbliżającego się konklawe – tylko przybrały na sile. W Bazylice Świętego Piotra, gdzie wystawiono na widok publiczny ciało zmarłego biskupa Rzymu, fotografowie uchwycili 80-letniego kardynała, który przybył do świątyni w formalnym stroju, czyli czarnej sutannie ze szkarłatnymi wypustkami, pasem i piuską, jak stoi przy trumnie z pochyloną głową i się modli. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że zmarły papież jednoznacznie zabronił mu noszenia stroju kardynalskiego i wydawania jakichkolwiek publicznych oświadczeń. Zakaz został wydany w 2019 r. wraz z licznymi innymi obostrzeniami, którym Juan Luis Cipriani – pierwszy kardynał z ramienia Opus Dei, a przy tym postać wywołująca w Kościele silne kontrowersje – miał odtąd podlegać w związku z oskarżeniami o molestowanie seksualne osoby nieletniej.



Juan Luis Cipriani to pierwszy kardynał z ramienia Opus Dei i postać wywołująca silne kontrowersje w Kościele.

Interwencja Franciszka była spowodowana tym, że Opus Dei nie zareagowało należycie na ujawnienie sprawy. Mężczyzna, który był ofiarą kapłana jeszcze jako chłopiec, w latach 80. zgłosił sprawę Opus Dei, ale organizacja nie podjęła wówczas żadnych działań.

Kobiety przenoszono z miejsca na miejsce wedle kaprysu i zgodnie z potrzebami organizacji.

Poszkodowany postanowił ponownie dochodzić sprawiedliwości w 2018 r., ale został zignorowany. Wkrótce potem zaczął otrzymywać telefoniczne i e-mailowe groźby, że jeśli ujawni sprawę, to organizacja wystosuje przeciwko niemu pozew i poda do wiadomości publicznej jego tożsamość.

Obecność Ciprianiego przy papieskiej trumnie była jawnym wyrazem lekceważenia zakazu wydanego przez Franciszka, a zarazem demonstracją siły ultrakonserwatywnego skrzydła Kościoła przed zbliżającym się konklawe. „Przekaz brzmi: papież nie żyje, wracamy do gry”, tak domniemana ofiara molestowania skomentowała to zdjęcie dla „El Pais”.

W okresie poprzedzającym konklawe, gdy rywalizujące ze sobą frakcje starały się promować swoich kandydatów, Cipriani brał udział w kilku różnych spotkaniach. Ruszyła też medialna machina, która miała wywrzeć wpływ na ostateczny wynik wyborów. Konserwatywne ośrodki katolickie, takie jak choćby EWTN (katolicka stacja telewizyjna o zasięgu globalnym), od wielu lat zapewniały forum wielu głośnym krytykom Franciszka, w tym abp. Carlo Marii Viganò, który został ekskomunikowany przez papieża za sugerowanie, że aktualny następca Świętego Piotra jest „fałszywym prorokiem” i „sługą Szatana”, a także za rozsiewanie fałszywych plotek o tym, jakoby Ojciec Święty tuszował nadużycia seksualne, a nawet pochował szczątki własnego syna – którego istnienie utrzymywał w tajemnicy przed światem – w obrębie watykańskich murów.

Te właśnie media teraz wycelowały działa przeciwko ich zdaniem nazbyt postępowym papabile, czyli kandydatom na następnego papieża. Na ich celowniku znalazł się m.in. kardynał Pietro Parolin, powszechnie uważany za prawą rękę Franciszka i naturalnego kandydata na jego następcę.

CatholicVote.org, strona założona i prowadzona przez Briana Burcha, nominowanego przez prezydenta Trumpa amerykańskiego ambasadora USA przy Stolicy Apostolskiej, rozpowszechniała opowieść o tym, jakoby Parolin miał stracić przytomność podczas narad poprzedzających konklawe. Watykan ostro tym doniesieniom zaprzeczał, a informacja wkrótce zniknęła ze strony, najpewniej chodziło jednak o sianie plotek dotyczących wątpliwego stanu zdrowia możliwego postępowego kandydata. Obiektem

FOT. AFP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 66e3b90ff1

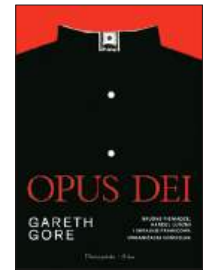
zainteresowania tych mediów stał się również kard. Robert Prevost.

Konserwatywne media twierdziły, że Amerykanin nie potraktował poważnie skarg na nadużycia złożonych przez trzy zakonnice z Peru w 2022 r., czyli w okresie jego posługi arcybiskupiej w tym kraju, a Infovaticana, hiszpański ośrodek informacyjny postrzegany jako bliski Opus Dei, powtarzał te niepotwierdzone informacje na swojej stronie internetowej, co wywołało gniewną reakcję Prevosta.

Jego wybór na papieża, o którym świat dowiedział się, gdy 8 maja nad Kaplicą Sykstyńską uniósł się biały dym, wprawił w zdumienie cały świat. Pierwszy Amerykanin na Stolicy Piotrowej był zaskoczeniem nie tylko dla konserwatystów, którzy przeciwko niemu lobbowali. Na razie trudno przewidzieć, jak Leon XIV ustosunkuje się do niektórych watykańskich spraw, ale jego rola w poskramianiu zapędów Sodalitium Christianae Vitae – Sodalicji Życia Chrześcijańskiego, innej grupy katolickiej dopuszczającej się nadużyć, początkowo działającej w Peru, ale potem także w Stanach Zjednoczonych – może wskazywać kierunek jego poczynań w nierozwiązanej dotąd sprawie Opus Dei.

Mimo zdecydowanego sprzeciwu liczących się peruwiańskich kardynałów, w tym Ciprianiego, którzy występowali w obronie tej organizacji, swego czasu Prevost walnie przyczynił się do likwidacji Sodalitium i blisko współpracował z Franciszkiem, aby jej ofiary doczekały się sprawiedliwości. Przez cały okres trwania sprawy stanowczo stał po ich stronie, a potem spotkał się z nimi w Rzymie, gdy papież – jeszcze przed podaniem swojej decyzji do publicznej wiadomości – osobiście przekazywał im informację o rozwiązaniu Sodalitium. Już jako Leon XIV Prevost na jedną ze swoich pierwszych papieskich audiencji wezwał właśnie przywódców Opus Dei, aby odebrać od nich raport w sprawie postępu reform. „Ojciec Święty pytał o przebieg analiz dotyczących statutów prałatury i z wielkim zainteresowaniem wysłuchał informacji, które mu zostały przekazane”, poinformowało Opus Dei po spotkaniu.

Sprawa musi być dość wysoko na liście zadań nowego papieża, skoro poświęcona jej audiencja odbyła się tak szybko. Źródła watykańskie sygnalizują też ofiarom Opus Dei, że reforma papieża Leona ich „nie rozczaruje”. W przededniu setnej rocznicy powstania Opus Dei wiele wskazuje na to, że organizacja zostanie zmuszona do wdrożenia daleko idących zmian. Ktoś wreszcie wysłuchał ofiar, które od dziesięcioleci domagały się reformy. Nawet jednak jeśli dzięki temu w przyszłości uda się być może zapobiec nadużyciom, dochodzenie sprawiedliwości – i odszkodowań – w związku ze zbrodniami Opus Dei może się okazać znacznie większym wyzwaniem.



Fragmenty książki Garetha Gore’a *Opus Dei. Brudne pieniądze, handel ludźmi i skrajnie prawicowa organizacja kościelna,* tłum. Magda Witkowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 2026



eprasa.pl 66e3b90ff1

MOJA MUZYKA ZACZĘŁA SIĘ OD SZCZEROŚCI

W świecie pełnym bodźców życie na własnych zasadach to najbardziej wywrotowa droga, jaką można wybrać

Rozmawia Maciej Belowski

Kim był Sebastian Gugulski, zanim stał się WalusiemKraksąKryzysem?

– Byłem marzycielem. Od najmłodszych lat szukałem w sobie i wokół siebie sposobu na nazwanie oraz wyrzucenie tłumionych emocji. Zaczęło się bardzo niewinnie – od intuicyjnego układania dźwięków, czyli swobodnego komponowania. Dopiero z czasem przypadek sprawił, że właśnie w muzyce rockowej odnalazłem najpełniejsze ujście dla swojej wrażliwości. A w dzieciństwie? Jak każdy chłopak – bawiłem się w rycerza, żołnierza, strażaka czy piłkarza. Chciałem być kimkolwiek, kto dawałby perspektywę barwnego życia pełnego przygód i wyzwań.

W mediach krążą różne wątki związane z twoją przeszłością. Dotyczą m.in. wypasania owiec i rodzinnych tradycji jazdy tirem. Ile w tym prawdy?

– Mój tata był i jest nadal zawodowym kierowcą tira, a ja rzeczywiście przez pewien czas pracowałem jako pasterz. Z jakiegoś głębokiego dołu, w którym wtedy byłem, i z miejsca, w którym mieszkałem, bardzo ostrożnie wychodziłem do świata. Owce wypasałem w moich rodzinnych stronach, w okolicach Ojcowskiego Parku Narodowego. Kiedy zobaczyłem ogłoszenie o pracę w charakterze pasterza, pomyślałem, że dla takiego dzikusa, jakim wtedy byłem, to zajęcie idealne. Praca w naturze, w samotności, bez ciągłego zwierzchnictwa i szefostwa nad głową, dała mi wtedy potrzebny spokój. W tamtym momencie bardzo mi to pasowało.

Zaczynałeś bez zaplecza – bez szkoły muzycznej i profesjonalnego sprzętu. Ile w tych początkach było walki?

– Bardzo dużo. Zanim projekt WaluśKraksaKryzys ujrzał światło dzienne, skasowałem po drodze z osiem, może nawet dziesięć albumów o bardzo zróżnicowanej stylistyce – od delikatnego dream popu po surowy black metal. Tworzyłem wyłącznie do szuflady. To była żmudna szkoła wprawiania się w muzyce, polegająca na ciągłym pokonywaniu ograniczeń sprzętowych i szlifowaniu warsztatu metodą prób i błędów.



WALUŚKRAKSAKRYZYS, właśc. SEBASTIAN GUGULSKI
– muzyk, wokalista, kompozytor i autor tekstów. Zadebiutował w 2019 r. albumem „MiłyMłodyCzłowiek". Laureat Fryderyka 2024 w kategorii Album Roku Rock za „+ piekło + niebo +" oraz Fryderyka 2026 w kategorii Album Roku Rock & Blues za „Tematy i wariacje".

eprasa.pl 66e3b90ff1

A skąd wzięła się nazwa WaluśKraksaKryzys? Jedni odbierają ją jako diagnozę, drudzy – jako chwytliwą ksywkę.

– Ze wszystkiego po trochu: częściowo z aktu twórczego, a trochę z tego, skąd się wywodzę. Waluś – od Walka Dzedzeja, ponoć pierwszego polskiego punka, uznawanego za chorego psychicznie, bo robił niecodzienne rzeczy w centrum Warszawy. Kraksa jest dla mnie bardzo ciekawym słowem, zaczerpniętym z wyścigów kolarskich: przez cały etap możesz prowadzić, a dosłownie na ostatniej prostej – wywalić się i cała stawka wyścigu się zmienia. Z kolei Kryzys to bezpośredni hołd dla legendarnych formacji alt-rockowych i punkowych Roberta Brylewskiego – zespołu Kryzys oraz Brygady Kryzys. Brylewski był moim, powiedzmy, duchowym mentorem. Nigdy się o tym nie dowiedział, bo nie zdążyłem go niestety poznać, ale jego wywiady i archiwalne nagrania były dla mnie pewnego rodzaju drogowskazem. Nauczyły mnie skupienia się na bezkompromisowym przekazie, na muzyce i czerpania satysfakcji z tego, że tworzy się coś prosto z serca.

W tekstach mówisz wprost o alkoholu i uzależnieniach. Jak ten mroczny okres twojego życia wpłynął na twoją twórczość?

– Z perspektywy czasu myślę, że tamte życiowe zakręty mimo wszystko ukształtowały moją dzisiejszą wrażliwość i mają pozytywny wpływ na to, co robię teraz. Nie chcę rozdrapywać starych ran ani gloryfikować przeszłości. Cieszę się, że udało mi się wyjść na prostą, bo dzięki temu potrafię dziś docenić zwyczajne, niepudrowane życie. Najbardziej pociąga mnie codzienność – ta prawdziwa, wolna od robienia czegokolwiek na pokaz. W filmie, książce czy muzyce zawsze szukam głosu zwykłych ludzi, którzy nie mają dyplomów szkoły muzycznej, tytułów akademickich czy arystokratycznego rodowodu, ale znaleźli w sobie dość determinacji, by sztukę uczynić swoją codziennością. Świetnym przykładem twórczym jest tutaj Katarzyna Nosowska, która potrafi napisać znakomitą piosenkę o marnowaniu jedzenia – pozornie wąskim i przyziemnym przecież temacie.

Jesteś trzeźwy od kilku lat. Wiele osób tkwi w nałogu ze strachu, że bez używek nie będą w stanie sobie poradzić; artyści dokładają do tego lęk, że stracą pazur. Znasz go?

– Oczywiście, przechodziłem przez to. Dziś wiem, że trzeźwość niczego mi nie zabiera. Jeśli ktoś potrafi pisać, komponować, to nie powinien się bać, że straci tę umiejętność, kiedy odstawi używki. Gdy ma się wypracowany warsztat, inspirację dostrzega się wszędzie i niepotrzebne są „wspomagacze". Przestałem się obawiać, że pewnego dnia zapomnę, jak się trzyma gitarę albo jak się zbiera myśli w słowa. Poza tym to paradoks, że trzeba kogoś przekonywać, że nic złego się nie stanie, kiedy po prostu przestaniemy się rozpraszać alkoholem i niehigienicznym trybem życia.

W utworze „COŚ NIECOŚ", nagranym ze Zdechłym Osą, poruszacie temat kryzysu psychicznego. To ważne – wiele osób z nim się zmaga.

– Chciałem się podzielić swoimi przemyśleniami, wyrazić emocje związane z kryzysem psychicznym spowodowanym używaniem narkotyków. Ze Zdechłym Osą dobrze się w tym numerze uzupełniliśmy. Dopasowaliśmy do formy piosenkowej myśli, które kłębią się w głowie niejednego człowieka. Jeśli mi na czymś zależy, jeśli podążam jakimś tropem, to staram się komunikować z ludźmi przez muzykę. Chcę dawać przez to znać, że nie jesteśmy sami. Świadomość, że ktoś przeżywa podobne rzeczy, już jest pewną formą pomocy. Daje perspektywę i nadzieję, bodziec, by spróbować sobie poradzić z trudnościami.

Na płytach i podczas występów łączysz skrajne światy: współpracowałeś z Arkadiuszem Jakubikiem, Błażejem Królem, Organkiem, ale również ze Zdechłym Osą, Ćpaj Stajl czy Bedoesem 2115. Co decyduje o tym, że wchodzisz z kimś do studia?

– Czasami to inicjatywy, które przychodzą do mnie przypadkowo. A co do muzyków, których sam zapraszam na płytę – kieruję się przede wszystkim szacunkiem i podziwem dla ich unikatowego stylu. Cenię zarówno profesjonalny warsztat, jak i odwagę twórców undergroundowych, którzy z braku przygotowania akademickiego potrafią zrobić potężny, surowy atut artystyczny. Lubię współpracować i wchodzić w projekty oparte na partnerskiej wymianie doświadczeń i dużym kredycie zaufania, w których mogę się sprawdzić w nowej roli.

Cenię odwagę twórców undergroundowych, którzy z braku przygotowania akademickiego potrafią zrobić potężny, surowy atut artystyczny.

A czego te współprace cię nauczyły?

– Żeby czasami odpuszczać. To chyba największa lekcja, jaką wyciągnąłem przy tworzeniu różnych kawałków z niektórymi artystami.

Masz na półce dwa Fryderyki – z 2024 i 2026 r. Jak te statuetki na ciebie wpłynęły?

– Fryderyki to bez wątpienia najważniejsza i najbardziej prestiżowa nagroda muzyczna w Polsce. Ich posiadanie to sygnał, że wykonuję dobrą robotę. Gdy człowieka dopada zwątpienie albo ma gorszy czas, są taką pozytywną przypominajką. Przemek Myszor z zespołu Myslovitz powiedział mi kiedyś, że im więcej czasu mija od zdobycia takich nagród, tym bardziej się je docenia. Na mnie tak zadziałał szczególnie ten pierwszy Fryderyk, z 2024 r. – im więcej czasu mija, tym bardziej do mnie dociera, że startowałem właściwie od zera, a nawet z ujemnym bilansem, a mimo to udało mi się dotrzeć bardzo wysoko. Czuję się doceniony przez swoich mistrzów.

Na gali Fryderyków w 2025 r. wręczałeś statuetki i przyznałeś „nagrodę kompromitacji roku za całokształt twórczości" Tadeuszowi Batyrowi – to pseudonim, pod którym Karol Nawrocki wydał w 2018 r. książkę o gangsterze „Nikosiu".

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE WALUŚKRAKSAKRYZYS (SEBASTIANA GUGULSKIEGO)

eprasa.pl 66e3b90ff1

Artysta ma obowiązek wchodzić w konfrontacje polityczne?

– Czas telewizyjny jest niezwykle cenny, dosłownie i w przenośni. Kiedy dostaję okazję, by stanąć przed kamerami, staram się wykorzystać ten moment jak najlepiej. Wtedy, na gali, poczułem potrzebę zajęcia jasnego stanowiska i z perspektywy czasu uważam, że to była słuszna decyzja. Zobaczymy, co przyszłość przyniesie.

dlatego, że gale wręczenia nagród bywają na tyle nudne, że była to jedyna rzecz warta zauważenia…

Nudne?

– Przykładem dobrze poprowadzonej gali były dla mnie tegoroczne Orły, które prowadził performersko aktor Andrzej Konopka. Taśmowe wywoływanie kolejnego artysty, który dziękuje, i tak kilkadziesiąt razy, to dla mnie zmarnowany czas antenowy. Gala, poza przesłaniem, jest

Startowałem właściwie od zera, a mimo to udało mi się dotrzeć bardzo wysoko. Czuję się doceniony przez swoich mistrzów.

Co konkretnie cię pchnęło do tego?

– Dla mnie to była sytuacja wręcz karykaturalna: autor książki napisanej pod pseudonimem chwali swoje imię i nazwisko i wskazuje siebie samego jako inspirację, ale zmienionym głosem i z zamazanym wizerunkiem. To scena wyjęta prosto z filmów Monty Pythona. Nie wolno przejść obojętnie wobec takich działań, więc postanowiłem skomunikować się z ludźmi, którzy myślą podobnie. Siła tego komunikatu przekroczyła moje najśmielsze oczekiwania – napisały o tym chyba wszystkie media, łącznie z plotkarskimi. Byłem bardzo zaskoczony, ale może stało się tak również przecież także rozrywką, a ja lubię dobrze się bawić.

Na Pol'and'Rock Festivalu 2026, dawnym Przystanku Woodstock, rzuciłeś się ze sceny w tłum, który cię poniósł. Wciąż czujesz potrzebę tak bliskiego kontaktu z publicznością?

– To czasami się zdarza na koncertach. Kiedy czuję tak niesamowitą energię i życzliwość publiczności, pragnę dać od siebie więcej. Z rozmów z fanami wiem, że ludzie bardzo doceniają takie sytuacje, w których możemy wspólnie być po jednej stronie sceny. Kiedy pierwszy raz zszedłem do ludzi i kiedy wzięli mnie na ręce, pomyślałem sobie: to jest taki czad! To lepsze od czegokolwiek wcześniej! Zdałem sobie też sprawę z tego, jak długą drogę przebyłem – tworzenie to zazwyczaj zamknięcie się na cztery spusty w małym pokoju albo studiu. A tu setki czy tysiące ludzi śpiewają moje piosenki i mocno na nie reagują. To spełnienie moich, jako twórcy, najbardziej skrytych marzeń.

Czy jako artysta widzisz zagrożenie w rozwoju sztucznej inteligencji?

– Bardzo kibicuję AI, ale kibicuję także zdrowemu rozsądkowi. Sieć już niedługo będzie na tyle zaśmiecona, że zdroworozsądkowi ludzie przestaną z niej korzystać. Ktoś mądrzejszy ode mnie powiedział, że AI jest czymś bardzo dobrym dla niewielkiego odsetka ludzi z niej korzystających. Takie narzędzia w medycynie czy w innych dziedzinach nauki są na pewno przełomowe. Jednak większość obecnych zastosowań to produkcja bezwartościowych treści, co jest nieekologiczne – i dla środowiska naturalnego, i dla ludzkich mózgów.

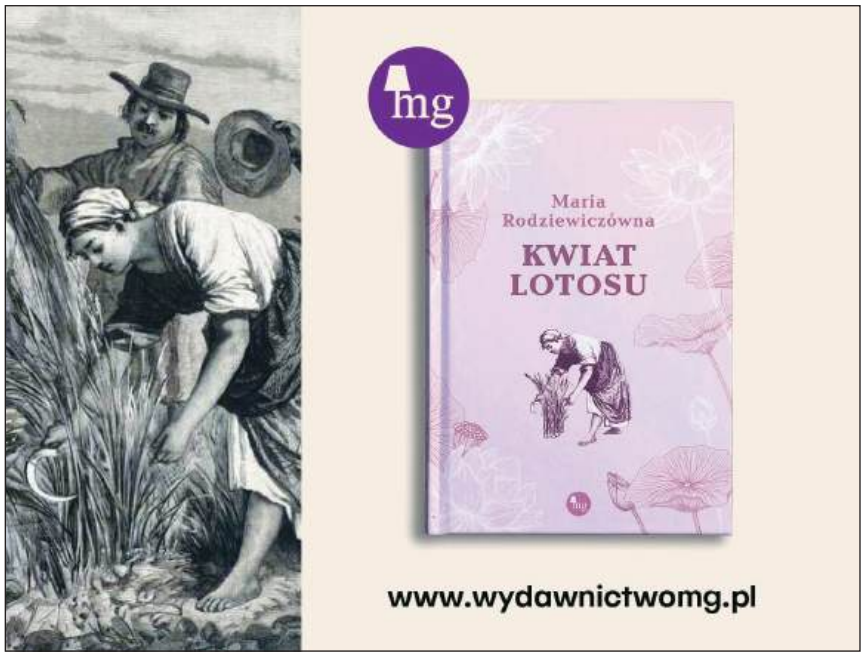
Ten zalew sztucznych treści sprawił, że sam odciąłeś się od mediów społecznościowych?

– Odpuściłem media społecznościowe, bo nie jestem już w stanie rozróżnić, co jest autentyczne, a co stanowi jedynie wytwór algorytmu i sztucznej inteligencji. To olbrzymie zagrożenie dla naszej percepcji.

Uważasz się za buntownika?

– Pytanie, czym jest dzisiaj bunt. Moim zdaniem prawdziwy bunt nie polega na robieniu hałasu wokół siebie, on przeniósł się całkowicie do wnętrza człowieka. To nie tylko bierna świadomość zagrożeń, lecz codzienna, aktywna walka o własną psychikę i niezależność: bardzo ostrożne, selektywne korzystanie z mediów społecznościowych, higiena cyfrowa oraz dbanie o siebie poprzez trzeźwe życie. W świecie, który bez przerwy próbuje nas rozproszyć, uzależnić od bodźców, wciągnąć w zgiełk i wewnętrznie szarpać, bycie człowiekiem uporządkowanym, trzeźwym, uważnym i żyjącym na własnych zasadach jest najbardziej bezkompromisową, wywrotową drogą, jaką można wybrać.

Maciej Belowski



eprasa.pl 66e3b90ff1



Oko w oko Tomasz Jastrun

Brać swoje i w krzaki

46. rocznica podpisania umów gdańskich. Dwie odrębne, wrogie sobie uroczystości. Nawrocki, podobno historyk i strażnik pamięci narodowej, celebrując wydarzenie, nie wspomniał o Wałęsie. W trakcie drugich, już prawdziwych obchodów mówił Borusewicz. Bez niego nie byłoby tego strajku. Zorganizował go i na początku sterował Wałęsą, wiem, bo na gorąco zbierałem o tym materiał. Bogdan jest ojcem strajku, potem motorem zdarzeń był oczywiście Lech, pamiętam go ze stoczni. Byłem tam przez te ostatnie, najważniejsze dni. Notowałem zdarzenia, to moje ostatnie wpisy z finału.

„Niedziela, 31 sierpnia 1980. Wyjeżdżamy samochodem spod stoczni. Oszołomieni, nie do końca wierzący, że to wszystko było naprawdę. Na granicy miasta patrol milicyjny obserwuje przez lornetkę numery rejestracyjne samochodów. Straszą wymarłe stacje benzynowe. W małym miasteczku ludzie mówią, że niedawno była branka mężczyzn do wojska. Noc. Wpadamy nagle w oko ulewy, ale jej szaleństwo niesie nadzieję. Po obu stronach szosy wyrósł las, rozkołysany, groźny, ale nam przyjazny.

Poniedziałek, 1 września 1980. Budzę się w moim pokoju, w swoim łóżku i wali się na mnie moc wydarzeń, których byłem świadkiem. Pod ociekającym krwią, pulsującym miarowo bezdusznym sercem Moskwy dokonaliśmy bezkrwawej rewolucji”.

•

Czy przegramy wybory w 2027 r.? Moi liczni znajomi tak czują. Było jakoś podobnie, gdy je przegraliśmy przed laty. Tusk zaczął wtedy popełniać błędy. I brakowało, jak teraz brakuje, wizji, więc baśni. Niedawno premier wymyślił „dziesiątkę na wybory”. Głównie politycy, a to powinni być bezpartyjni fachowcy. Teraz o dziesiątce cisza. Liberałowie nie uczą się na błędach. Można tylko liczyć, że jak prawica obejmie władzę, to będzie kłębowisko żmij, poszturchiwanych przez Brauna.

Braun, kukułcze jajo w środowisku politycznym, ponownie upiera się, że w Auschwitz nie było komór gazowych, za to jest mord rytualny uprawiany przez Żydów. I miliony Polaków zagłosują na tego paranoika, akceptując wygadywane przez niego złowrogie bzdury. Prezes brzydzi się nim i nie chce robić z nim rządu, ale poświęci się dla Polski. Prezes jest już cały zlepiony z wad, lecz antysemitą jakoś nie potrafi być, właściwie to bardzo dziwne. A Braun wyrasta nam na najbardziej prawdomównego polityka na naszej scenie, on naprawdę mówi, co myśli, bez względu na koszty polityczne. Szczerze wierzy, że w Polsce rządzą Żydzi, Auschwitz zaś to była makieta.

•

Czy afera Zondacrypto uderzy jak obuchem w prawicę? Nie jestem tego pewien. Panienki lekkich obyczajów i kawalerka nie zaszkodziły Nawrockiemu. Kryptowaluty to czarna magia, tylko zegarek za 170 tys. robi na narodzie wrażenie. Nie mam wyobraźni, co musiałoby się stać, by partie prawicowe straciły zwolenników. Sto zegarków? Wyznawcy prawicy to fanatycy. Im większa będzie afera, tym więcej u nich przekonania, że to wszystko kłamstwo, spisek elit. Jak się wejdzie choćby na chwilę (na dłużej nie radzę) w ich media, mówią, że to afera PO i Tuska. Dobrzy uczniowie małego mistrza wielkiej propagandy w hitlerowskich Niemczech. Jest margines wyborców wahających się. Oni mogą rzeczywiście zniechęcić się do prawicy, a wówczas najpewniej nie pójdą na wybory, więc zysk dla liberałów nie będzie wielki, ale może wystarczyć do zablokowania pochodu prawicy po władzę. Ale jest rok do wyborów, jak wielka musiałaby być ta afera, by o niej nie zapomnieć do tego czasu. Ten serial na pewno trochę potrwa. Ale jeśli wynik wyborczy będzie bliski remisu, jest Nawrocki. Można się po nim spodziewać wszystkiego najgorszego.

Prawica traktuje Unię jak restaurację, w której można zamawiać te dania, które się lubi.

•

Pamiętam czasy, gdy Antoni Dudek dryfował w kierunku prawicy. Polemizowałem z nim w jakimś programie telewizyjnym prowadzonym przez Ziemkiewicza, który już do końca spotworniał. Ten abominacyjny osobnik, gorący zwolennik polexitu, teraz by mnie nigdzie nie zaprosił, ale jeśli, to ja bym oczywiście nie poszedł. Skończył się czas rozmów. Zdumiewało mnie wtedy to odchylenie profesora, przecież trochę go znałem i zawsze wydawał mi się mądry. Na szczęście ma to już za sobą, teraz widzi ostro i trzeźwo, cenię jego sceptyczną przenikliwość i żelazną precyzję, z jaką wydaje sądy. Zgadzam się, gdy ostrzega, że Nawrocki chce polexitu, tylko na razie wie, że Polacy do tego jeszcze nie dojrzeli. Będzie cierpliwie czekał, licząc, że pomoże im dojrzeć. Podobnie jak cała nasza prawica traktuje Unię Europejską jak restaurację, w której można wybierać z karty i zamawiać te dania, które się lubi. Unia jest dobra, ale musi być gruntownie wyremontowana przez prezesa i Nawrockiego. A generalnie to już wzięliśmy kasę i możemy zwiewać w krzaki. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66e3b90ff1

KURTYNA W GÓRĘ

Wampiryczna „Lalka"



Sezon na „Lalkę" trwa, a w Rampie w kabaretowym wydaniu można obejrzeć „Lalkę '89. Kapitalistyczną komedię romantyczną", garściami czerpiącą i z powieści Prusa, i z realiów okresu transformacji ustrojowej. Pojawiają się tu emblematyczne postacie epoki: Aleksander Kwaśniewski, Leszek Balcerowicz i prof. Maria Janion z kołkiem na wampiry romantyzmu, wśród których tropi niejakiego Wokulskiego.

Nietrudno rozpoznać w stylistyce tego spektaklu dziecko niegdysiejszego Pożaru w Burdelu, kabaretu współtworzonego przez Michała Walczaka i Maxa Łubieńskiego. Oni stoją też za scenariuszem widowiska w Rampie, w którym przebierają Wokulskiego za wampira turbokapitalizmu i przeprowadzają z dobrym skutkiem dowód, że nad Wisłą wciąż pokutują odbicia konfliktów sprzed półtora wieku. Trochę skóra cierpnie, kiedy ze sceny odzywa się reżyser właśnie kręconego na podstawie „Lalki" filmu, mówi bowiem głosem do złudzenia przypominającym gadaninę Grzegorza Brauna.

Pożar w Burdelu zawsze lubił pokpiwać z polityków, zwykle jednak w sposób dobrotliwy – ale czy z punktu widzenia łagodnego symetrysty da się opowiadać o ekipie Brauna i jej wybrykach? Toteż nie jest tym razem tak łagodnie, choć twórcy nie przekraczają progu kabaretowej konwencji. Podkreśla to obsadzenie utalentowanego Piotra Napierały w podwójnej roli: reżysera Brauna (naśladowanego z parodystycznym talentem) i jego głównego bohatera – Wokulskiego. W tym spektaklu Wokulski zajmuje się wysysaniem krwi z licealistek męczonych lekturą. Nawykli do sympatii okazywanej Wokulskiemu, nieco się zżymamy, że tutaj nie jest postacią godną naśladowania czy współczucia.

Za wiele oczekiwać od spektaklu rozrywkowego nie można, wszak to nie diagnoza społeczna czy polityczna, ale krzywe zwierciadło, w którym przegląda się nasz rozdygotany świat. Wart jest jednak spojrzenia nie tylko dla uciechy. Walczak potrafi z humorem dopiec wampirom polskiej polityki.

Tomasz Miłkowski

Michał Walczak i Max Łubieński, „Lalka '89. Kapitalistyczna komedia romantyczna", reżyseria Michał Walczak, Teatr Rampa, Dom Spotkań z Historią, premiera 5 czerwca 2026

MIĘDZY OKŁADKAMI



Daniel Mason

W północnym lesie

tłum. Maciej Studencki

Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026

300 lat – tyle mniej więcej obejmuje akcja. Z perspektywy człowieka, zwłaszcza mieszkańca takiego kraju jak Stany Zjednoczone, to dużo. Z perspektywy natury, będącej kanwą, spoiwem albo wręcz bohaterką samą w sobie – niewiele. Aczkolwiek wpływ ludzie na nią wywierają w danym momencie znaczący: karczując lasy, wzniecając pożary, zawlekając szkodniki... Tu daje o sobie znać doświadczenie okresu pandemii, gdy książka powstawała: choroby – w tym wypadku drzew – „pojawiają się i wyniszczają całe populacje z pewnego rodzaju obojętnością", jak mówił Mason Michałowi Nogasiowi. Przyroda „wobec stworzeń żyjących pod jej wielkim parasolem" jest obojętna. Coś jednak po tych stworzeniach zostaje: młode dęby są śladem spiżarni wiewiórki zabitej przez sowę, z ogryzka jabłka wyrasta drzewo, matka całego późniejszego sadu. Echa obecności kolejnych bohaterów w leśnym zakątku Nowej Anglii wracać będą w nader zaskakujący sposób. A właściwie postacie te wcale nie odejdą. Tak, to poniekąd opowieść o duchach. Niezwykła, fascynująca, dającą do myślenia.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

Bez końca,

reż. Michał Marczak, prod. Polska, w kinach od 11 września

W najnowszym dokumencie Michała Marczaka, reżysera m.in. „Wszystkich nieprzespanych nocy", Daniel stara się odnaleźć ciało zaginionego syna. Nagrania z kamery sugerują, że chłopak popełnił samobójstwo, ale przecież nadzieja umiera ostatnia – choćby dlatego ojciec przeszukuje głębiny Wisły, aby móc wreszcie domknąć



ten rozdział w swoim życiu. „Bez końca" staje się historią nie tylko o chłopaku, który nigdy nie wrócił do rodzinnego domu, ale przede wszystkim o tacie próbującym poukładać sobie życie (i własną głowę) po tej tragedii. Przy okazji to film o tym, co pozostało, gdy wszystko inne zdaje się utracone. Nie dostrzega się tu jakiejkolwiek nuty fałszu, a Marczaka można podziwiać za zaufanie, które zdobył, spędzając czas z całą rodziną Daniela. To niełatwy seans, a widz nawet nie uświadamia sobie, kiedy zaczyna go obejmować gęsta atmosfera filmu, niesłabnąca aż do napisów końcowych.

Jan Tracz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MACIEJ LIPSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 66e3b90ff1



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

KryptoPolska poluje i korumpuje

Dojrzewa i pęcznieje afera wokół firmy Zondacrypto i jej powiązań z prawicową sceną polityczną. Przedziwny szef Polskiego Komitetu Olimpijskiego posiedzi trzy miesiące w areszcie, ale pętla zaciska się na większych szyjach. Czy wsparcie finansowe dla polityków PiS i ludzi z nimi powiązanych może doprowadzić do usunięcia z urzędu prezydenta RP? Czy uruchomi serię procesów w sprawach, w których podejrzenia dotyczyły sutenerstwa, kibolskich ustawek, nadużyć urzędniczych, wyłudzenia mieszkania? Nie wiadomo, nie wiadomo. Ale z tych postępowań, niewyjaśnionych wątków, wyłania się obraz widmowego państwa polskiego. Państwa, które na miękkich nóżkach krąży wokół możnych tego politycznego cyrku, ale też potrafi pokazać zęby, kiedy na zlecenie Kościoła i dewelopera eksmituje na bruk kolejne rodziny z Osiedla Maltańskiego w Poznaniu. Tu stanowczość i brutalność policji rozlewa się ostentacyjnie. Taki jest efekt przywilejów i niekontrolowanej działalności zarobkowej Kościoła.

W jakimś sensie afera z kryptowalutami jest podobna do zarobkowej działalności Kościoła, który wobec narastającego zjawiska sekularyzacji, a w konsekwencji utraty korzyści finansowych, przerzuca się na domeny gangstersko-przemocowo-deweloperskie. Łba do Jezusa już nie mają, ale do szemranych interesów – a i owszem. Kibicuje im niespełniona gwiazda polityki samorządowej, prezydent Poznania Jaśkowiak.

Piesiewicz, jeden z panteonu ludzi pełniących ważne funkcje publiczne, których nigdy nie powinno im się powierzyć, nie nacieszy się za bardzo zegarkiem Patek za 40 tys. euro. W cieniu tej historii skrywa się jeszcze inny aspekt owej tendencji do powierzania ważnych funkcji w państwie nieodpowiednim osobom. Przykładem jest były prezydencki as PiS, Andrzej Duda, i jego paniczne poszukiwania kolejnej dobrze płatnej pracy, którą ostatecznie dostał w sektorze IT – i nie potrzebował do tego żadnych kompetencji. Czy lasso na Zondacrypto i jego powali na ziemię, jeśli w ogóle stoi jeszcze na nogach? Nie wiadomo, nie wiadomo.

A co wiadomo? Że udało się zebrać ponad 200 tys. podpisów pod projektem zmian w Prawie łowieckim, czyli, mówiąc po ludzku, w instytucjonalnym wsparciu dla pełnej władzy, jawnej i ukrytej, świata polskich myśliwych, których normalne reguły życia społecznego nadal nie dotyczą. A o co idzie w tych postulowanych zmianach?

Sama ustawa Prawo łowieckie zawiera wiele kontrowersyjnych zapisów, a także liczne niejasności; ponadto uprzywilejowuje myśliwych w stosunku do innych obywateli, np. właścicieli czy dzierżawców gruntów oraz osób, które przypadkowo znajdą się w pobliżu polowania. Problemem jest też faktyczny brak nadzoru Ministerstwa Klimatu i Środowiska nad gospodarką łowiecką, przejawiający się brakiem wyraźnego obowiązku przekazywania ministerstwu sprawozdań finansowych Polskiego Związku Łowieckiego.

W zmianach proponowanych przez stronę społeczną oraz Zielonych chodzi zasadniczo o to, by odstąpić od automatyzmu, przez który dany gatunek znajduje się na liście zwierząt łownych „z urzędu" lub ze względów historycznych. Projekt przewiduje wprowadzenie obowiązku uwzględniania badań naukowych i monitoringowych przy ustalaniu listy zwierząt łownych, zakłada poza tym uzgadnianie planów łowieckich z regionalnym dyrektorem ochrony środowiska. W przypadku wieloletniego łowieckiego planu hodowlanego konieczne byłoby przeprowadzenie strategicznej oceny oddziaływania na środowisko. Autorzy projektu chcą także, aby do udziału w postępowaniach dotyczących zatwierdzania tych planów dopuszczone były, na prawach strony, organizacje społeczne, których celem statutowym jest ochrona środowiska.

Inicjatorzy zmian postulują zlikwidowanie polowań dewizowych i objęcie myśliwych z innych krajów europejskich prawem polskim. Chodzi też o zwiększenie ze 150 do 700 m dopuszczalnej odległości polowań od zabudowań mieszkalnych, z wyjątkiem sytuacji, gdy właściciel nieruchomości wyrazi zgodę – wówczas zostaje utrzymana dotychczasowa odległość 150 m. Jest jeszcze kwestia obowiązkowych badań kontrolnych myśliwych jako osób mających prawo do posiadania i używania broni palnej. Dzisiaj jest to grupa ludzi z bronią, która temu obowiązkowi nie podlega.

Taki krajobraz wyłania mi się z końcówki kolejnego lata i z marności, miałkości oraz kryminogenności polskiego sposobu uprawiania polityki w teoretycznie demokratycznym, wolnościowym systemie. Nie dziwi, że przy tym niemal niezauważona, albo sprowadzona do osobnych obchodów, została rocznica podpisania Porozumień Sierpniowych w 1980 r. w Gdańsku.

Jakąż to szansę na bardziej sprawiedliwą i uczciwą, rozwijającą się Polskę straciliśmy po 1989 r.! Lubię powtarzać, że jedyny rozpoznawalny na całym świecie polski pomysł polityczny, czyli Solidarność, udało nam się zmarnować i zaprzepaścić.

Tak się kończy to marne lato 2026 r., aż człowiek się cieszy na nadejście jesieni, za którą nie przepada. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66e3b90ff1

ZASTRZYK INTENSYWNYCH WRAŻEŃ I EMOCJI

Czym jest przygoda



Paulo Coelho twierdzi: „Jeśli uważasz, że przygoda jest niebezpieczna, spróbuj rutyny. Jest zabójcza". A Jacek Pałkiewicz uzupełnia: „Przygoda? To koktajl ekscytujących doznań, który zamienia powszednie, mirażowe na pozór wydarzenie w prawdziwą przygodę, która burzy kompletnie oklepaną zwyczajność".

Jacek Pałkiewicz

Często pytano mnie, czym właściwie jest przygoda. Czy zaczyna się tam, gdzie kończy się asfalt? Czy wymaga egzotycznego krajobrazu, pustyni, oceanu, dżungli, wysokich gór? Czy musi pachnieć potem, strachem i ogniskiem rozpalonym pod obcym niebem? Przez wiele lat odpowiadałem niemal automatycznie, że przygoda to przekraczanie granic. Dzisiaj, kiedy patrzę na własne życie z perspektywy człowieka, który przemierzył znaczną część świata, wiem, że ta odpowiedź była prawdziwa, ale niepełna. Takie przeżycie nie zaczyna się bowiem na mapie. Zaczyna się w człowieku.

Można dotrzeć na koniec świata i nie przeżyć niczego istotnego. Można także nie opuszczać rodzinnego miasta, a dokonać rzeczy wymagającej większej odwagi niż niejedna wyprawa. Przygoda jest decyzją, że nie pozwolimy, aby życie zostało za nas urządzone, przewidziane i zamknięte w bezpiecznym harmonogramie. Jest buntem przeciw gotowej przyszłości. Nie chodzi przy tym o lekkomyślność ani o pogardę dla zwyczajności. Chodzi o zgodę na to, że najważniejsze rzeczy mają swoją cenę, a człowiek, który nie chce niczego ryzykować, często ryzykuje najwięcej – że pewnego dnia odkryje, iż przeżył cudze życie.

Sam długo nie potrafiłem się pogodzić ze światem wyznaczającym mi z góry miejsce i granice. Dorastałem w rzeczywistości, w której paszport był przywilejem, a horyzont kończył się tam, gdzie zaczynał zakaz. Być może właśnie dlatego przestrzeń działała na mnie jak obietnica. Morze, nieznany ląd i biała plama na mapie nie były jedynie fragmentami geografii. Mówiły mi, że istnieje świat większy od tego, który próbowano mi narzucić. Że można wyrwać się z kolein i samemu wybrać kierunek.

Moja pierwsza prawdziwa podróż nie zaczęła się od biletu. Zaczęła się od niezgody. Opuściłem Polskę, aby znaleźć się w obcym kraju, bez znajomości języka, bez pieniędzy i bez kontaktów, a potem od początku zbudować własne życie. Wówczas nie nazywałem tego przygodą. Była to raczej konieczność, codzienna walka o przetrwanie, o miejsce do spania, pracę i prawo do własnej przyszłości. Dopiero po latach zrozumiałem, że najważniejsze wyprawy często zaczynają się właśnie w taki sposób: bez fanfar, sponsorów i kamer, od prostego postanowienia, że nie pozwolimy się pokonać.

Przygoda nie jest wygodna, przeciwnie, najczęściej to zaprzeczenie komfortu. Kiedy samotnie przepływałem Atlantyk w szalupie ratunkowej, ocean nie przypominał romantycznych opisów z książek. Nie był błękitną przestrzenią wolności, dzień po dniu żyłem w ciasnej łodzi, wystawiony na słońce, wilgoć, zmęczenie i samotność. Był potężnym, obojętnym żywiołem, każda fala mogła zmienić mój plan, każdy błąd mógł się okazać ostatnim. Morze nie interesowało się moimi ambicjami. Nie wiedziało, kim jestem, czego pragnę i dlaczego tam się znalazłem. Właśnie ta obojętność natury jest jedną z najważniejszych lekcji, jakie może otrzymać człowiek. Wobec żywiołu tracą wagę tytuły, pozycja, pieniądze i starannie budowany wizerunek. Zostaje tylko to, co naprawdę nosimy w sobie: charakter, dyscyplina, lęk, rozsądek i zdolność do wytrwania.

Nie wypłynąłem jednak na ocean po to, aby szukać kresu życia. Pociągało mnie życie doprowadzone do najwyższej intensywności. W obliczu realnego zagrożenia każda chwila nabiera ciężaru. Łyk wody staje się darem, kawałek suchego chleba ucztą, spokojny świt obietnicą kolejnego dnia. Człowiek przestaje rozmieniać czas na drobne. Nie zastanawia się nad rzeczami, które na lądzie zatruwają mu myśli. Uczy się odróżniać to, co ważne, od tego, co tylko pilne, głośne i pozornie niezbędne.

eprasa.pl 66e3b90ff1





Pustynia może napawać strachem, ale jednocześnie intryguje.

Legendarna, najniebezpieczniejsza droga świata – Fairy Meadows Road w Pakistanie, 16 km trasy dla ludzi o mocnych nerwach.

Podobnie było podczas innych wypraw. Na pustyni Taklamakan piasek zacierał ślady szybciej, niż zdążyliśmy się obejrzeć. W Papui Zachodniej błoto, wilgoć i owady zamieniały każdy kilometr w zmaganie. Na Syberii mróz nie był pojęciem meteorologicznym, ale przeciwnikiem, który bez przerwy szukał słabego miejsca w ubraniu, sprzęcie i psychice. Podczas wyprawy do Ojmiakonu, wśród śnieżnej pustki i temperatur odbierających człowiekowi oddech, nie było miejsca na udawanie. Mróz bezlitośnie demaskuje nieprzygotowanie, pychę i brak solidarności. Tam rozumie się, że samotny bohater jest najczęściej literackim wymysłem. Przeżycie zależy od zespołu, od zaufania i od gotowości, by w odpowiedniej chwili pomóc drugiemu człowiekowi.

Przygoda kojarzy się z indywidualizmem, ale uczy wspólnoty. Człowiek może wyruszyć sam, lecz niemal nigdy nie dochodzi do celu wyłącznie dzięki sobie. Na jego drodze pojawiają się przewodnicy, tragarze, pasterze, rybacy, mieszkańcy odległych wiosek. Ludzie, których nazwisk nie zapisują encyklopedie, a bez których niejeden sławny podróżnik nie wróciłby do domu. Właśnie od nich nauczyłem się najwięcej. Od człowieka, który potrafił znaleźć wodę na pustyni. Od myśliwego czytającego dżunglę jak otwartą księgę. Od syberyjskiego pasterza, który rozpoznawał zmianę pogody po zachowaniu reniferów. Od indiańskiego przewodnika, dla którego las nie był dziką przestrzenią, lecz domem pełnym znaków.

W europejskich miastach lubimy wierzyć, że wiedza mieści się w książkach, komputerach i laboratoriach. Tymczasem w głębi świata spotykałem ludzi posiadających wiedzę nie mniej precyzyjną, choć nigdy niewydrukowaną. Ich pamięcią była tradycja, mapą doświadczenie, a uniwersytetem codzienna walka o przetrwanie. Przy nich człowiek szybko pozbywa się cywilizacyjnej wyższości. Rozumie, że nowoczesność dała nam wygodę, ale odebrała część instynktu. Potrafimy obsługiwać skomplikowane urządzenia, a bywamy bezradni, kiedy gaśnie światło, przestaje działać telefon i nie można już zapytać ekranu, co robić dalej.

Nie znaczy to, że przygoda jest zarezerwowana dla ludzi przemierzających oceany czy pustynie. To jedno z największych nieporozumień. Nie trzeba zdobywać bieguna ani przecinać dżungli, aby poczuć smak prawdziwego wyzwania. Dla jednego takim epizodem będzie nocny biwak w lesie, dla drugiego pierwsze nurkowanie, samotna podróż pociągiem, wejście na górski szlak albo spływ kajakiem. Dla kogoś może to być także rozpoczęcie nowego życia w późnym wieku, odejście z pracy odbierającej godność, nauczenie się obcego języka, napisanie książki, pogodzenie się z bliskim człowiekiem czy przyznanie, że obrana kiedyś droga prowadzi donikąd.

Nie skala wydarzenia decyduje o przygodzie, lecz skala wewnętrznego wysiłku. To, co dla jednego jest codziennością, dla drugiego może oznaczać przekroczenie granicy strachu. Człowiek, który po latach lęku wychodzi pierwszy raz sam z domu, może dokonać większego aktu odwagi niż doświadczony alpinista na znanej mu ścianie. Takie wydarzenie trzeba więc mierzyć nie kilometrami, lecz odległością, jaką pokonujemy pomiędzy tym, kim jesteśmy, a tym, kim możemy się stać.

Przez dużą część życia wierzyłem, że najtrudniejszy jest pierwszy krok. Nadal tak uważam. Większość ludzi nie przegrywa dlatego, że brakuje im zdolności. Przegrywają przed startem, wyobrażając sobie wszystkie możliwe klęski. Rozsądek podpowiada im sto powodów, dla których nie należy ruszać. Trzeba zaczekać na lepszy moment, zdobyć więcej pieniędzy, poprawić kondycję, znaleźć odpowiednich ludzi, poczuć pewność. Tyle że pewność prawie nigdy nie przychodzi. Warunki nigdy nie są doskonałe. Statek zawsze wymaga jeszcze jednej

eprasa.pl 66e3b90ff1

naprawy, mapa dodatkowego sprawdzenia, budżet kolejnego zera. W pewnej chwili trzeba powiedzieć: ruszam z tym, co mam.

Odwaga nie polega na braku strachu. Człowiek, który nie czuje lęku, bywa głupcem albo kłamcą. Bałem się wielokrotnie. Bałem się na oceanie, na pustyni, w dżungli i podczas spotkań z ludźmi, których zamiarów nie potrafiłem odczytać. Lęk jest pożyteczny. Ostrzega, wyostrza uwagę, nie pozwala lekceważyć przeciwnika. Problem zaczyna się wtedy, gdy przestaje być doradcą, a zostaje dowódcą. Sztuka przygody polega na tym, aby wysłuchać strachu, lecz nie oddać mu kierownicy.

Ryzyko ma jednak swoją ciemną stronę. Z wiekiem rozumiem ją lepiej niż w młodości. Człowiek, który przez lata żyje na granicy, może się uzależnić od intensywności. Po powrocie z wyprawy zwyczajny dzień wydaje się wyblakły.



W drodze na biegun zimna z Jakucka do Ojmiakonu, gdzie niegdyś zanotowano minus 72 st.

Cisza mieszkania dokucza bardziej niż huk burzy. Brakuje napięcia, celu, porannego pytania: czy dziś dam radę? Kolejna ekspedycja staje się wówczas nie tylko pragnieniem poznania świata, ale i ucieczką od normalności.

Nie jest to wiedza romantyczna. Za przygodę płacą również ci, którzy pozostają w domu. Każda wyprawa ma stronę widoczną: fotografie, mapy, opowieści i chwile triumfu. Ma też stronę ukrytą: niepokój bliskich, długie milczenie telefonu, samotne wieczory, strach przed wiadomością, która może nadejść. Przez lata skupiałem się na celu. Dopiero później pojąłem, że odwaga wyruszającego nie unieważnia odwagi czekających. Być może ich odwaga jest nawet trudniejsza, bo nie daje adrenaliny ani poczucia działania. Pozostaje tylko cierpliwość i bezsilność.

Czy żałuję? Nie. Gdybym miał przeżyć życie ponownie, zapewne jeszcze raz wybrałbym drogę prowadzącą poza bezpieczny horyzont. Nie dlatego, że wszystko zrobiłem dobrze. Popełniałem błędy, raniłem ludzi, przeceniałem własne możliwości. Nieraz miałem więcej szczęścia niż rozsądku. Nie chciałbym jednak życia pozbawionego ciekawości, ryzyka i spotkania z nieznanym. Takie życie nie byłoby moje.

Wyprawy nauczyły mnie także cieszyć się rzeczami prostymi. Po tygodniach niewygód klimatyzowany pokój stawał się pałacem. Prysznic, czysta koszula, świeże owoce, zimne piwo i filiżanka espresso dawały rozkosz, jakiej nie pozna człowiek mający te rzeczy codziennie. Trzeba czasem utracić wygodę, aby zrozumieć jej wartość. Trzeba zaznać głodu, by docenić chleb, zimna, by pokochać ciepło, samotności, by zrozumieć wagę obecności drugiego człowieka.

Najważniejszą z moich przygód pozostaje poszukiwanie źródła Amazonki. Były w tym geografia, nauka, ambicja i rywalizacja, ale i coś więcej: pragnienie dotarcia do początku. Źródło rzeki jest przecież symbolem. Każdy człowiek nosi w sobie potrzebę zrozumienia, skąd wypływa jego własne życie, jakie decyzje nadały mu kierunek i dlaczego popłynął właśnie tą, a nie inną doliną. Amazonka zaczyna się niepozornie, jako cienka struga wśród andyjskich skał, a potem staje się potęgą. Podobnie bywa z naszym losem. Jedna pozornie nieważna decyzja, spotkanie, odmowa pogodzenia się z losem mogą uruchomić bieg wydarzeń prowadzący na drugi koniec świata.

Dzisiaj moje granice są inne. Kiedy człowiek jest młody, walczy z oceanem, mrozem, pustynią i odległością. W późniejszym wieku przeciwnikiem staje się ciało, czas i świadomość, że nie wszystkie drogi można przejść ponownie. To też jest przygoda, choć pozbawiona romantycznej dekoracji. Trzeba nauczyć się pozostawać, kiedy całe życie polegało na wyruszaniu. Przyjąć pomoc, kiedy przez dziesięciolecia chciało się być samowystarczalnym. Zrozumieć, że odwaga nie zawsze oznacza kolejny krok naprzód. Czasem oznacza zatrzymanie się i uczciwe spojrzenie za siebie.

Nie wierzę w życie całkowicie bezpieczne. Bezpieczeństwo jest obietnicą, której świat nie potrafi dotrzymać. Można unikać mórz, gór i pustyń, a mimo to zostać zaskoczonym przez chorobę, stratę, zdradę czy zwykły przypadek. Nie mamy wpływu na wszystko, co nas spotyka. Mamy jednak wpływ na to, czy odpowiemy na życie lękiem, czy ciekawością.

Przygoda nie jest ucieczką od życia. Jest jego zagęszczeniem. Sprawia, że człowiek naprawdę widzi, słyszy i odczuwa. Wyrywa go z rutyny, która potrafi być równie groźna jak burza na oceanie, tyle że zabija powoli i bez huku. Dobrze przeżyte niezwykłe zdarzenie nie musi się kończyć rekordem ani pomnikiem. Powinno pozostawić człowieka bardziej pokornym, uważnym i wdzięcznym.

Najpiękniejszą przygodą jest samo życie, ale odkrywa to tylko ten, kto odważy się być jego uczestnikiem, a nie widzem. Świat nie wymaga od każdego, aby samotnie przepłynął Atlantyk, przebył Syberię czy odnalazł źródło wielkiej rzeki. Wymaga tylko jednego: abyśmy nie zdradzili własnej ciekawości i nie pozwolili, by strach napisał za nas ostatni rozdział.

Bo ostatecznie nie będzie miało większego znaczenia, ile lat przeżyliśmy. Ważne będzie, ile życia zmieściliśmy w naszych latach.

Jacek Pałkiewicz, reporter, odkrywca źródła Amazonki, survivalowy guru, uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ (3)

eprasa.pl 66e3b90ff1

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Kosmiczne bzdury

Długo mnie nie było, parę tygodni wakacyjnych – w szparach między betonowymi płytami na tarasie wyrósł obok trawsk i chwastów bujny nagietek, na metr wysoki, wielokwiatowy, mimo suszy, z nasiona, które musiało spaść z balkonu sąsiadów. Kumpel w tym samym czasie, w słomianym wdowieństwie, miał przez żonę wyznaczone zadanie dbania o kwiatki na tarasie – na wszelki wypadek podlewał je hojniej i częściej – przez co zdechły, przelane.

Żadna to przypowieść, chyba tylko o tym, że natura sobie poradzi doskonale bez nas, najlepiej, żebyśmy ją zostawili w spokoju, człowiek powinien się zajmować ochroną przyrody poprzez zaniechanie, fanatyczni ekolodzy są równie groźni co bezlitośni truciciele. Często zaś ci drudzy udają tych pierwszych, greenwashing jest nową korporacyjną pandemią.

Z grubsza o tym opowiada całkiem zabawna tragikomedia „Bogaci i martwi" Romain Gavrasa, syna Costy, słynnego twórcy thrillerów politycznych, skądinąd autora średnio udanej adaptacji „Małej apokalipsy" Konwickiego. Nie, żebym film szczególnie polecał, ale jeśli kto woli kino mizantropijne od czułych narracji, przełknie to bez zapitki – żadna postać nie jest tu warta funta kłaków, z nikim widz się nie zidentyfikuje, reżyser nie lubi wszystkich tak samo, a cała akcja zmierza do nieuniknionej zagłady ludzkości.

Czytam właśnie szkice Wernera Herzoga wydane niedawno w tomiku „Przyszłość prawdy" (przekład Ewy Mikulskiej-Frindo), gdzie genialny reżyser, słynący z zamiłowania do kuriozów, napomyka o utopijnych planach skolonizowania Marsa. Twierdzi, że Elon Musk obiecał go zabrać do rakiety SpaceX, którą zamierza wysłać na Czerwoną Planetę. Herzog poleciałby tam z kamerą, aby dokumentować przedsięwzięcie. Postrzega je zresztą jako apokaliptyczny absurd. „Czy to nie obsceniczne, żeby z niewyobrażalnym wysiłkiem uczynić możliwą do życia planetę, która do zamieszkania się nie nadaje, zamiast zadbać o to, aby nasza własna pozostała zdatna do życia?", pyta, jakby nie brał pod uwagę, że być może jedynym sposobem ocalenia życia na Ziemi jest zniknięcie ludzkości.

Może więc Musk szalonymi, nierealizowalnymi pomysłami nie tylko reklamuje swoje produkty, ale po prostu wie więcej niż my – że człowiek ani bardziej zepsuć, ani naprawić poczynionych szkód już nie zdoła, trzeba stąd spieprzać, choćby na swojej prywatnej kosmicznej arce.

Mars jest, by tak rzec, mieszkaniem w stanie surowym, a koszty i czasochłonność stworzenia sztucznych warunków, w których ludzie mogliby tam egzystować i zbudować cywilizację, przekraczają możliwości najmożniejszych tego świata; gdyby jednak chcieć znaleźć planetę przyjazną życiu, trzeba by czasu znacznie więcej. „Wyobraźmy sobie kosmonautów podczas wyprawy na Alpha Centauri. Nie ma przy tym znaczenia, że najbliższa nam planeta spoza Układu Słonecznego świeci jak nasze Słońce. (...) Pokonanie odległości czterech i pół roku świetlnego zajęłoby kosmonautom wiele dziesiątków tysięcy lat. Musieliby się zatem rozmnażać na pokładzie i już w pierwszych stuleciach skarłowacieliby z powodu kazirodztwa, na skutek mutacji zamienili w potwory, które po kilku tysiącach lat z pewnością zapomniałyby, skąd pochodzą i dokąd zmierzają. Jak zawsze wśród ludzkich istot doszłoby do kłótni, morderstw, buntów i przewrotów pałacowych. Pasażerowie przybraliby kształty kubełkowych foteli w centrum dowodzenia lub miejsc do odpoczynku znajdujących się na pokładzie. Bez światła słonecznego staliby się biali i przezroczyści jak tłuste larwy", czytamy w szkicach Herzoga. Owóż, prawda o przyszłości gatunku ludzkiego brzmi okrutnie – albo wyginiemy na miejscu, albo zdążymy uciec, by z czasem przekształcić się w coś, co nie będzie miało wiele wspólnego z człowieczeństwem.

Człowiek ani bardziej zepsuć, ani naprawić poczynionych szkód już nie zdoła, trzeba stąd spieprzać.

Przed tygodniem wspominałem o pesymistycznej futurystyce Slavoja Žižka, dzisiaj mam katastrofistę Herzoga – obaj są zgodni w swoich obawach przed nowym, hiperdynamicznie rozwijającym się zagrożeniem dla ludzkości, jakim jest sztuczna inteligencja. Obaj też są bohaterami internetowego eksperymentu pod nazwą The Infinite Conversation, który jest generowaną przez AI, niekończącą się dyskusją między słoweńskim filozofem a niemieckim reżyserem. W 2023 r., kiedy Herzog kończył swój tom, zauważył, że choć imitacja głosów jest perfekcyjna, a zdania są poprawne gramatycznie i leksykalnie, „sam dyskurs jest martwy, pozbawiony duszy". Ale AI wciąż się uczy – o tym, czy po trzech latach awatary dwóch tytanów krytycznego rozumu dyskutują już mądrzej od oryginałów, czy pozostają kosmiczną bzdurą, można się przekonać samodzielnie. ■

eprasa.pl 66e3b90ff1

Jubileusz chorzowskiej świątyni



Włodzimierz Lubański oddaje słynny strzał do bramki Anglików w meczu eliminacyjnym do mistrzostw świata. Polska wygrała 2:0. Chorzów, 6 czerwca 1973 r.

Wojciech Kuczok

Wprawdzie 70. urodziny Stadionu Śląskiego przypadły na 22 lipca tego roku, ale feta odbyła się w Chorzowie w miniony weekend, przeto i na wspominki zebrało mi się dopiero teraz.

Urodzony między dwiema, a właściwie trzema świątyniami piłkarskimi, skazany byłem na futbol. Dwóch już dzisiaj w Chorzowie nie ma. Z historycznych obiektów AKS została tylko nazwa centrum handlowego postawionego w ich miejscu, a dobrze przypomnieć, że Zielone Koniczynki były czołową siłą polskiego futbolu tuż przed II wojną światową i tuż po niej. Pod koniec lat 80. AKS balansował już na krawędzi szczebla centralnego – pamiętam jedną ze swoich ostatnich wizyt na stadionie, gdy na boisku wyróżniał się młody Jacek Bednarz. Wiosną 1992 r. AKS ostatecznie pożegnał się z ówczesną III ligą, a dekadę później przestał istnieć zarówno klub, jak i jego stadion.

Przy Cichej 6, gdzie przez 90 lat rozgrywał swoje mecze Ruch, też nie ma już dzisiaj stadionu – ostały się jeszcze boiska, na których grają rezerwy Niebieskich. Odwieczne plany przebudowy, ogłaszane i odwoływane przetargi, obietnice wyborcze kolejnych prezydentów miasta, co to klęli się na boga, że nowy obiekt postawią, nie wyszły poza fazy kolejnych projektów. Nie ma już niebieskich „świeczek", charakterystycznych smukłych jupiterów, które nierzadko kiwały się na wietrze, nie ma trybuny, która przed wojną była cudem techniki, bo miała zadaszenie bez podpór, nie ma legendarnej Omegi, zabytkowego zegara boiskowego, który Ruch otrzymał przed wojną jako najpopularniejszy polski klub (to w „debiucie" Omegi Ernest Wilimowski strzelił rekordowe 10 goli w jednym meczu ligowym).

Bliżej Cichej do zaorania gruntów niż do postawienia nowych trybun.

Jestem człowiekiem małej wiary, nie spodziewam się, abym dożył nowego stadionu w Chorzowie, mieście biednym, wymierającym i zmagającym się z wieloma problemami ważniejszymi niż pragnienia kibiców (chociażby z nadzwyczaj uciążliwym komunikacyjnie dla konurbacji górnośląskiej zamknięciem estakady wiodącej przez centrum). Bliżej Cichej do zaorania gruntów niż do postawienia nowych trybun.

Ostał się zatem w Chorzowie tylko jeden stadion, za to gigantyczny, Kocioł Czarownic, legenda nad legendami, piłkarska mekka, która właśnie wkroczyła w ósmą dekadę istnienia. W sobotniej celebrze udział wzięły m.in. jedenastki Polski i Anglii złożone z graczy i trenerów, którzy nie tylko pamiętają polsko-wyspiarskie

FOT. PAP/CAF/STANISŁAW JAKUBOWSKI

eprasa.pl 66e3b90ff1

potyczki, ale też brali w nich udział. John Terry grał w ostatnim chorzowskim pojedynku w 2004 r., kiedy kadra Pawła Janasa stawiała dzielny opór supergwiazdorskiej ekipie Anglików, ze środkiem pola obsadzonym przez Davida Beckhama, Franka Lamparda i Stevena Gerrarda. Kto wtedy nieostrożnie dopiero w przerwie ustawił się w kolejce do toi-toia (Śląski był wtedy jeszcze przed przebudową), nie zdążył na wyrównującą bramkę Macieja Żurawskiego, mógł za to zdążyć na samobójczy strzał Arkadiusza Głowackiego, który odebrał nam nadzieje i punkty.

Wygraliśmy z Anglikami tylko raz, właśnie na Śląskim, w czerwcu 1973 r., kiedy Orły Górskiego błysnęły formą, zwiastującą późniejszą drogę do medalu mistrzostw świata, a tamten mecz doskonale pamięta bramkarz Lwów Albionu Peter Shilton. Skapitulował wtedy dwukrotnie, gole strzelali mu Gadocha i Lubański, który meczu nie dokończył z powodu parszywej kontuzji; zabrała mu ona późniejszy mundial w RFN. Na to, by zobaczyć na własne oczy, jak wygrywamy z Anglikami o punkty, byłem stanowczo zbyt młody, a teraz już jestem za stary, by poddać się naiwnej wierze, iż tego dożyję – Angole leją nas bezlitośnie z górą od półwiecza. Nawet gdybyśmy z nimi wygrali w 100 meczach pokazowych, żadną to pomstą nie będzie.

W Chorzowie lali nas trzykrotnie, dwakroć zaś nie pozwolili wygrać, choć jesienią 1989 r. to Shilton ratował ich przed porażką, a Tarasiewicz kropnął w ostatniej minucie w poprzeczkę. W roku 1993 było jeszcze bliżej, ale Marek „Aj Jezus Maria" Leśniak zgłupiał sam na sam z bramkarzem. Wtedy swój mecz postanowili rozegrać na trybunach kibole, demolując sektory i naparzając się z przyjezdnymi, przez co FIFA nakazała Śląski zamknąć, co zainicjowało gruntowną przebudowę.

Z pierwszych, dziecięcych jeszcze wizyt na Śląskim pamiętam hałas motocykli i zapach metanolu – ojciec projektował wtedy plakaty na zawody żużlowe, więc dostawał darmowe zaproszenia. Dla mnie było za głośno, płakałem i chciałem do domu, stary się wściekał, bo dopchał się nawet do mistrza Ivana Maugera po autograf, którym wzgardziłem obrażony.

Na Śląski wróciłem już samodzielnie w latach 80., widziałem tam wielkie kluby goszczone przez Górnika, Gieksę i Ruch (Bayern, Glasgow Rangers, Inter Mediolan), świadkowałem klęskom i triumfom reprezentacji, przeżywałem oburzenie, kiedy stadion pominięto przy nominacjach na gospodarzy Euro 2012, i tęskniłem za nim przez lata przedłużającego się remontu (niesławna awaria „krokodyli" spajających zadaszenie).

Pomnę, jak bito rekordy decybeli przy okazji awansów kadry na mistrzowskie turnieje (byłem na decydujących meczach – dwukrotnie z Belgią, po razie z Norwegią i Szwecją), ale też nigdy nie zapomnę martwej ciszy w ostatniej minucie eliminacji do olimpiady w Seulu, kiedy straciliśmy gola z RFN i awans poszedł się kochać. Pamiętam kiksy stulecia (Kosowski z rzutu rożnego w bliższy aut bramkowy, Kuszczak wpuszczający gola ze 100 m, strzelonego przez kolumbijskiego bramkarza), ale i gole na miarę nagrody Puskása (z mniej pamiętanych: Dziekanowski w 1985 r. przeciw Włochom). Niestety, pamiętam również, jak na jednej z rozlicznych koncertowych gal telewizyjna wodzirejka błysnęła frazą „Kotlet Czarownic cały drży!". I ja wtedy zadrżałem, a potem zarżałem, przez łzy rzecz jasna, bo jednak to, co chorzowskie, odbieram osobiście, opodal Kotła Czarownic żyłem 40 lat, w tymże kotle gotowałem się nieraz z emocji.

Dzisiaj gościnnie rezyduje tutaj drużyna Ruchu Chorzów, której pomimo sportowej bessy udało się pobić frekwencyjne rekordy – pierwszoligowy mecz z Wisłą Kraków wiosną 2025 r. obejrzało ponad 53 tys. widzów. Śląski stał się miejscem kultu po raz pierwszy za sprawą dwóch goli Gerarda Cieślika, dzięki którym Polska ośmieliła się wygrać z Sowietami w 1957 r., a naród rzecz jasna przyjął to zwycięstwo w kategoriach triumfu dalece wykraczającego poza kwestie sportowe. To tutaj ustanowiono niepobijalny już rekord frekwencyjny wszech czasów, gdy w 1963 r. mecz Górnika Zabrze z Austrią Wiedeń obejrzało na żywo 120 tys. osób.

To w Chorzowie reprezentacja Polski rozegrała swoje najlepsze mecze w historii: 4:1 z Holandią w 1975 r. i 2:1 z Portugalią w 2006 r. Triumfowali tu kolarze (Stanisław Gazda wygrał w 1960 r. etap Wyścigu Pokoju), żużlowcy (Jerzy Szczakiel zdobył tytuł mistrza świata w 1973 r. przy kolejnym rekordzie frekwencyjnym – 100 tys. ludzi na zawodach speedwaya to światowy fenomen) i lekkoatleci (Irena Szewińska w 1967 r. wyrównała tu rekord świata na 200 m).

Nigdy nie zapomnę martwej ciszy w ostatniej minucie eliminacji do olimpiady w Seulu, kiedy straciliśmy gola z RFN i awans poszedł się kochać.

Śląski był moim drugim domem po Cichej, od kilku lat jest domem pierwszym, choć częściej za sprawą kadry i koligacji rodzinnych bywam na warszawskim Narodowym. Nadwiślański obiekt to smarkacz, który kojarzy mi się nade wszystko z piknikową atmosferą trybun – swoją historię dopiero pisze. Na Śląski zawsze idę na miękkich ze wzruszenia nogach.

Tak też pójdę lada dzień zobaczyć, jak w chorzowskiej świątyni mój synek wystąpi w ogólnopolskim finale lekkoatletycznych nadziei olimpijskich.

Z pozasportowych anegdot najpyszniejszą pozostaje dla mnie ta związana ze stadionowym hotelem. Gościliśmy w nim przed trzema dekadami literatów uczestniczących w Zbiegu Poetyckim Na Dziko. Słynny poeta liverpoolski Brian Patten przespał wtedy dwie noce, narzekając na ciasnotę i brak łazienki w swoim pokoju, dopóki mu nie wytłumaczyliśmy, że to był tylko przedsionek wielkiego apartamentu, który dla niego przeznaczono. Poeci są zbyt zajęci otwieraniem drzwi percepcji, aby zdołać otworzyć te w przedpokoju. ■

eprasa.pl 66e3b90ff1

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- najwyższy stopień w marynarce wojennej
- wzburzenie pchające czasem do zabójstwa
- obszar wodny
- bohaterka książek Lewisa Carrolla
- przodek, pradziad
- główna tętnica
- był nim Geronimo
- nieforemny kawał czegoś
- uroczyste nadanie imienia statkowi
- treści, które cudzysłów mieści
- namalował „Płonącą żyrafę”
- płacona przez poddanych
- z truskawek lub porzeczek do bułeczek
- i wydawca, i program do redagowania tekstów
- w spirytyzmie medium ją wydziela
- prorok uniesiony do nieba na ognistym rydwanie
- święta, patronka Barcelony
- składnik płynu Borygo
- stolica z bulwarem Malecón
- człowiek, stworzenie lub sens
- …medialny – zalew napastliwych wypowiedzi
- sztucznie zorganizowane objawy zachwytu
- ogólnik, banał, frazes
- Trump często nosi czerwony
- drapieżnik z łasicowatych
- kupiła go Kaczka Dziwaczka, by drobnym pisać list
- i planeta, i sroga mina
- nauka o grzybach
- kura dostarczająca jajek
- oznaka choroby
- …klienta – zapewniana przez firmę
- zabytkowy samochód z angielska
- zielone lub czarne, greckie lub hiszpańskie
- trudna sytuacja, uciemiężenie
- kraje Wschodu
- pozostałość na dnie lub przykre wrażenie
- wokół czapki, obramowanie, obwódka
- ptaki z tytułu piosenki Niemena
- flamaster lub długopis
- pasażer pociągu
- „…i Pucek” Jana Grabowskiego
- pręty grilla lub w piecu
- państwo niemieckie w różnych okresach historii
- kawałek krzemienia w broni palnej
- narządy oddechowe wielu zwierząt wodnych
- o koralikach w kształcie rurki
- damasceńska – na broń białą
- Teksas lub Iowa
- gruba zasłona w oknie
- dawniej posiłki, odsiecz, wsparcie
- w teatrze, szkolna lub dla sportowców
- wyborczy polityka, generalny, antykryzysowy
- na jego deskach grają aktorzy
- w korku, w bezruchu, w odrętwieniu
- umowa, operacja handlowa
- „…we krwi”, film Kurosawy
- bicie na nią – by ostrzec
- dawny pas z kieszeniami na pieniądze
- kwiat z Holandii
- wojak z dziewczyną na obrazie
- …szafy – z półkami, wieszakami
- majak, ułuda

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1290”. Do rozlosowania książki „Trędowata” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 września 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1287” z nr. 34: *Niedosyt wynika czasem z przesytu.*
Nagrody otrzymują: Józef Maskiewicz z Rybnika, Halina Skoczylas z Warszawy, Malwina Szczepańska z Krakowa.

eprasa.pl 66e3b90ff1

Konsul zamożnych Polaków

Naszych konsularników, czyli konsulów z placówek i urzędników pracujących w centrali, w departamencie, najbardziej burzyło, gdy konsulami generalnymi zostawali zupełni dyletanci, osoby z politycznego polecenia. Taki najazd mieliśmy np. w czasach PiS na konsulaty w USA – w pewnym momencie żadnym nie kierowała osoba, która wcześniej zajmowała się sprawami konsularnymi.

No to teraz warto wspomnieć o innym przypadku, tylko z pozoru podobnym. Otóż do Barcelony na konsula generalnego minister Sikorski wysłał osobę, która również nie zajmowała się wcześniej sprawami konsularnymi. Ale nie ma w MSZ człowieka, który by twierdził, że to chybiona nominacja. Wręcz przeciwnie, mówią, że trudno byłoby lepiej trafić. Tym konsulem jest Maciej Bernatowicz. Człowiek, który zna i kocha Hiszpanię, MSZ w zasadzie zna od dziecka, przez wiele lat był na placówce w Madrycie i pracował w centrali. Do tego ma wielkie umiejętności komunikowania, rozmawiania i przekazywania informacji. Jeśli więc tylko nie zabraknie mu zapału…

Zacznijmy od tego dziecka – Maciej Bernatowicz jest synem Grażyny Bernatowicz, która dwa razy była wiceministrem spraw zagranicznych i o której kompetencjach minister Sikorski wyrażał się z najwyższym uznaniem. Głównym obszarem jej zainteresowań była Hiszpania i proces jej wejścia do Unii Europejskiej – pisała z tego i doktorat, i habilitację. Przez pięć lat (2002-2007) była ambasadorem w Madrycie, potem, po powrocie do Warszawy, objęła stanowisko wiceministra.

W tym czasie w MSZ zaczął pracować, po przyjściu z Kancelarii Premiera, Maciej Bernatowicz. W różnych miejscach – w centrali był wicedyrektorem w Departamencie Współpracy Ekonomicznej, a potem w Departamencie Ameryki. W latach 2011-2016 kierował referatem ekonomicznym ambasady w Madrycie i był jej rzecznikiem prasowym. W latach 2018-2023 pracował w ambasadzie w Hadze, odpowiadając za kwestie zarówno gospodarcze, jak i później polityczne. Minęło mu tak, przy różnych ministrach, prawie 20 lat. I już wiadomo, że sam na swoją pozycję zapracował.

A teraz ta Barcelona. Bernatowicz mieszkał w Hiszpanii prawie dziewięć lat, studiował w Madrycie. Gdy tam był, przesyłał korespondencje do gazet, radia i telewizji. Wie zatem, jak mówić, aby przyciągać uwagę. Napisał zresztą książkę o jednoznacznym tytule: „Hiszpania. Fiesta dobra na wszystko".

Warte zauważenia – gdy przedstawiał posłom w Sejmie swój okręg konsularny i plan pracy, panowała cisza, słuchano go z uwagą. Bo to miejsce, w którym mieszkania i domy ma kilkadziesiąt tysięcy Polaków. W Katalonii, Walencji. Owszem, jest jeszcze spora grupa dawnej emigracji zarobkowej, ale przede wszystkim napływają ci nowi, zamożni, którzy kupili nieruchomości – jedni, żeby wynajmować, drudzy, żeby mieszkać. W wakacje albo na stałe. No i 1,5 mln polskich turystów. Do tego placówka musi się przystosować. Bo Polacy w Hiszpanii chcą już czegoś innego i co innego mogą zaoferować.

Później posłowie, jeden po drugim, gratulowali Bernatowiczowi prezentacji. W sumie dobrze się zaczyna…

Attaché



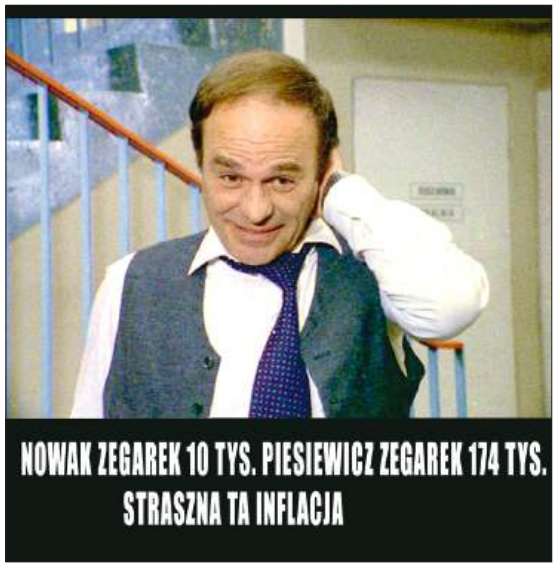
2 września w wieku 92 lat zmarła Gloria Steinem, amerykańska dziennikarka, założycielka feministycznego magazynu „Ms.", przez dekady walcząca m.in. o równouprawnienie płci i prawa kobiet, w 2013 r. odznaczona przez Baracka Obamę Prezydenckim Medalem Wolności.

FOT. CHRISTY BOWE/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 66e3b90ff1







TYGODNIK ANGORA

TADEUSZ SZNUK,
DZIENNIKARZ

Najpierw były „Sygnały Dnia", czyli audycja stricte informacyjna. Poranne wiadomości, które zaczęliśmy nadawać na żywo, bez nagrywania, a przedtem wiadomości w radiu czytał spiker. Były materiały rozgłośni regionalnych, bezpośrednie połączenia, wszystko nadawane na żywo. Ważny był kontakt ze słuchaczami. To było na tamte czasy dość szokujące, a wszystko wymyślał nasz szef Aleksander Tarnawski. „Sygnały Dnia", „Lato z Radiem", „Cztery pory roku". Te audycje bardzo przywiązały do nas słuchaczy. Każdego dnia dostawaliśmy worki listów. (…) Mimo że ostatnie trzydzieści parę lat prowadzę niemal co dzień teleturniej „Jeden z dziesięciu", to Telewizja Polska nigdy nie była moim pracodawcą. To było jedynie dorabianie do skromnej radiowej pensji.

VIVA!

ROBERT GÓRSKI,
SATYRYK

Czasami chodzę na siłownię, ale bez zapału. Mam żonę, z której jestem dumny i w której jestem cały czas zakochany. Nie zdobyłbym jej bez poczucia humoru. Zadziałał efekt „Ucha prezesa". Moja żona, która jest dziennikarką, przeprowadziła ze mną wywiad jako z autorem bardzo popularnego w swoim czasie programu. Gdybym był zwykłym człowiekiem z kabaretu, prawdopodobnie nie zwróciłaby na mnie uwagi. Serial „Ucho prezesa" pozwolił mi wyjść poza estradę i amfiteatralną widownię. (…) Żona mnie też urzekła, nie tylko dlatego, że jest bardzo ładna. Byłem pod wrażeniem języka, jakim operuje, pytań, które zadaje.

Monde diplomatique

BERTRAND DAUGERON,
ANTROPOLOG

Indyjskie Sundarbany, gdzie rozgałęzienia Gangesu i Brahmapurty przepływają przez największy na świecie las namorzynowy. Prawie 10 tys. km kw. lądu i wody podzielone pomiędzy Indie i Bangladesz u ujścia systemu rzecznego Ganges-Brahmaputra nad Zatoką Bengalską. Las namorzynowy wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO od 1987 r. – największy i ostatni nienaruszony na świecie. I jedna fizyczna cecha, która decyduje o wszystkim: 70% lądu leży między 1,5 a 3 metrami nad poziomem morza. Żadnej rzeźby terenu, żadnego wyższego miejsca mogącego dać schronienie. Cała delta leży na poziomie morza. A niektóre odcinki grobli znajdują się nawet poniżej. Po indyjskiej stronie tego obszaru, w strefie buforowej rezerwatu biosfery, żyje 5 mln ludzi. Do 1973 r. lokalne społeczności mogły swobodnie korzystać z zasobów lasu: łowiły ryby w kanałach śródlądowych i zbierały miód. W tym samym roku rząd Indii utworzył Rezerwat Tygrysów Sundarban.

zwierciadło

KATARZYNA WARNKE,
AKTORKA, REŻYSERKA

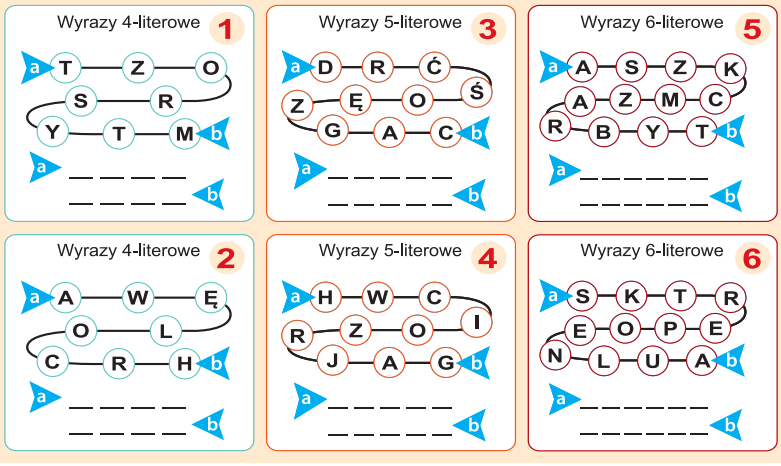
Tyle się mówi o siostrzeństwie, a mnie się wydaje, że najpierw musimy się porozliczać z tego, co nam patriarchat zostawił w spadku. Czyli wzajemnego porównywania się, zawiści i narzucania innym kobietom, jak mają żyć. Nie znoszę tej naszej kondycji kobiecej. Również tego, że nie mówimy wprost, kiedy coś nam się nie podoba. Uważam, że wciąż, mimo oficjalnych deklaracji, jesteśmy nieświadomie zakleszczone w tamtych schematach, dlatego wolimy się poruszać podskórnie, zakulisowo, nie wprost. Rozdźwięk między tym, co deklarujemy, a stanem faktycznym jest tak duży, że mówienie o siostrzeństwie uważam za coś mocno na wyrost. Proponuję zejść na ziemię i skupić się na zwykłej życzliwości.

FOT. AMEM (3)

eprasa.pl 66e3b90ff1

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.



ROZWIĄZANIA: TORT, MYSZ, WĘCH, ROLA, DROGA, CZĘŚĆ, WIZJA, GROCH, SZCZYT, BRAMKA, STRONA, ULEPEK



Aby język giętki…

BOGDAN BORUSEWICZ O ZWIĄZKU SOLIDARNOŚĆ

Odgrywa dziś rolę zaplecza i osłony partii Kaczyńskiego. Jego działacze traktują swoje funkcje wyłącznie jako dożywotnie synekury.

PROF. JAN ZIELONKA O PARTII RAZEM

Jest garstką ludzi dobrej woli bez pomysłu, jak zwabić na swoją stronę sfrustrowanych rodaków.

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI O RYNKU KSIĄŻKI

Uprawiana przez wielkich wydawców polityka nadprodukcji zamieniła ten rynek w smętny ściek produktów książkowych.

PROF. ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA O AI

Pora założyć sztucznej inteligencji jakieś regulacyjne chomąto.

MAREK SAWICKI O KAROLU NAWROCKIM

Buduje własny układ, w którym naturalnym kandydatem na premiera jest Bogucki, a Przydacz na ministra spraw zagranicznych.

MAGDALENA CIELECKA O POPULARNOŚCI

Chyba żaden aktor nie zrezygnowałby z popularności na rzecz tego, żeby mieć święty spokój. Nie wierzę w to.

MAGDA LINETTE O ZAWODOWYM TENISIE

Koniec końców to jest po prostu biznes. Prowadzę małą firmę i mam pracowników, o których muszę zadbać.

NATALIA KUKULSKA O SZCZĘŚCIU

Po raz kolejny odkrywam, że szczęścia należy poszukać w sobie. Jest sztuką wyboru i usłyszenia własnego głosu.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

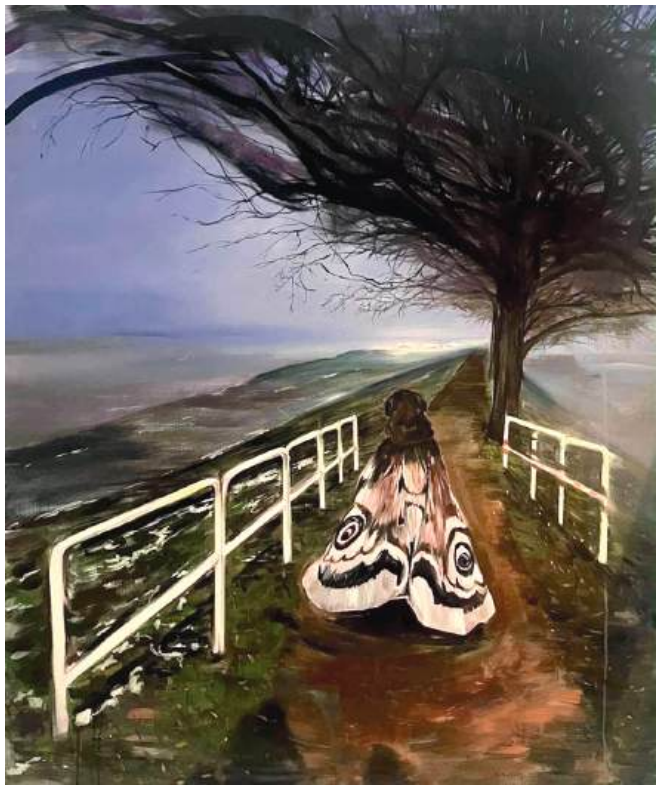
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 66e3b90ff1

Ćma



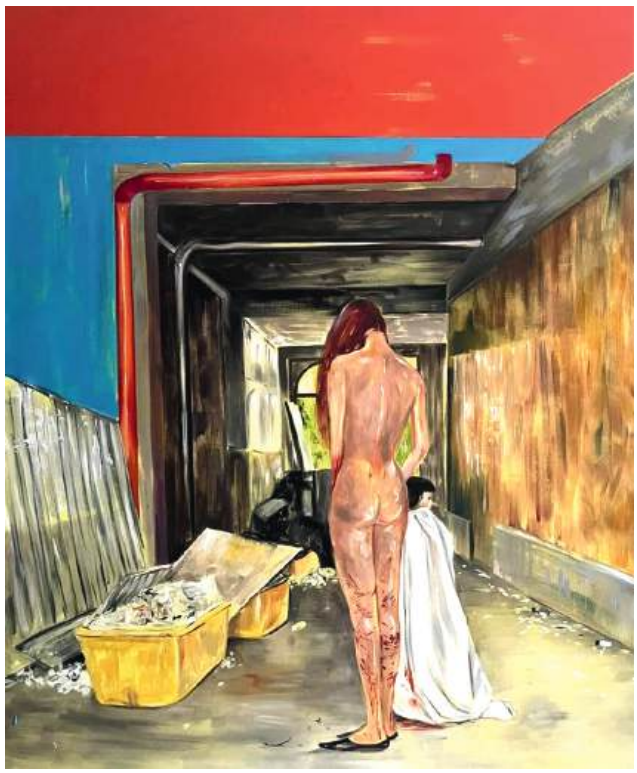
Telefon



Gold Fish

Van Rij Gallery
Kraków, ul. Morsztynowska 1
do 31 października

Tytuł wystawy nawiązuje do baśniowej złotej rybki – symbolu nadziei na cudowną odmianę losu. **Alex Urban** podważa ten mit, przyglądając się osobom pozostającym na marginesie, którym nie dano równych szans na zrealizowanie marzeń. Artystka podejmuje tematy, od których często odwracamy wzrok, konfrontuje odbiorcę z tym, co niewygodne, wyparte i przemilczane: samotnością, wykluczeniem, presją społeczną i poszukiwaniem tożsamości. Charakterystyczne, intensywne kolory oraz osobliwe postacie nadają przedstawianym scenom odrealniony, niepokojący wymiar.



Ucieczka



Stracona nadzieja

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 66e3b90ff1



SBB

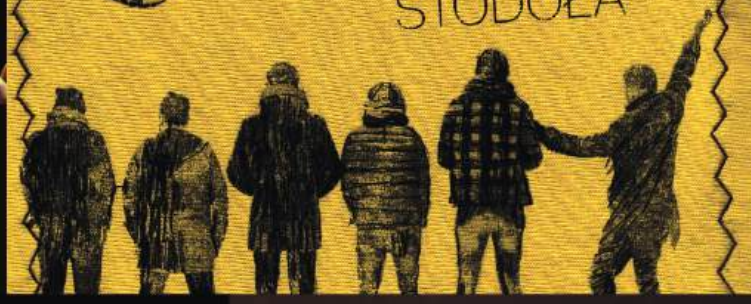
SKRZEK/ANTHIMOS/PIOTROWSKI

14 PAŹDZIERNIKA
FILHARMONIA
IM. M. KARŁOWICZA
SZCZECIN

HAPPYSAD 25 lat

XXV tour

15 10 26
warszawa
STODOŁA



SLEAFORD MODS
THE DEMISE OF PLANET X



EUROPE 2026 (PART 2)

1 LISTOPADA
WARSZAWA, KLUB STODOŁA

Elżbieta Jodłowska
KLIMAKTERIUM
20 LAT
...i już



3 listopada
Klub Stodoła, Warszawa

Elżbieta Jodłowska
KLIMAKTERIUM 2
czyli
menopauzy szał



25 listopada
Klub Stodoła, Warszawa

SŁAWA
PRZYBYLSKA

KONCERT URODZINOWY
Z ZESPOŁEM
TANGO ATTACK



4 LISTOPADA
KLUB STODOŁA



HOUK
+
WALUŚKRAKSAKRYZYS

KLUB STODOŁA
5 LISTOPADA

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl 66e3b90ff1

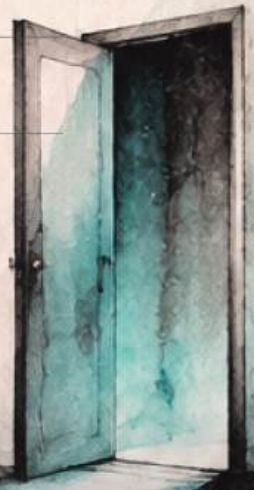
tcn TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

AKT I wejście

SEZON 2026/2027

Repertuar | **Wrzesień** 2026

04 PT | 19:00	**TO NIE JEST SPEKTAKL O TWOJEJ URODZIE** reż. Marta Twardowska — SALA IM. JANA KRECZMARA	
05 SB | 19:00	**TO NIE JEST SPEKTAKL O TWOJEJ URODZIE** reż. Marta Twardowska — SALA IM. JANA KRECZMARA	
18 PT | 19:00	**BIŁ SOBIE ANDRZEJ** reż. Klaudia Gębska, Julia Nowak — SALA 205 C	premiera
19 SB | 19:00	**BIŁ SOBIE ANDRZEJ** reż. Klaudia Gębska, Julia Nowak — SALA 205 C	
20 ND | 19:00	**BIŁ SOBIE ANDRZEJ** reż. Klaudia Gębska, Julia Nowak — SALA 205 C	
22 WT | 19:00	**BIŁ SOBIE ANDRZEJ** reż. Klaudia Gębska, Julia Nowak — SALA 205 C	
23 ŚR | 19:00	**BIŁ SOBIE ANDRZEJ** reż. Klaudia Gębska, Julia Nowak — SALA 205 C	
30 ŚR | 20:00	**ŻYWOT I ŚMIERĆ PANA HERSHA LIBKINA Z SACRAMENTO W STANIE KALIFORNIA** reż. Waldemar Raźniak — DZIEDZINIEC LUB SALA TRZECH PATRONÓW | WSTĘP WOLNY	



MIODOWA 22/24

STACJONARNA KASA TEATRU:
WTOREK–PIĄTEK: OD 17:30 DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU | SOBOTA: OD 15:00 DO 17:00 LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
NIEDZIELA: OD 17:30 DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU (WYŁĄCZNIE W DNI, W KTÓRYCH JEST GRANY SPEKTAKL)
MAILOWY LUB **TELEFONICZNY** KONTAKT Z KASĄ TEATRU: 662 155 960 kasa@e-at.edu.pl:
WTOREK–PIĄTEK: 11:00–19:00 | SOBOTA: 13:00–17:00 LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
NIEDZIELA: 13:00–17:00 LUB DO ROZPOCZĘCIA SPEKTAKLU
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

Patroni medialni: chilli zet, Przegląd

Partnerzy Teatru: biletomat PLG

kopiuj pl66e3b90ff1